

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend



FOT. SHUTTERSTOCK

**TO NIE MY ZABIJAMY
LUDZI NA DRODZE!**
Wysłuchałem uczestników
nocnych wyścigów ► 4



WYSOKIE OBCASY
Joni Mitchell
Popłaczysz się
i dowiesz czegoś
o sobie



MAGAZYN
wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI



FOT. VAN DOBRONOSOV

Pokój. Ale jaki?

- Ukraińcy się nie poddadzą
 - Trudno kochać żołnierza
 - Fajne rzeczy z Ukrainy
 - Aleksander Kwaśniewski: Europa jest silniejsza od Trumpa
- 10-17

GAZETA wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 3453198

ISSN 0860-908X

08>

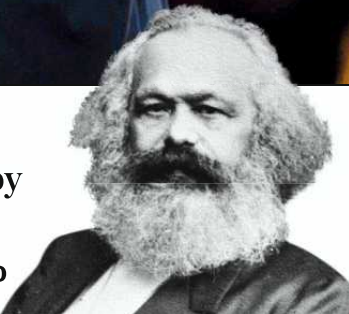
9 770860 908167

**Nie z kariery,
nie z pieniędzy**
Amerykanie zbadali
źródła szczęścia ► 21

**Do czego
przydaje się
Homer** w czasach
Netflixa ► 38

Muzea
Paryż zamyka,
Praga otwiera
► 26, 28

Co Marks
powiedziałby
o Musku
i Brzosce ► 40



FOT. JOHN JABEZ EDWIN MAYALL

Agnieszka
KublikW szarym dresie się
nie schowasz

Rafał Trzaskowski był w Monachium, spotkał się z szefową unijnej dyplomacji, z szefem NATO, z burmistrzem Kijowa, z Republikanami i Demokratami. Donald Tusk był w Paryżu, gdzie rozmawiali szefowie Niemiec, Włoch, Hiszpanii, Holandii, Danii oraz Wielkiej Brytanii. Tak Europa reaguje na szok wywołany amerykańskim oświadczeniem, że nie ma co liczyć na gwarancje NATO dla Ukrainy.

Wiosną zeszłego roku pytaliśmy Polaków, kto daje nam poczucie bezpieczeństwa – przede wszystkim członkostwo w UE czy w NATO? 47 proc. była przekonanych, że i UE, i NATO. Że NATO jest najważniejsze, wierzyło 35 proc. A UE? Zaledwie 3 proc. Więc teraz przyniatająca większość z nas ma prawo czuć się co najmniej zagrożona. To powinno skłonić polityków do błyskawicznej refleksji, jeśli idzie o przekazy dnia, tematy wieców i programów wyborczych.

Ale gdy Trzaskowski i Tusk rozważali ze światowymi liderami, jak uratować nasz świat, Nawrocki trenował boks z młodzieżą w klubie bokserkim AC Świercze, powiat pułtowski. Ale żeby było jasne, że to ma kontekst geopolityczny i że młodzi ze Świercza mogą czuć się bezpiecznie, podkreślał, że w szarym dresie trenuje nie tylko on, ale też sekretarz USA ds. obronności. A że Trzaskowski był w Monachium, to bez znaczenia, bo „występował na podstoliku, mówiąc rzeczy, do których sam razem z Tuskiem doprowadził i które nadal konsekwentnie uznaje za wielki sukces”.

Czyli w czasie najgłębszego kryzysu po II wojnie kandydat na najwyższy urząd w państwie podważa starania rządu, byle tylko mieć ostatnie słowo.

Kandydaci od początku planowali mówić przede wszystkim o bezpieczeństwie. Mieli przekonywać,

Za chwilę wyborcy PiS mogą zapytać Nawrockiego, kto teraz jest naszym sojusznikiem, a kto wrogiem

że nic nam nie grozi, bo jesteśmy w NATO i wiadomo, art. 5., „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. I tylko ścigać się na dowody, która z macierzystych formacji więcej zrobiła dla bezpieczeństwa granic, wzmacniania armii, budowania sojuszy.

Ale Trump podważał to, co było niepodważalne. Jak teraz sprzedawać w kampanii bezpieczeństwo, skoro zrobiło się tak niebezpiecznie, jak nigdy za życia większości wyborców? Tymczasem to poprawa bezpieczeństwa jest najważniejsza dla 60 proc. Polaków.

Więc oba obozy są w takiej samej kropce, tak samo zszokowane. Ale Trzaskowski i Tusk mówią o tym otwarcie, a Nawrocki i PiS mówią... W zasadzie nic nie mówią, prócz tego, że będą podważać wszystko, co robi gabinet Tuska. Kaczyński już oskarżył premiera, że „inspiruje siły antyamerykańskie w Europie”. W PiS są gotowi poprzeć Trumpa i zabiegają o jego głównego doradcę Muska. Tego, który właśnie nazwał rosyjską delegację na rozmowy w Rijadzie „kompetentnym przywództwem”.

Za chwilę wyborcy Kaczyńskiego mogą zażądać od Nawrockiego odpowiedzi na pytanie, czy nadal obowiązuje teza, że to Putin zabił Lecha Kaczyńskiego? I kto teraz jest naszym sojusznikiem, a kto wrogiem? „Nie uważam nic” może nie wystarczyć. ●

Strefa Gazy
Tu będzie riwiera

Dżabalja. Palestyńczycy oglądają swoje 170-tysięczne do niedawna miasto. Może ostatni raz, bo Trump oznajmił, że USA przejmą Gazę i pomogą w jej odbudowie. Ale nie Palestyńczykom. Oni „żyją tam jak w piekle”, a mogą „żyć na jakimś świeżym kawałku ziemi”. A w Gazie powstanie kurort dla „ludzi z całego świata”

Kod dostępu
do Wyborcza.pl

Cytat tygodnia

Kiedy ludzie zaczepiają mnie na ulicy, często to mężczyźni mówią mi: Czuję się Bridget Jones!



RENÉE ZELLWEGER
w rozmowie z Mają Staniszewską
w „Wysokich Obcasach”

FOT. MARIA LAURA ANTONELLI / AVALON / PAP

Michał Kwiatkowski
Ostatni polski Mohikanin

FOT. JAKUB WŁODEK / WYBORCZA

Sezon kolarski jeszcze na dobre się nie zaczął, a on już zaliczył zwycięstwo. Po brawurowym ataku wygrał doskonale obsadzony wyścig Clásica Jaén.

„Kwiato” kandydatem na wielką gwiazdę był ponad dekadę temu, gdy w 2014 r. w Hiszpanii zostawał mistrzem świata. W tej dyscyplinie to trofeum ważne, ale większą sławę zyskują ci, którzy wygrywają wielkie toury, jak Giro d'Italia i Tour de France. To mordercza trzytygodniowa, z kilkoma etapami cały czas pod górę. Mistrza świata wylania wyścig jednodniowy, tzw. klasyczny, często na ponad 200-kilometrowej trasie usianej podjazdami. Kwiatkowski wygrywał słynne klasyki (Mediolan-San Remo, Strade Bianche, Amstel Gold Race), wygrywał krótsze etapówki: Tour de Pologne, Tirreno-Adriatico, ale do tourów czegoś mu brakowało.

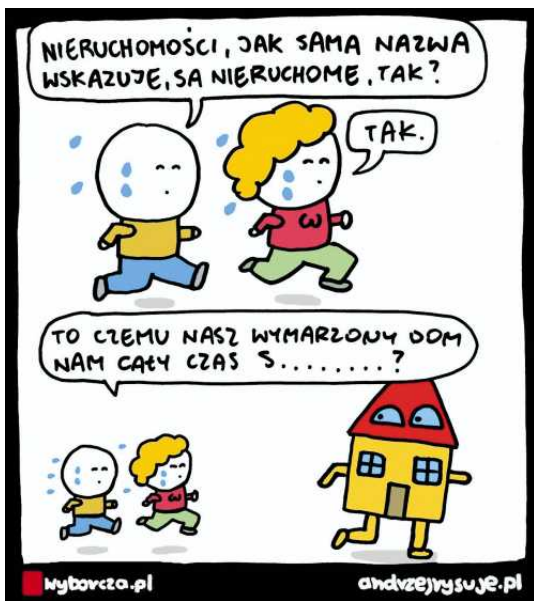
Lecz w kolarstwie cenieni przez kibiców i właścicieli drużyn są nie tylko ci z podium największych wyścigów. Kolarstwo to sport drużynowy. TdF nie można wygrać bez zespołu. Gdy Kwiatkowski zorientował się, że nie wygra Wielkiej

Pętli, został doskonałym, kto wie, czy nie najlepszym, pomocnikiem. Bo nie tylko dyktuje tempo dla lidera tempo na morderczych podjazdach, ale jest kapitanem na szosie. Czyli postacią tak samo istotną, jak jadący w aucie dyrektor sportowy, który z kolarzami komunikuje się przez radio.

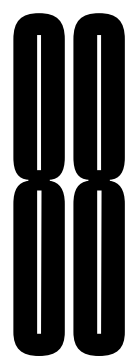
Kolarze zarabiają godnie, ale... Najlepszy kolarz, trzykrotny zwycięzca TdF Tadej Pogacar, zarabia 6 mln euro rocznie. Piłkarz Cristiano Ronaldo kasuje 200 mln rocznie.

Na kolarskiej liście rok temu Kwiatkowski z kontraktem w wysokości 2,5 mln euro rocznie był na szóstym miejscu. To dowód, jak wysoka jest, mimo zaawansowanego, jak na ten sport wieku, pozycja 35-lletniego Polaka. Tylko następców jego i o rok starszego Rafała Majka w Polsce nie widać. ● Marcin Wesolek

Andrzej rysuje



Amerykanie Europy



PROC.
POLSKICH
UCZNIÓW

klas 1-3 szkoły podstawowej nie potrafi wykonać przewrotu w przód. Kto chodził na WF w PRL czy w latach 90., pamięta, że i wtedy nie wszyscy byli gibcy. Ale na feb, na szyję lecały mniej wymagające wskaźniki kondycji – w 1989 r. pierwszak z podstawówki wsiadł na drążku na ugiętych ramionach średnio 17 sekund, dziś 7. W biegu na 600 metrów dzisiejszy pierwszak jest wolniejszy o 40 sekund. Za to 30 lat temu otyłość stwierdzano u co 10 ucznia, dziś u co 5.



FOT. SHUTTERSTOCK

Kampania prezydencka

Czym Nawrocki może błysnąć

Kaczyński zaczyna bardziej bać się Mentzena niż Trzaskowskiego.

Wielowieyska



Sztab PiS zelektryzowały dwa badania dotyczące wyborów prezydenckich: pierwsze – Pollstera dla Super Expressu, drugie – pracowni Opinia24 dla RMF FM. Karol Nawrocki uzyskuje w pierwszej turze: 25 proc. lub niecałe 22 proc. Natomiast kandydat Konfederacji Sławomir Mentzen zbiera 16-17 proc. i jest na fali wznoszącej.

To dzwonek alarmowy, bo za chwilę różnica między dwoma ultraprawicowymi politykami będzie w granicach błędu statystycznego.

Problem z Nawrockim polega na tym, że w sondażach nie jest w stanie zbierać choćby takiego poparcia, jakie ma PiS w badaniach preferencji partyjnych.

Opinia24 podała też wyniki badań dotyczące ugrupowań: KO ma prawie 32 proc., a PiS prawie 28 proc. Trzaskowski dociąga, a nawet przeskakuje wynik swojej partii, Nawrocki – nie.

A przecież elektorat PiS jest bardzo lojalny i wierny. Jednak w tej partii postawiono na strategię kandydata obywatelskiego, który nie powinien kojarzyć się z końcówką rządów PiS. To nie była zła koncepcja, pod warunkiem że kandydat by zabłysnął, oczarował i miał format prezydencki. Spin-doktorzy uznali, że każdego naturszczyka da się wytrenować, tymczasem to nie takie proste. Szczególnie gdy z szafy Nawrockiego wypadają trupy, które stały się tematem memów w sieci. Znajomości z ludźmi z półświatka, wynajmowanie apartamentu Deluxe przez 200 dni, za co Nawrocki nie zapłacił, podróże po niemal wszystkich kontynentach za blisko 800 tys. zł., spośród których część nie miała uzasadnienia.

Skoro kandydat ma być obywatelski, Jarosław Kaczyński trzymał się z dala. Niech kampanię robią młodzi i energiczni, niech tacy jak Paweł Szefermaker pokażą, na co ich stać. Ale teraz prezes nerwowo przepytuje kandydata, co jeszcze media mogą ujawnić. Nie wykluczone, że jedynym ratunkiem na mobilizację elektoratu PiS jest zaangażowanie się samego Kaczyńskiego, bo wielu wyborców po prostu nie wie, kim jest Nawrocki.

W mediach występuje sam, politycy PiS przy nim się nie pojawiają. Sympmatyczne jest to, że gdy w czasie sondy ulicznej reporter pytał przechodnia, na kogo zagłosuje, ten dopytywał, kim jest Nawrocki, i czy na pewno jest z PiS. Dla tej grupy widok w mediach Kaczyńskiego z Nawrockim mógłby być istotny. Inaczej nie dotrze do nich, kim jest naprawdę ten „kandydat obywatelski”. Tym bardziej że sporą grupę elektoratu PiS stanowią osoby 70+ z mniejszych miejscowości.

Kaczyński jest wściekły, bo rosnąca w siłę Konfederacja stawia warunki PiS: Mentzen poprze Nawrockiego



• **Ratunkiem dla Karola Nawrockiego może być zaangażowanie się w kampanię Jarosława Kaczyńskiego** FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

w II turze tylko wtedy, gdy Nowogrodzka już dziś podpisze zobowiązanie, że w przyszłym rządzie koalicji PiS i Konfederacji premierem będzie konfederata. Rozmowy w tej sprawie prowadzi patron Mentzena Przemysław Wipler. Tymczasem Kaczyński go nie znosi, a PiS-owskie służby specjalne obserwowały go w czasach, gdy Wipler był współwłaścicielem firmy lobbingowej. Za Wiplerem stoi też szef gabinetu prezydenta Andrzej Duda Marcin Mastalerek, który snuje plany takiej koalicji. Prezydent nie angażuje się w kampanię Nawrockiego, ale przyjmuje u siebie Mentzena, co jest źle odbierane w PiS.

Oczywiście sytuacja zmieniłaby się diametralnie, gdyby Mentzen wszedł do II tury, czego nie można wykluczyć. Znając metody Nowogrodzkiej, można się z tego powodu spodziewać ataku na Konfederację. Mentzen i ludzie z jego partii nie zapomnieli, jak przed wyborami w 2023 roku PiS-owska TVP puściła podsłuchane rozmowę prezesa NIK Mariana Banasia i prawnika Marka Chmaja. Banaś zapewniał w niej, że jego syn, Jakub, członek Konfederacji, będzie blokował powstanie koalicji rządowej z PiS.

Taktyka Nowogrodzkiej może wyglądać tak: atak na Mentzena pójdzie z tylnych rzędów, by nikt nie podejrzewał o to partii Kaczyńskiego. W sztabie Nawrockiego obawiają się, że wzrost notowań Mentzena spowodowany jest sprzyjającymi algorytmami w mediach społecznościowych Elona Muska i innych trampistów.

Nowogrodzką martwi, że obiektem medialnych badań i ostrej krytyki jest wyłącznie Nawrocki, a nie Mentzen. Konfederata ma walor świeżości i nieskalania władzą. Schował do kieszeni radykalne poglądy i kreuje się na polityka niemalże centrowego. Serwuje proste recepty, co prawda utopijne, ale ludziom to się podoba. W PiS martwią się również brakiem pieniędzy: po pierwszym wzmożeniu strumyk darowizn się zmniejszył. Na dodatek o te same pieniądze walczy TV Republika Tomasza Sakiewicza i bracia Karnowscy, nie wspominając o Tadeuszu Rydzyku.

Nowogrodzką irytuje to, że Sakiewicz promuje wszystkich prawicowych kandydatów, nie tylko Mentzena, ale nawet Marka Jakubiaka. Gdyby Kaczyński miał władzę nad TV Republiką, to by tego zabronił. Tak robił w TVP, gdzie dłuższy czas Konfederacja była nieobecna.

Sakiewicz uważa się za równorzędny Nowogrodzkiej ośrodek władzy w obozie PiS i żąda wpływu na politykę partii. Kaczyńskiego to drażni, ale w Republice mówią, że ich działania są pożyteczne dla PiS. Poszerzają spektrum poparcia poza Nawrockiego, a w drugiej turze sprawią, że te wszystkie głosy powędrują na jego konto, bo Sakiewicz ich tam poprowadzi za rękę. Ale nie jest to takie pewne. W 2020 roku elektorat startującego w wyborach prezydenckich Krzysztofa Bosaka podzielił się w II turze: część zgarnął Duda, a część Rafał Trzaskowski. Przy czym Bosak miał wtedy ledwo 7 proc. poparcia. Zwolennicy Konfederacji nie mogą zapomnieć PiS pełnej izolacji z czasie pandemii, włącznie z zakazem wchodzenia do lasu.

Dzisiaj okoliczności są inne, ale Nawrocki i tak nie może liczyć na 100 proc. wyborców Mentzena. Wspomniany sondaż Opinia24 pokazuje, że w II turze Trzaskowski zbiera ok. 50 proc. głosów, a Nawrocki 37-39 proc. Kilkanaście proc. nie wie jeszcze, na kogo zagłosuje. Pracownia sprawdzała na kogo w II turze, zagłosowaliby wyborcy poszczególnych partii. O ile odpowiedzi są przewidywalne: elektorat KO, Trzeciej Drogi i ogólnie lewicy wskazuje na Trzaskowskiego, elektorat PiS – na Nawrockiego, to już w przypadku Konfederacji podział nie jest jednoznaczny, bo 20 proc. wyborców tej partii chce poprzeć kandydata KO. Jest się więc o co bić.

W sztabie Nawrockiego widać panikę w związku z wypowiedziami Donalda Trumpa, z których wynika, że to wina Ukrainy, iż Rosja na nią napadła. A przecież PiS w Sejmie niedawno skandował „Trump, Trump”. Nawrocki więc zastrzega język, żeby odwrócić uwagę wyborców od katastrofy z Trumpem i głosi, że Tusk „jest kamerdynerem elit europejskich”, „zastępcą kamerdynera” jest Trzaskow-

Nowogrodzką irytuje, że Sakiewicz promuje wszystkich prawicowych kandydatów, nie tylko Mentzena, ale nawet Marka Jakubiaka. Gdyby Kaczyński miał władzę nad TV Republiką, to by tego zabronił, tak jak to robił w TVP

ski, a pakt z Putinem to właśnie robota „europejskich elit”. Tylko jak w takim razie określić to, co robi i mówi teraz Trump?

Sztab Trzaskowskiego nie może spać spokojnie, mimo iż prezydent Warszawy pozostaje faworytem. W zeszłorocznym badaniu Opinii24 dotyczącym I tury, Trzaskowski spadł o ponad 8 pkt procentowych, co prawda potem jego notowania się ustabilizowały na poziomie powyżej 30 proc., ale do poprzedniego poziomu nie wróciły.

Strategia Trzaskowskiego polegała na zerwaniu z wizerunkiem kandydata elitarnego. Mieliliśmy spotkania w Kole Gospodyń Wiejskich i nagranie z gwiazdą disco-polo Zenkiem Martyniukiem. Potem padła propozycja ograniczenia 800+ dla Ukraińców, co jest gestem pod elektorat Mentzena. Teraz Trzaskowski pokazuje swoją przewagę nad Nawrockim: zna języki i zna się na polityce zagranicznej. Swobodnie porusza się na światowych salonach. Nawrocki nie ma takiego doświadczenia, bo jego „dynamiczna polityka międzynarodowa” w apartamencie Deluxe jest mało przekonująca.

Tymczasem prezydent Warszawy wystąpił na ostatniej konferencji w Monachium. Potem odwiedził Helsinki, gdzie spotkał się z prezydentem Alexandrem Stubbem i rozmawiał z władzami miasta o obronie cywilnej i systemie schronów. Wyskoczy też do Brukseli. Z myślą o drugiej turze unika dyskusji światopoglądowych, w które chce go wciągnąć PiS. Odcina się od Zielonego Ładu, popiera szczerne granice i blokowanie napływu imigrantów. I po raz setny zapewnia, że Polska nie wyśle żołnierzy do Ukrainy. Ale i tak nie może być pewien zwycięstwa.

I to nie tylko dlatego, że część wyborców jest niezadowolona z dokonania rządu Donalda Tuska. Wybory prezydenckie są jednak bardzo spersonalizowane. Częściej decydują emocje, a nie racjonalna ocena poglądów. Kandydat musi budzić sympatię, mieć charyzmę i urok. Pod tym względem Trzaskowski nie dorównuje mistrzowi w tej kategorii, czyli Aleksandrowi Kwaśniewskiemu. Ludzie po prostu lubili jego otwartość i bezpośredni, przyjazny sposób bycia. Nawet ci, którzy nie przepadali za postkomunistami.

I kolejna ważna kwestia – rodzina. Być może sztab prezydenta Warszawy planuje zajęcie się tym wątkiem później, ale nie powinien tego aspektu lekceważyć. Małgorzata Trzaskowska jest atutem, który nie jest dostatecznie eksploatowany. W kampanii bierze udział cała rodzina włącznie z dziećmi. Bronisław Komorowski w 2015 roku to odrzucał, bo jego dzieci chciały zachować prywatność. Po ludzku to zrozumiałe, ale w polityce bezwzględnie się mści. Żona Karola Nawrockiego już się pokazała, choć widać, że czuje się w tej roli niepewnie. Ale nic tak nie łapie za serce jak zdjęcie dwóch synów Nawrockiego (starszy jest przez niego adoptowany), którzy w mediach społecznościowych z uśmiechem donoszą, iż z wielką determinacją zbierają podpisy dla taty. W kampanii Trzaskowskiego takich elementów nie ma i chyba nie ma też pomysłu jak tę część kampanii poprowadzić. • **Dominika Wielowieyska**



Mają żony, dzieci, wykształcenie i kredyty na mieszkanie. W dzień obsługują klientów lub excela, w nocy wsiadają do kilkusetkonnych bmw i nissanów. Wysłuchałem drifterów z Warsaw Night Racing.

Rafał Górski

W idzisz te nacięcia? To jest symbol końca legalności WNR – mówi 34-letni Paweł (imię zmienione), który od 8 lat bierze udział w imprezach Warsaw Night Racing. To nielegalne nocne wyścigi samochodowe.

Paweł nie pokazuje twarzy i dba o prywatność, bo policja stale ściga uczestników rajdów. One w ostatnim czasie stały się w mediach symbolem piractwa drogowego, na nich po serii tragicznych wypadków skupiła się uwaga komentatorów, prawodawców i instytucji państwa.

Pierwszy, najgłośniejszy z 16 września 2023 r. Autostradą A1 trzyosobowa rodzina wracała z wakacji. Od domu dzieli ich ok. 1,5 godzin, gdy w tył ich Kii wjeżdża z prędkością 253 km/h bmw prowadzone przez młodego przedsiębiorcę Sebastiana M. i spycha na pobocze. Kia staje w płomieniach, cała trójka ginie na miejscu. Sprawca ucieka do Dubaju.

Lipiec 2024 r, Borzęcin pod Warszawą. W grupkę chłopców na rowerach na chodniku uderza bmw. Ginie 12-latek jadący na własne urodziny, świadkowie znajdują go wiele metrów dalej. 26-letni kierowca wydychuje 3 promile.

15 września 2024 r., Trasa Łazienkowska. Po 1 w nocy w forda wiozącego czteroosobową rodzinę z ogromną siłą uderza volkswagen arteon. 37-letni Rafał ginie na miejscu, jego żona, 4-letni syn i 8-letnia córka zostają przewiezieni do szpitala z ciężkimi obrażeniami. Łukasz Ż., lat 26, wielokrotnie karany, m.in. za posiadanie narkotyków i jazdę pod wpływem, z pięciokrotnym zakazem prowa-

dzenia, godzinę wcześniej w jednej z knajp wypił osiem kieliszków wódki. Tuż przed zderzeniem gnał 226 km na godzinę.

9 października 2024 r., rondo Tybetu na warszawskiej Woli. Tomasz U. – z zakazem prowadzenia pojazdów po tym, jak prowadził autobus po amfetaminie, zabijając pasażerkę i raniąc innych pasażerów – potrafił pieszego na przejściu.

Z taką siłą, a więc z taką prędkością, że ofiara przeleciała kilkadziesiąt metrów.

Stoimy na terenie byłej fabryki samochodów FSO na warszawskim Żeraniu, w miejscu nieistniejącego już toru do testów aut, które zjeżdżały z fabrycznej taśmy. Paweł odpala papierosa od papierosa, zaciąga się głęboko i łapczywie. Popiół cały czas spada mu to na spodnie, to na kurtkę, instynktownie go strzepuje. Mówi, że to jego drugi nalóg, pierwszy to samochody. Ale nie łączy ich, w aucie nie pali.

65-letni Tor Żerań widział wiele. Testy syreny sport, warszawy, fiata 125p, Rajd Barbórka i bicie rekordów – z sezonu na sezon – nowocześniejszymi i szybszymi samochodami. W 2016 roku zaczęli ścigać się tu wielbiciele ulicznych wyścigów. Placili za wynajem i działali legalnie.

Nacięć na torze, o których mówi Paweł, już nie ma. Pokazuje mi je na zdjęciach. W 2017 roku Mennica Polska, ówczesny właściciel toru, postanowiła wyrzucić z niego amatorów driftu, czyli efektownej jazdy kontrolowanymi poślizgami.

– Weszli na teren toru z samego rana, armia prawników i ochrona. Wygonili naszego pracownika i rozpoczęli demolkę. Mieliśmy wtedy podpisaną umowę dzierżawy, którą Mennica wypowiedziała. Sprawa była w sądzie, pierwszą rozprawę zaplanowano na luty 2018 roku. Ale oni polskie prawo zinterpretowali po swojemu. Zaraz za prawnikami wjechała koparka.

By zniechęcić drifterów, nacięto asfalt na torze. Szanse, że koła driftującego wozu utrzymają przyczepność w takim miejscu, są bliskie zeru.

– Potem wykopali doły, zerwali asfalt. W 10 minut 65-letnia historia toru stała się wspomnieniem. A my wróciliśmy tam, skąd przyszliśmy, czyli na ulicę – wyjaśnia.

Toru nie ma od ośmiu lat. Zaraz po jego zamknięciu miało tu powstać osiedle. Ale końca budowy mieszkań dla 10 tys. osób nie widać. We wrześniu 2024 roku pojawił się kolejny deweloper. Firma Asbud chce zrównać z ziemią całą byłą fabrykę samochodów i zbudować gigantyczne osiedle – dzielnicę dla tysięcy ludzi. Ale na razie teren nie jest objęty planem zagospodarowania pod zabudowę mieszkaniową. Paweł uważa, że tor mógł jeszcze im służyć. Tu przecież nikomu nie przeszkadzała, okolica to tereny poprzemysłowe i kolejowe, dwie-trzy uliczki domów jednorodzinnych, ocalałych pozostałości po niedoszłej przedwojennej dzielnicy, i znowu – hale sklepów wielkopowierzchniowych, magazyny.

A imprezy starali się organizować profesjonalnie – catering na torze, hostessy „startujące” auta, ochrona i opłaty za wstęp, z których organizatorzy pokrywali koszty utrzymania toru.

Warsaw Night Racing działa od 2015 roku, ale o organizacji zaczęto mówić po śmierci w płomieniach rodziny na A1, a zrobiło się głośno po tragedii na Trasie Łazienkowskiej. Szybko ją powiązano – zapewne na zasadzie skojarzenia „szybkie samochody, młode chłopaki” – z pasjonatami szybkiej jazdy z WNR-u.

O ukaranie członków grupy apelował m.in. Jan Mencwel. Znany aktywista miejski, radny i działacz stowarzyszenia Miasto Jest Nasze stwierdził, że drifterzy za bardzo się panoszą i zachęcają innych do ekstremalnie szybkiej jazdy.



FOT. FRANCISZEK MAZUR / AGENCJA WYBORCZA.PL

• **Tor dawnej FSO na Żeraniu w Warszawie. Kiedyś testowano na nim produkowane w fabryce auta. Od 2016 r. ścigali się tu amatorzy nocnych wyścigów. Płacili za wynajem. Ale teren kupił deweloper i rok później ich wyrzucił. Tor zniszczył. Osiedle nadal nie powstało. Zdj. Warsaw Night Racing, 11.03.2017 r.**

nich, jeszcze nie retro, ale już historycznych. Bo jedni i drudzy umawiają się na wieczorne „ustawki” pod hipermarketami, gdzie podziwiają nowe felgi kolegów czy chwalą nabytkiem w rodzaju rzadkiego citroena albo niedocenianego, a coraz rzadszego dawoo z Żerania. A tymczasem w projekcie czytamy o wprowadzeniu definicji „zgromadzenia użytkowników pojazdów” i nałożeniu obowiązku informowania o takich wydarzeniach „organu gminy”. Zorganizowanie takiego zgromadzenia bez wcześniejszego zawiadomienia organu gminy ma być traktowane jako wykroczenie.

Innymi słowy – komentował m.in. popularny serwis Autoblog – wykroczeniem będzie umówienie się na parking pod Ikeą z parunastoma innymi fanami i fankami tej czy innej marki, nawet jeśli takie spotkanie ograniczy się do rozmów przy samochodach i przysłowiowego „kopania w koło”.

Trzecia strona medalu jest taka, że choć nowe przepisy wydają się przesadnie surowe i kojarzą z odpowiedzialnością zbiorową, to państwo coś zrobić musiało, bo – co do tego zgadzają się i ścigani, czyli street racerzy, i ścigający, czyli policjanci – liczba ulicznych wyścigów rośnie. I już nie odbywają się tylko na przedmiejskich pustkowiach, na co przymyka no oko na zasadzie „a niech się wyszumia, poćwiczą, a szkodliwość niewielka”.

Coraz więcej młodych debutantów zainspirowanych wyczynami piratów z filmików na YouTu-

w swoich kanałach w social mediach już zapowiedział, że to może zakończyć imprezy drifterskie.

– Nie mam pojęcia, gdzie będziemy jeździć, ale będziemy, to jak narkotyk – mówi na to Paweł. Nie wygląda tak, jak często publicyści i komentatorzy na forach wyobrażają sobie „nocnych ścigantów” – dresy z trzema paskami, sportowe obuwie, niepełne uzębienie, wykształcenie podstawowe lub zawodowe, życie na „dzielni”, niejasne dochody, tanie szluga i browar. To stereotypowy rysopis chłopaków z pogranicza zwinionej lub dziedzicznej patologii, jakich niegdyś nazywano dresiarzami czy blockersami.

Paweł pracuje w korporacji, chodzi w krawacie, w środy ma „owocowe czwartki”. Zarabia powyżej średniej krajowej. Studiował prawo, ale nie skończył, bo trzeba nie tylko dużo się uczyć, ale i – jeśli chce się być w towarzyskim, czyli w przyszłości w zawodowym obiegu – dużo imprezować.

– Wydział prawa na UW to wieczna impreza, odpadłem po dwóch latach. Nauka też trochę mnie przerosła, fakt, ale najbardziej studenckie knajpy. Wołałem jeździć. Nie da się tego pogodzić, będąc wiecznie na kacu – wyjaśnia.

Wszystko zaczęło się na „Cargo na Okęciu”, czyli na parkingu przy ulicy Wirażowej. – To legendarny punkt na warszawskiej mapie fanów motoryzacji. Chyba każda osoba, która jeździła na spoty w Warsza-

Nadkomisarz policji z dużej warszawskiej dzielnicy: Prawa powinien przestrzegać każdy, nie można go traktować wybiórczo, bo ktoś ma taką, a nie inną pasję

be chce dreszczyku emocji, jaki daje ściganie się np. w tunelu Wisłostrady – w samym sercu miasta, ruchliwym nawet nocą.

A narzędzia w rękach policji były bardzo ograniczone. Podczas ostatniej imprezy pod egidą WNR grupa obchodziła 10 urodziny. Funkcjonariusze postanowili nie dopuścić do zbyt hucznego świętowania. Od początku do zakończenia śledzili uczestników. W akcji brały udział nie tylko dziesiątki policjantów umundurowanych i po cywilnemu; stołeczna policja obstawiała radiowozami całą okolicę, w której odbywało się spotkanie, wypuściła w powietrze drony, które wspierał śmigłowiec.

Lecz plon, jak na tak angażującą siły akcję, był mizerny. Skontrolowali prawie 800 osób, wystawili 340 mandatów na kwotę 140 tys. złotych. Średnio nieco ponad 400 złotych na głowę, co może robi wrażenie, ale tylko 120 mandatów było za przekroczenie prędkości. Reszta – za nielegalne tuninowanie aut – modyfikację oświetlenia, ingerencję w układy wydechowe, które poza hałasem przekraczają normy spalin, czy za oklejanie szyb zaciemniającą folią.

„Nie doczekali się prawdziwych wykroczeń, to postanowili poprawić wynik i uprzykrzyć życie pierdolami bez znaczenia dla bezpieczeństwa ruchu” – zinterpretowali to uczestnicy urodzin WNR.

Może i trafnie – ale ta historia pokazuje, że również w przypadku naprawdę niebezpiecznych wyczynów jak np. wyścigi spod świateł na Marszałkowskiej czy Wisłostradzie, policja niewiele może zrobić, prócz mało dotkliwego czepiania się kwestii homologacyjnych, jeśli nie złapie rajdowców na gorącym uczynku, tylko namierzy ich już po wszystkim.

Policjanci od dawna skarżą się, że walka z nielegalnymi wyścigami jest bardzo trudna. Nie tylko dlatego, że brakuje funkcjonariuszy, a wyścigi są latające, czyli w zmiennych lokalizacjach.

Jak tłumaczy rzecznik Komendy Stołecznej Policji Robert Szumiata, policja często ma związane ręce przepisami. – Nie możemy karać ludzi za to, że zbierają się na parking. Możemy tylko skontrolować hałas i szukać nielegalnych modyfikacji w samochodzie – wyjaśnia.

Teraz gdy mundurowi mają dostać wsparcie rządu – i to nie byle jakie, bo w zmiany prawne zaangażował się sam minister Adam Bodnar – WNR

wie, była chociaż raz na Wirażowej – opisuje Paweł.

Na początku było to niszowe miejsce, gdzie miłośnicy wyścigów ulicznych ścigali się ze świateł, korzystając z tego, że po przebudowie peryferijnej uliczka zmieniła się w kilkupasmówkę – prostą, szeroką, a w zasadzie nieuczęszczaną, bo z racji sąsiedztwa lotniska daleką od zabudowań. – No stworzona do rajdów – uśmiecha się Paweł.

– Pierwszy raz byłem tam na początku 2011 roku. Miałem 19 lat, zwykłą toyotę corollę nieprzystosowaną do brawurowej jazdy, ale za to sam miałem wrodzoną brawurę. To było jak wejście do innego świata. Sama elita, wozy może nie jak z „Szybkich i wściekłych”, ale żadnych przerdzewiałych progów czy ciekających przewodów. Czuć było życie na „stricie”, wszystko na nielegalu, z innymi zajawkowiczami, w otocze tajemnicy. Klimat podziemnego klubu – opowiada.

Ale cargo szybko z miejsca elitarnego stawało się egalitarne. Im bardziej rosło grono wtajemniczonych, tym bardziej niosła się fama nowej fajnej miejscówki, i złoty zaczęły obrastać w zwykłych widzów – oraz imprezowiczów.

– Początkiem końca był moment, gdy na Wirażową zaczęli przyjeżdżać ludzie po prostu poimprezować. Wypasionymi furami, fabrycznie tuningowanymi mercami amg czy beemkami linii m. Bardziej „banany” niż zajawkowicze. Alkohol, miękkie dragi. Driftowali ludzie, którzy nie mieli takich umiejętności. Zaczęło dochodzić do wypadków – wspomina.

Aż w 2012 roku doszło do tragedii. Podczas driftu audi zdarzyło się z nissanem, zginęły trzy osoby. – Wtedy „kreski” [tak drifterzy mówią o swoich spotkaniach, od śladów zostawianych na jezdni przez rozgrzane opony] „na Cargo” się skończyły.

Teraz Paweł jeździ BMW, podrasowanym do 390 koni, w środku ma klatkę bezpieczeństwa, do setki rozpęda się w 5 sekund, najszybciej jechał nim 240 km/h. Mówi, że żona już dawno pogodziła się z jego pasją. Choć stanowczo jej nie popiera. Boi się, że kiedyś mąż nie wróci.

Ale według 33-lątka nie ma takiego ryzyka, bo jak twierdzi – co, jak, co – ale drifterzy to przede wszystkim świetni kierowcy. – Śmiało mógłbym uczyć bezpiecznej jazdy, zresztą wśród nas jest kilku instruktorów prawa jazdy. Wypadek z udziałem członka WNR to oksymoron, takie rzeczy w zasadzie się nie dzieją,

Członkowie grupy uznali, że to nagonka. W oświadczeniu organizatorów wyścigów czytamy: „Po raz kolejny my, jako największa grupa motoryzacyjna, jesteśmy mieszanymi z błotem i jesteśmy łączeni z bestialskim zachowaniem jakiegoś ćpuna, który już dawno powinien być osadzony w więzieniu. Mówimy dość. Nie jesteśmy bandytami, a tym bardziej mordercami drogowymi”.

Między sobą życzliwi się, że znowu stali się symbolem drogowej patologii, chociaż kręcą bączki na uboczu, a w normalnym ruchu ulicznym są pierwsi do przestrzegania przepisów. Bo wiedzą, że są na cenzurowanym i bo zdarzało im się na własnej skórze testować zasady fizyki.

– Łatwiej spotkać menedżerkę w służbowej skórze z telefonem w dłoni, jak przejeżdża na czerwonym czy kierowcę autobusu, który nie hamuje przed pasami, niż któregoś z naszych w takiej sytuacji – gorzko żartowali. Nie pomogło.

Po tragedii na Trasie Łazienkowskiej wojnę driftrom wypowiedział rząd. W najnowszym projekcie dotyczącym zaostrzenia kar, który przygotował specjalny zespół w resorcie sprawiedliwości, ma pojawić się definicja „nielegalnego wyścigu samochodowego”. Zaś w kodeksie wykroczeń pojawiają się przepisy mówiące o drifcie i możliwości karania uczestników nielegalnych imprez motoryzacyjnych.

Jak zapowiadają urzędnicy, „policja dostanie wkrótce potężny oręż” – w walce z nielegalnymi wyścigami, a przy okazji z miłośnikami nieformalnych zlotów. Bo za driftowanie grozić będzie grzywna w wysokości do 30 tys. zł, ale na mandat (od 1 do 5 tys. zł) narażą się „uczestnicy imprez”, czyli nie tylko kierowcy, ale też pasażerowie czy zwykli gapie.

Rządowe zapowiedzi rozpałyły emocje na forach i blogach miłośników motoryzacji. Nie tylko najnowszej i wyścigowej, również fanów tuningu czy miłośników tzw. youngtimerów, czyli aut 30-60-let-

bo potrafimy reagować w sytuacjach stresowych, wychodzimy poza schemat – przekonuje. – Zrozumiałe, że jak ludzie słyszą o takim gościu jak ten, co ostatnio uciekał w Gozłowie beemką chodnikami i trawnikami przed policją, to mają skojarzenia z nocnymi wyścigami. Ale w naszym środowisku ktoś taki nie miałby czego szukać.

A co zastąpiło Wirażową? Obecnie najpopularniejszym spotem w Warszawie jest parking pod Auchanem na Modlińskiej. Miłośnicy brawurowej jazdy spotykają się co dwa tygodnie w soboty. Ale są też inne popularne miejsca i stale ich przybywa – w samej stolicy do najpopularniejszych należą: parking przed Leroy Merlin na Żeraniu, centrum handlowe Okęcie Park czy parking przed Leroy Merlin w Wawrze.

Ale też, niestety, choćby tunel pod Włostradą. A ponieważ nie tylko ze strachu przed Bodnarem i przez „medialną nagonkę”, ale właśnie przez takie przypadki („przypały lebków z TikToka”, utrzymują starzy wyjadacze) członków grupy stale monitoruje policja, ci próbują grać z funkcjonariuszami w kotka i myszkę.

Dokładne miejsce spotu nie jest znane niemal do ostatniej chwili. Na godzinę przez spotkaniem na jednym z portali społecznościowych pojawia się znikająca wiadomość. To rząd cyfr – współrzędne miejsca zbiórki.

Przeszywający jazgot wysokoobrotowych silników i pisk opon przyprawiający o ból głowy to również codzienność mieszkańców osiedla przy ulicy Geodezyjnej na Białolecie, w sąsiedztwie marketu Decathlon Targówek. Na sklepowym parkingu cyklicznie odbywają się nielegalne imprezy drifterów. Palą nie tylko gumę bieżników swoich opon, ale też podpalają zużyte opony, żeby efekt dymu – mającego świadczyć o zamasytości poślizgu – był lepiej widoczny. To m.in. za sprawą nielegalnych wyścigów na Geodezyjnej nie ma tygodnia, by temat nocnego ścigania nie wracał na łamy gazet i portali.

– To nie my, to nasi naśladowcy. Zupełnie bez kontroli. U nas najważniejsze jest bezpieczeństwo, dlatego jest żelazny zakaz spożywania alkoholu. Z narkotykami tak samo – twierdzi Paweł. – I żadnych żenujących przypałów typu wygrywanie melodii klakso-nem, palenie opon, odpalanie rac.

Przekonuje, że w trakcie zlotu ochotnicy-porządkowi chodzą po parkingu i sprawdzają, czy wszyscy przestrzegają regul.

– To prawda, zdarza się ktoś z puszką czy butelką. Jest grzecznie proszony o wyrzucenie do śmietnika. Jak nie posłucha próśby? Zdarza się, że dochodzi do szarpaniny. U nas jest zero tolerancji dla alkoholu. Samochody i wódka to nie jest dobre połączenie.

Jeden z założycieli WNR-u stracił ojca w dzieciństwie. Potrafił go pijany kierowca, sprawca dostał rok więzienia. Dlatego, gdyby ktoś chciał wejść za kółko po alkoholu, miałby duże problemy. Jakże?

– Usunęlibyśmy go siłą – Paweł wzrusza ramionami. A dlaczego nie mogą napić się piwa zaproszeni goście, znajomi, dziewczyny, jeśli są tylko widzami?

– Zasada „żadnych używek” na spotach wynika wyłącznie z bezpieczeństwa – tłumaczy. – Nawet jeśli tylko sobie stoisz i piwkujesz, to twoja zdolność reakcji jest obniżona. Jedzie samochód, coś pójdziesz nie tak albo sam staniesz na rauszu nie tam, gdzie trzeba, nie zdążysz odskoczyć i cię nie ma.

– Trzeba postawić sprawę jasno. Wszystko to, co dzieje się na ulicach, w pasie ruchu drogowego, to nie są rajdy. W skrajnych przypadkach to bandytyzm drogowy. Nazywanie tego rajdami samochodowymi to psucie wizerunku legalnego sportu – mówi Jakub Kosiński, rajdowiec.

Rajdy, przypomina, odbywają się na zamkniętych dla ruchu odcinkach, zabezpieczonych, z udziałem służb. – To oficjalny sport motorowy, nie powinniśmy powielać krzywdzącego schematu i opowiadać o rajdach w przypadku nielegalnych wyścigów – dodaje rajdowiec.



• **Jak zapowiadają urzędnicy, za driftowanie grozić będzie grzywna do 30 tys. zł, ale mandat (1-5 tys. zł) mogą też zapłacić „uczestnicy imprez”: pasażerowie i gapie.**

Ale to nie znaczy, że w jakimś sensie nie kibicuje ludziom takim, jak Paweł. Diagnozuje, że problemem jest brak dostępnych cenowo obiektów. Owszem, życiowo ustawieni amatorzy driftu mogą korzystać z torów oddalonych o kilkadziesiąt kilometrów do wielkich miast.

W Słomczynie, 45 km od centrum stolicy, koszt wynajęcia toru na godzinę, zaczyna się od tysiąca złotych. Ale żeby zorganizować tam większy zlot, trzeba zgłosić imprezę masową, wynająć ochronę i zapewnić logistykę. Koszt kilkanaście razy wyższy. Kiedy pasjonaci WNR chcieli urządzić spot na torze w Modlinie, zarządca autodromu wyceenił jedno wydarzenie na 60 tys. zł.

No i nie wiadomo, jak długo te tory jeszcze w ogóle będą. Od lat są na cenzurowanym, bo miasta się rozpędzają, tam, gdzie dekady temu, gdy budowano tor, były łąki i nieużytki, rosną nowe osiedla, a ich mieszkańcom przeszkadza hałas i zapach spalin. Organizują protesty, nasyłają kontrole.

Kiedy w 2018 roku odwołano kolejną edycję Gran Turismo Poland na Torze Poznań, bo mieszkańcy osiedli Przeźmierowo i Ławica poskarżyli się na hałas, prezydent miasta zadeklarował zamknięcie toru, ale później się wycofał.

Gorzej dla hobbystów skończyła się awantura o tor w Lublinie, który Polski Związek Motorowy sprzedał deweloperowi. Miejsce w dzielnicy Wrotków działało od 1979 roku i gościło największe wydarzenia motoryzacyjne w Polsce. Pierwsze skargi zaczęły się w 2007 roku, gdy w okolicy powstało pierwsze osiedle. Po torze już nie ma śladu, jeszcze w 2015 roku ratusz obiecywał budowę nowego i na tym się skończyło.

– A tymczasem polskim kierowcom brakuje wyszkolenia. Niewiele osób wie, w jaki sposób wyjść z opresji na drodze – mówi Krzysztof Stańczuk, kierownik toru w Białymstoku.

Polscy instruktorzy nie uczą jazdy w poślizgu czy hamowania awaryjnego, bo nie ma takich wymogów ani zwyczajnie, czasu.

Przyszłym kierowcom zależy, żeby jak najszybciej zaliczyć egzamin i jeździć.

– Zdać i zapomnieć, jak w podstawówce. A na drodze czeka wiele niespodzianek, do których kierowcy nie są przygotowani na żadnym etapie szkoleń. Jedynie doświadczenie w boju uczy, jak wyjść z opresji. Mało kto wie, że czasem np. zamiast hamulca, lepiej wcisnąć gaz i tak „wyciągnąć” auto z niebezpiecznej sytuacji. Ale do tego trzeba mieć wiedzę i wyczucie, kiedy to pomoże, a nie bardziej zaszkodzi. Dlatego im więcej pasjonatów na drogach, tym bezpieczniej dla wszystkich – podsumowuje Stańczuk.

WNR uznało, że nawet jeśli niesprawiedliwie obrywają rykoszetem – bo co wspólnego z chłopakami i dziewczynami ścigającymi się wyszykowanymi po nocach starymi hondami na pustym parkingu, ma ten Sebastian z Dubaju, cisnący autostradą ekskluzywnym bmw za kilkaset tysięcy? – to łatka już przylgnęła. I WNR próbuje zmasać wizerunkową plamę.

Od kilku lat grupa zajmuje się działalnością charytatywną. Akcje imponują rozmachem, jak w maju 2019 roku, gdy z Warszawy wystartowała charytatywna podróż WNR TRIP – „7 miast, Wyścig o jutro”. Wyprawa objęła Białą Podlaską, Białystok, Lublin, Rzeszów, Kraków, Kielce i Radom. Głównym celem inicjatywy było pomaganie dzieciom w domach dziecka. W każdym z nich uczestnicy po pokazie kawalkady sportowych aut zostawiali kilkanaście tysięcy złotych. – Robimy około 10 takich imprez rocznie. Ale prawdy nikt nie chce usłyszeć, bo jest mało medialna, lepiej przeczytać artykuł, że „naćpany debil z WNR-a spowodował wypadek” niż że” chłopaki z WNR wsparli cztery placówki opiekuńczo-wychowawcze na kwotę przekraczającą 30 tys. zł – twierdzi Andrzej.

40-latek jeździ sportowym Nissanem o mocy 600 koni. „Łata bokiem”, czyli driftuje, odkąd pamięta. Mówi, że w jego żyłach

płynie benzyna. Skończył szkołę zawodową przy FSO, wychował się na torze na Żeraniu, żonę poznał na jednym ze zlotów na gościnnych występach w Krakowie.

Andrzej chce pokazać mi jeszcze jeden wymiar „latania bokiem”. Bo wkurza go, gdy słyszy, że to tylko egoistyczne, kosztowne, aspołeczne i maczystowskie hobby. A to przecież również sposób na wyciągnięcie dzieciaków z bloków z potencjalnych kłopotów. – Zamiast pić piwko i palić zioło na ławce, pracują na ulepszanie swoich fur i robią kreski. To chyba dobrze, nie?

Andrzej jest z Woli. Wychowywał się w okolicach szpitala na Działdowskiej, do gimnazjum chodził na Deotymy. Dziś to niemal serce miasta, w okolicy wyrastają nowe apartamentowce i całe dzielnice, stara chłoporobotnicza Wola też się gentryfikuje, ale jeszcze dwie dekady temu biła rekordy w statystykach przestępczości.

Ulicę Ogrodową nazywano „Łatających Szczyrów”, Pigalak, czyli okolice Okopowej, to wylegarnia ulicznej bandyterki i przestępczości narkotkowej, do tego pijackie meliny i zagłębia narkotykowe, które śmiało mogły konkurować z praskimi Szmulkami czy ciesząc się do dziś złą sławą, choć nieco przebrzmiała, ulicą Brzeską. Wola była tym, czym w Bydgoszczy Londynek i w Poznaniu Jeżyce.

Na podwórku bieda aż piszczała, z kumplami snuł się po ulicach i szukał problemów. Ale raczej dla towarzystwa niż z odwagi, bo Andrzej zawsze się bał, że jak podrośnie, to źle skończy. Będzie chodził na awantury albo pójdzie w dilerkę, jak niemal każdy kolega z podwórka, i wyląduje w celi. W gimnazjum spędził dwa lata więcej, niż powinien, potem poszedł do samochodówki – i przepadł. Nie miał już czasu na destrukcyjnych kolegów. Jak mówi, motoryzacja uratowała mu życie.

Uważa, że zła opinia o WNR to temat zastępczy. Pewnie, na zloty przyjeżdżają różni ludzie, zdarzają się spotowicze bez kultury, bananowe dzieci balujące za pieniądze rodziców, regularni dresiarze czy drobna gangsterka. Tylko jak to sprawdzić, nim spot się zacznie? Ale mimo takich przypadków, twierdzi, rzeczywistość jest inna niż to, co sprzedają media. Większość osób, które bierze udział w spotach, nie rajcuje aż tak bardzo smród palonej gumy i przekraczający wszelkie normy ryk silników. To tylko dodatek do gadzeczniarstwa.

– Ludzie chcą podpatrzeć od innych nowe rozwiązania, które mogliby wykorzystać w swoim samochodzie, popatrzeć na fajne sprzęty, pogadać. Drift czy ściganie się to bonus. Owszem, przyjemny, ale jest bezpieczne, bo przecież jeździmy w środku nocy i to ulicami, o których wiadomo, że są puste – przekonuje Andrzej.

Śmieje się, że kiedyś bał się, że wpadnie w ręce policji, choć prawa nie łamał, a dziś już się nie boi, choć łamie prawo. – Nie robimy nic złego. Dbamy o bezpieczeństwo, na zlotach nie ma wypadków. Gdybyśmy mieli w Warszawie własny tor, to nie byłoby problemu – usprawiedliwia się.

Nie ma pretensji do policjantów. Wie, że wykonują swoją pracę. – Jak jesteś człowiekiem i podchodzisz z szacunkiem, to oni też potrafią zachować się przyzwoicie. A jak kozaczysz, to cię dojadą. Proste.

Gdy nie jeździ bokiem, sprowadza używane samochody z Niemiec. Żyje uczciwie, płaci podatki. Auta to jego życie, jedni pasjonują się kinem a inni motoryzacją. Nigdy nie dostał mandatu za przekroczenie prędkości.

– Ludzie, którzy jadą 150 na godzinę po mieście w biały dzień to kompletni debile. Powinno im się od razu odbierać prawo – przekonuje.

Twierdzi, że zamiast karać drifterów w imię poklasku medialnego i słupków poparcia w sondażach, politycy powinni wprowadzić bardzo wysokie kary za jazdę bez uprawnień i pod wpływem środków odurzających.

„Łatwiej spotkać menedżerkę w służbowej skodzie z telefonem w dłoni, jak przejeżdża na czerwonym czy kierowcę autobusu, który nie hamuje przed pasami, niż któregoś z naszych w takiej sytuacji”

– Jeśli jazda po pijaku byłaby traktowana jak usiłowanie zabójstwa, byłoby bezpieczniej. To samo z jazdą bez uprawnień. Wchodzisz do auta – musisz się liczyć z nieuchronnością kary. Ale przecież politycy sami jeżdżą na bani. Łatwiej wojować z pasjonatami motoryzacji – narzeka.

– Po pierwsze, policja nie jest od weryfikowania, jakie umiejętności ma ktoś ślizgający się wokół ronda w stuningowanym aucie, od roztrząsania, czy stylem jazdy stwarza, czy nie stwarza zagrożenia na drodze. Łamie przepisy lub nie łamie, a jeśli łamie, jest piratem drogowym – odpowiada nadkomisarz policji z dużej warszawskiej dzielnicy, gdy przytaczam mu skargi ulicznych ścigantów. – Po drugie, prawa powinien przestrzegać każdy, nie można go traktować wybiórczo, bo ktoś ma taką, a nie inną pasję.

A wyższe umiejętności? Świetnie, że drifterzy i ściganci je mają, z pewnością przydadzą się w nagłych sytuacjach w normalnym ruchu drogowym. Ale im bardziej ekstremalny styl jazdy, tym większe ryzyko.

– Łatwo się mówi, że wszystko jest pod kontrolą, dopóki tej kontroli nie straci. A o to tym łatwiej, im bliżej granic przyrzeczności, im wyższa prędkość, im gwałtowniejsze manewry. Więc po trzecie, a co, jeśli w nieodpowiednim momencie na tym pustym parkingu albo pustej podmiejskiej drodze pojawi się dziecko i zginie na miejscu? Niemożliwe? Na tym polegają wypadki. Kto weźmie za to odpowiedzialność? – pyta nadkomisarz.

– A po czwarte, organizując większe zloty, łamią przepisy już na „dzień dobry”, bo wydalenie, na którym jest tysiąc i więcej uczestników, trzeba zgłosić jako imprezę masową. Nie chodzi o biurokratyczne czepialstwo, tylko o odpowiednie zabezpieczenie, obecność służb, najogólniej o bezpieczeństwo. Jeśli nie robią nawet tego, to znaczy, że nie chcą brać odpowiedzialności – konkluduje.

Drifterzy, których poznałem, są dalecy od stereotypu pirata drogowego. Nie spotkałem agresywnych osiłków kipiących testosteronem ani aroganckich nuworysz z tych, co w niemieckim SUV-ie premium siadają ci na zderzaku, gdy wyprzedasz tira na autostradzie albo trąbią z furią, kiedy jadąc przed nimi, zahamujesz na pomarańczowym świetle.

Członkowie grupy WNR mają żony, dzieci i kredyty na mieszkanie, w sporej części wyższe wykształcenie. Są wśród nich kobiety lubiące adrenalinę. To często instruktorzy jazdy, kurierzy, zawodowi kierowcy, mechanicy, przedsiębiorcy z branży samochodowej, ale jest wiele zawodów zupełnie niezwiązanych z motoryzacją. Wydają ciężkie pieniądze na modyfikacje aut, o których opowiadają ze znanstwem i pasją.

Pasują do nich określenia takie jak „pasjonaci”, „hobbyści”. I wszyscy tłumaczą, że palenie gumy i wyścigi spod świateł na peryferiach to bezpieczny sport.

Ale nie brakuje tragicznych dowodów – i to z paru ostatnich lat – że nie do końca.

W 2018 roku w Stargardzie kilkaset osób zebrało się w centrum miasta. „Latanie bokiem” wokół ronda zakończyło się katastrofalnie dla postronnych. Prowadzący srebrne bmw e46 kombi 18-latek stracił panowanie nad autem i wpadł na chodnik przy budce z kebabem. Samochód i fruwające odłamki karoserii ranily 6 osób – 4 młodych mężczyzn, młodą kobietę i 10-latkę.

Jesień 2021 roku, mężczyzna przechodzi przez jezdnię w Krośnie – prawidłowo, pasami. Uderza go jadący w „kontrolowanym poślizgu” drifter. Ślad hamowania i blokowania kół ma ok. 35 metrów. Mężczyzna ginie na miejscu. Sąd orzekł, że kierowca Mateusz H. prowadził w sposób nieodpowiedzialny, nie dojrzały, brawurowy. Skazał go na dwa lata za nieumyślne spowodowanie śmierci.

W marcu 2024 roku w podwarszawskiej Jabłonnej ma parking pod centrum handlowym zebrało się ok. 200 pojazdów. Jeden z drifterów wjechał w dwie kobiety oglądające zlot. Jedna znalazła się w szpitalu z ciężkimi obrażeniami ciała.

– To są skrajne przypadki, które dzieją się bardzo rzadko. Są ludzie, którzy kupują „dri-

ftowóz”, ale nie mają pojęcia o jeździe – mówi Andrzej.

– Ale to są wasi naśladowcy. Co z tego, że wy umiecie jeździć.

– Nie jesteśmy w stanie wszystkich wychować. A przecież ten ktoś nie musiał zainspirować się nami, mógł obejrzeć film na YouTube. Jak go powstrzymać? – odpie-ra Andrzej. – A jeśli idzie o spoty, to zdarza się, że od takich popisów w ruchliwych miejscach dochodzi już po spotkaniach.

– Czyli jednak wasze spotkanie bezpośrednio stwarza zagrożenie na drodze. Bo ludzie naładowani adrenaliną szarżują podczas powrotu do domu w regularnym ruchu.

– No tak, to jest niesamowita adrenalina. A to, że nawet gdy ulica jest kompletnie pusta, to nielegalne, dodaje smaczku. Ale to nie znaczy, że nas kręci łamanie przepisów. My chcemy się zalegalizować! Chcieliśmy wynająć od miasta parking pod Stadionem Narodowym, ale nie chcą z nami gadać

Gdy pytam, jak wyobrażają sobie zorganizowanie imprezy masowej, wzięcie odpowiedzialności za osoby postronne, znalezienie ubezpieczyciela, zapewnienie zaplecza medycznego i tak dalej, Andrzej odwraca wzrok.

– Jesteśmy przede wszystkim bardzo dobrymi kierowcami. A na ulicy nie wszystko da się przewidzieć. Czasem w nieodpowiednim miejscu i czasie może pojawić się dziecko. Ale my wiemy, jak wtedy zareagować i do tragedii nie dochodzi. A problemem są nowi, młodzi. W samej Warszawie jest kilkanaście mniejszych grup. Tylko że wszystkich wrzucą się do worka z napisem Warsaw Night Racing – skarży się.

Andrzej przekonuje, że założyciele tych innych formacji to często ludzie, którzy przyjeżdżali na WNR, ale z racji swojego zachowania zostali wykluczeni z imprez. Nie powie z czystym sumieniem, że ściganie na ulicy jest dobre, bo nie jest.

No i nie jest dla wszystkich. Ale rozumie, czemu niektórzy na samochodzie umieszczają nalepki „Ulica moim torem”. Andrzej wie, że „normalsi” mogą odbierać to jako arogancką deklarację „i co mi zrobicie”, przynajmniej, że niektórzy z kolegów i koleżanek mogą mieć taką postawę, ale wierzy, że przede wszystkim chodzi o manifest.

– Zostaliśmy wyrzuceni z toru na Żeraniu i pokazujemy, że nie mamy swojego miejsca. A my chcemy po prostu jeździć. Dlatego nie ścigamy się w centrach miast, tylko na obrzeżach.

Zresztą tor zdaniem Andrzeja nie rozwiązuje wszystkich problemów. – Tych torów, na które nas wyrzucają, to za wiele nie ma. Ale też trzeba pamiętać, że tory to zakręty i drift, a uczestnicy naszych spotkań to też fani ścigania się na „cwiare”, czyli 250 metrów w linii prostej. Na torach tego nie zrobisz.

Gdy to słyszę, przypominam mi się nadkomisarz z Warszawy i jego zastrzeżenie, że prawa „nie można traktować wybiórczo, bo ktoś ma taką, a nie inną pasję”.

A Jakub Kosiński wybucha: – No właśnie! Prawdziwe rajdy czy ściganie to jest fantastyczny sport, który mnóstwo pasjonatów jakoś daje radę uprawiać w bezpiecznych warunkach, na torze, na przygotowanych obiektach. A te wymówki, że tor jest daleko, drogi albo nie wszystko tam można... Profesjonalny rajdowiec szuka porównania.

– To tak, jak gdyby miłośnicy taternictwa tłumaczyli, że wspinają się po kamieniach nad naszymi głowami, bo człowiek ma prawo realizować pasję, a w góry jest daleko i drogo? – przychodzi mi do głowy odpowiednio ekstremalne skojarzenie.

– Kto powiela takie opowieści, szkodzi temu niby ukochanemu sportowi – trochę uspokaja się Kosiński. – Ścigam się, żyję samochodami, a w czymś takim nigdy bym nie wziął udziału. Przedstawianie tego jako pasji miesza w głowie młodym!

Tymczasem Andrzej czeka na wejście nowych zaostrzonych przepisów. Ale niespecjalnie się boi o przyszłość jego „sportu”.

– Zawsze coś się wymyśli.

– Czyli całe życie na nielegalu?

– Do samego końca. ●

Stachura się myli

Nie dla wszystkich starczy miejsca pod wielkim dachem nieba



Marcin Matczak

Dla wszystkich starczy miejsca pod wielkim dachem nieba” dzisiaj wydaje się najbardziej naiwnym tekstem Stachury. Miejsca nie starczy, bo ludzie światopoglądowo rozpychają się łokciami. Moje musi być na wierzchu, a więc twoje musi być pod spodem – niewidoczne, nieważne, głupie. Mam ulec cudzym poglądom? To nie do pomysłenia – to jak dać się w pełni zdominować seksualnie. Więc dla pewności do żadnego zbliżenia nie doprowadzam (czy w poważnej gazecie można napisać, że światopoglądowa masturbacja staje się problemem cywilizacyjnym, bo zagraża dzietności idei?).

Społeczeństwa zamknięte w barłach są na przegranej pozycji. Ewolucyjnie nie egoizm, lecz współpraca światopoglądowa jest wartościowa – zderzamy idee, testujemy je, ulepszymy. Gdy je chronimy przed konfrontacją, słabną. A my nie lubimy się konfrontować. Myślenie staje się komfortową kąpielą, choć powinno być siłownią.

Poniżej trzy konfrontacje myśli, które mogłyby się odbywać z pożytkiem dla nas wszystkich. Ale się nie odbywają – jak odwołane mecze, na które nie stała się żadna z drużyn, bo każda uważa, że jest mistrzem świata. Trzy spory, z których mogłoby wynikać coś wartościowego, ale nie wynika – bo nikt się nie konfrontuje, każdy trwa przy swoim.

• Spór pierwszy: natura człowieka.

Czy jesteśmy z natury zli i potrzebujemy ogromu norm, żeby okiełznać nasze instynkty? Czy też z natury dobrzy, a zepsuła nas cywilizacja, dlatego musimy uwolnić się od norm i przymusów, powrotu do stanu natury? Ta stara dyskusja mogłaby toczyć się dzisiaj między konserwatystami, którzy chcą nakładać na człowieka przede wszystkim obowiązki a postępowcami, którzy chcą mu dawać ciągle to nowe prawa. Ale się nie toczy, bo każdy wie swoje.

Tymczasem racja nie leży tam, gdzie leży, ale pośrodku. Część tej racji ma prawica: jesteśmy zwierzętami, potrzebujemy ograniczeń dla naszych instynktów agresji i seksualności, bo uwolnione mogą nas zniszczyć. Potrzebujemy także struktur i hierarchii, bo różnimy się co do predyspozycji: nie każdy może być generałem, inżynierem czy prawnikiem.

Ale część racji ma lewica – władza ma to do siebie, że się łatwo demoralizuje. Zwierzchnicy nadużywają władzy i molestują, hierarchie stają się zastępy i skorpumpowane. Dlatego ktoś musi je krytykować, zmuszać, by udowodniły, że są oparte na kompetencji i wiedzy, nie na układzie i nepotyzmie. Jeśli jednak ktoś nie tyle kontroluje i krytykuje hierarchie, ale każdą władzę i hierarchię uważa za opresję, którą trzeba zlikwidować, przegina w drugą stronę. Tak samo robi ten, który hierarchie oparte na kompetencji chce naprawiać, zastępując je hierarchiami opartymi na równym udziale, w tym także udziale niekompetentnych.

Przy okazji – jak już prawica ustali, że człowiek jest z natury zły, zaraz mówi:

„ale oczywiście nie my”. A jak lewica już ustali, że człowiek z natury jest dobry, od razu dodaje: „ale nie konserwatyści”.

• **Drugi spór: prawda obiektywna.** Czy najważniejsze pytania mają jedną prawidłową odpowiedź? A może każdy ma swoją prawdę, nie ma faktów, są tylko interpretacje. Tylko indywidualne, subiektywne perspektywy, które dodatkowo jeden drugiemu próbuje narzucić?

Także ta dyskusja mogłaby rozgrzewać konserwatystów i postępowców, ale nie rozgrzewa, bo i jedni, i drudzy wiedzą swoje. „Bóg, honor, ojczyzna” z jednej, „Drugs, sex and rock’n’roll” i ich coraz to nowsze odmiany z drugiej strony. Zbiór idei niepodważalnych kontra narzędzia realizacji osobistej wolności. Nikt ci przecież nie będzie mówił, jak masz żyć, bo sam wiesz.

Czy aby na pewno? Może jednak przydałby się autorytet, przewodnik, trener, ktoś, kto wcześniej przeszedł tę samą drogę? Czy jest złoty środek pomiędzy dziadersem, który, jak sądzisz, nie może dać ci niczego, a guru, który mówi, że da ci wszystko, w tym indoktrynację? Czy można być autorytetem, który pomoże ci realizować twoją perspektywę, nie narzucając swojej, jednocześnie nie kłamiąc, że wszystkie perspektywy są równoważnościowe? Aby rozstrzygnąć ten spór, także potrzebujemy obu spolaryzowanych stron – ale one się na tę rozprawę już od dawna nie stawiają.

• **Trzeci spór: stare kontra nowe.** Czy powinniśmy trzymać się tradycji, czy ślepo gonić za nowością? Konwencja przeciw zmianie, dawne w sporze z młodym. I ten mecz jest przez obie strony oddawany walkowerem, choć każda myśli, że go dawno wygrała. Bo stanowiska są tak bardzo osobne, jak ustalone. Konserwatyści spoglądają wstecz z nostalgią, tam widzą wszystkie odpowiedzi. Postępowcy chcą nie zwykłej reformy, ale reformacji: zmiany ogromnej, szybkiej, całościowej. Dwaj panowie „P” (patriarchat i paternalizm) do natychmiastowej dymisji, dwie panie „R” (rewolucja i równość) do natychmiastowego awansu! Zamiast rozmowy oskarżenia o nazizm – jedni widzą go w błyskawicy Czarnego Marszu, która ma niby przypominać runy SS. Dla drugich prawdziwe SS to seksizm i status quo.

W społeczeństwie, jak w każdym do-brym zespole, potrzebni są i wizjonerzy, i hamulcowi. Świat jest trudny i żeby sobie z nim poradzić, trzeba ciągle być w intelektualnym ruchu: nowe idee i pomysły są najcenniejszą rzeczą, jaką możemy sami sobie wypracować. Ale nie wszystko, co nowe, jest dobre. Jak w biologii, niektóre mutacje okazują się korzystne, inne śmiertelnie niebezpieczne.

W normalnej dyskusji możemy dokonać ich selekcji. Bez dyskusji albo pędzimy na oślep, albo powtarzamy ciągle to samo, z nadzieją, że przyniesie inny efekt. A to jest przecież najkrótsza definicja szalenstwa. Kiedyś głuchotą było niesłyszenie, dzisiaj niesłuchanie. Każdy wie swoje i każdy idzie skrajem. A jest przecież droga między autorytetem i arbitralnością bez kontroli a empatią i emancypacją bez granic (czy da się wyemancypować od racjonalności?).

Polaryzacja to nie kłótnia, w którą musi zaintereseniować przedszkolanka, każąc się wzajemnie przeprosić Jasiowi i Kasi. To ciężka, ogłupiająca choroba całego społeczeństwa, które nie chce ze sobą uzgodnić strategii. Gdy jest dobrze, da się jakoś bez strategii przeżyć. Ale trudniej to zrobić w obliczu nadciągającego Armagedonu. ●

Piotr Głuchowski

Najkosztowniejsze z dotychczasowych przedsięwzięć Ojca Dyrektora – Muzeum „Pamięć i Tożsamość” im. św. Jana Pawła II – zostało wybudowane w systemie partnerstwa publiczno-prywatnego. Partner państwowy, czyli PiS-owski resort kultury pod kierownictwem prof. Piotra Glišńskiego, wyłożył 218 mln (umowa przewidywała wypłatę kolejnych 70 mln, ale skończyły się rządy „dobrej zmiany”).

Partner prywatny – fundacja Lux Veritatis – wniósł aportem część kupionego za 120 tys. gruntu, o którym pisałem w poprzednim odcinku, a także przekazał Muzeum PiT wyceniony na 88 mln zł zestaw dokumentów i artefaktów, wśród nich: szczątki św. Maksymiliana Kolbego, błogosławionej Karoliny Kózkówny i męczennic z Nowogródka – nazaretanek, które w 1943 r. zgłosiły się na gestapo i ofiarowały życie za 120 przeznaczonych do rozstrzelania Polaków. Prócz tego przedmioty używane przez błogosławionego księdza Jerzego Popiełuszkę i błogosławioną siostrę Marię Teresę od Dzieciątka Jezus, czyli klaryskę-kapucynkę Mieczysławę Kowalską.

Wybrany przez ojca Rydyzka rzeczoznawca specjalista od rynku dzieł sztuki, przyjaciel Radia Maryja Adam Konopacki najlepiej wycenił jednak nie grunty czy powyższe relikwie, ale (jak to precyzuje załącznik do umowy z Glišńskim) „zapisy relacji osób zaangażowanych w ratowanie ludności żydowskiej w czasie II wojny światowej”.

Czym są te rzekomo warte ponad 66 mln „zapisy”?

Opowieściami o dziadkach i babciach, którzy „za okupacji niemieckiej ratowali Żydów”.

Jak rozmnożyć i zmonetyzować Sprawiedliwych?

Świadectwa nagrywali latami studenci WSKSiM, ekipy TV Trwam oraz dwaj zaangażowani do tego projektu fachowcy – filmowiec Przemysław Melka, który w bazie Filmpolski.pl widnieje jako autor zdjęć do jednego dokumentu (o mieście Briąńsk) i Artur Rytel-Andrianik, brat byłego rzecznika Episkopatu Polski, a przy tym właściciel firmy Armar zajmującej się handlem motocyklami, wynajmem lawet oraz „koordynacją projektów badawczych na terenie całego kraju”.

Jak im się udało zebrać 40 tys. „zapisów relacji”, które zamienili się później w 66,5 mln zł aportu do Muzeum PiT?

Scenariusz był prosty: zachęcenie z anteny słuchaczy RM i widzowie i Trwam dzwonił do Torunia, by opowiedzieć historie Sprawiedliwych dziadków, przysłali zdjęcia, a nawet własnoręcznie utrwalone wywiady – jedni na papierze, inni taśmą, jeszcze inni na płycie CD. Z czasem Lux Veritatis uruchomiła stronę internetową, przez którą można było dokonywać zgłoszeń.

W najbardziej rokuszące miejsca jeździli z kamerami Melka i Rytel-Andrianik. Filmowali opowiadających, odwiedzali z bohaterami (zazwyczaj drugim lub trzecim pokoleniem) miejsca ukrywania Żydów: czasem jakiś las, czasem działkę rekreacyjną pod miastem. Potem rzeczoznawca Konopacki ocenił, że każda minuta nagrań warta jest 1 tys. zł. Ponieważ było tego w sumie ponad 700 godzin, wyszło 43,5 mln. I jeszcze audio. Ponad 8 tys. ścieżek dźwiękowych o łącznej długości 1300 godzin. Rzeczoznawca wycenił minutę dźwięku na 300 zł. Co dało dodatkowo 23 mln.

Gdy do Konopackiego dotarli dziennikarze piszący na co dzień o filmach i pytali, na czym oparł swe wyliczenia, ekspert wyjaśnił, że skoro koszty wykonania obrazu dokumentalnego „są najczęściej objęte tajemnicą rynkową”, musiał się posłużyć „analo-

WSZYSTKIE PIENIĄDZE O.RYDZ



OJCIEC DYREKTOR

Gdy na początku grudnia ub.r. agenci CBA weszli do biur fundacji Lux Veritatis, Ojciec Dyrektor się wściekł. – Kim pan w ogóle jest? – pytał premiera Tuska. Ja pytam znawców polityki, historyków i medioznawców: co będzie dalej z ośrodkiem toruńskim?

giami dostępnych cen”. A komercyjne stawki za minutę materiału nadającego się do wykorzystania w produkcji telewizyjnej wynosiły właśnie tyle.

– To horrendum – mówi o wycenie profesor Joanna Tokarska-Bakir, antropolożka zajmująca się stosunkiem Polaków do Żydów. W rozmowie z Witoldem Mrozkiem z „GW” opowiada:

– Od 2005 r. zorganizowałam sześć wypraw badających pamięć o Zagładzie. Jeździłam ze studentami UW i Collegium Civitas. Zaczęliśmy od Sandomierskiego – 400 wywiadów, później Podlasie i Lubelszczyzna... Koszt pierwszej z tych wypraw zamknął się w 5 tys. zł (...), druga i trzecia wyprawa to kwoty rzędu 10 tys. funtów [50 tys. zł], które dostałam od Fundacji Rothschilda.

Ile zatem powinny kosztować nagrania, o których mowa w kontrakcie Glišński – Rydyż? Cytowany przez Mrozka producent zajmujący się podpisywaniem tego typu umów tłumaczy:

– Stawka 500 zł brutto za jeden przeprowadzony wywiad byłaby uczciwą. Za cały zbiór „zapisów relacji osób” zaproponowalbym około 140 tys.

Kim pan w ogóle jest, panie Tusk?

Opisana powyżej transakcja z wkładem własnym ojca Rydyzka w toruńskie muzeum nie przyciągnęła uwagi prokuratorów do końca rządów PiS. Dopiero po zmianie władzy w 2023 r. Prokuratura Krajowa zleciła Prokuraturze Regionalnej w Rzeszowie przeprowadzenie śledztwa „w sprawie przekroczenia uprawnień przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w związku z zawarciem niekorzystnej umowy z fundacją Lux Veritatis o utworzeniu instytucji kultury pod nazwą Muzeum Pamięć i Tożsamość im. Św. Jana Pawła II (w organizacji) i przyznaniem jej w okresie od 2018 do 2023 r. dofinansowania w kwocie 218.944.464 złotych z dotacji celowej

na wydatki majątkowe, czym działano na szkodę interesu publicznego”.

5 grudnia 2024 r. agenci Centralnego Biura Antykorupcyjnego weszli do biur fundacji LV we Wrocławiu, Warszawie i Toruniu. A premier Donald Tusk powiedział dziennikarzom: – Tak jak ostrzegaliśmy, nie może być w Polsce świętych krów. Tam, gdzie jest podejrzenie popełnienia przestępstwa, tam będziemy działać. Jednym z tego typu działań jest dzisiejsza akcja w miejscach, gdzie interesy prowadzi ksiądz Tadeusz Rydyż.

Funkcjonariusze CBA zażądali od pracowników LV dokumentów związanych z przelewami od resortu kultury i je otrzymali, ponieważ Ojciec Dyrektor każe współpracować. Swoją protest skierował wyżej.

– Panie Tusk! – zaczął z anteny. – Pan mnie obraża! Ja mam prawo do dobrego imienia! Jakie interesy prowadzę niby? Czy posługa kapłańska, posługa Polaka, posługa nauczyciela – bo jestem nauczycielem – to są interesy? (...) Jakim prawem pan tak mówi o mnie na cały świat? Kim pan w ogóle jest?! (...) To nie wy dajecie nam pieniądze z kasy państwa, bo te środki państwo ma od podatników, także od katolików. I katolicy mają prawo do tych pieniędzy! (...) Brzydka to jest gra. Myślałem, że premier dba o całą ojczyznę, o wszystkich Polaków i nie dyskryminuje nikogo, a tu widzę zemstę. To chore!

YKA • RAPORT CZ. 3.



WNER WACH

Premier nie odpowiedział na zaczepki. A prokuratura z Rzeszowa kontynuuje śledztwo w sprawie „królowej wszystkich dotacji”. Jak mi wyjaśniła rzeczniczka, prokurator Dorota Sokółowska-Mach, postępowanie zostało wszczęte na podstawie dwóch niezależnych zawiadomień o podejrzeniu popełnienia przestępstwa. Jedno złożył dyrektor Izby Administracji Skarbowej w Warszawie Dariusz Hys, drugie – nowa minister kultury Hanna Wróblewska. Osobami, które mogą się obawiać postawienia zarzutów, są nie redemptoryści, ale urzędnicy (z ministrem Głińskim na czele), którzy „podjęli decyzję o finansowaniu MPiT im. św. JPII ze środków skarbu państwa w latach 2018-23”.

Zakonnicy mają inny problem. Niezależnie od prokuratorskiego śledztwa Ministerstwo Kultury kierowane obecnie przez historyczkę sztuki i kuratorkę Hannę Wróblewską pozwało fundację Lux Veritatis i domaga się na drodze cywilnej unieważnienia umowy dotacyjnej oraz zwrotu pieniędzy.

„Przedstawiciele aktualnej władzy dążą do zniszczenia wielkiej inicjatywy – ogłosił w styczniu we własnych mediach zarząd fundacji LV. – W imię politycznego interesu władza pogłębia tak zwaną wojnę polsko-polską, nawet kosztem marnotrawstwa środków publicznych wydanych do tej pory na utworzenie państwowego muzeum. Apelujemy o opamiętanie i zdrowy rozsą-

STRESZCZENIE ODCINKÓW 1-2:
Pierwsze poważne pieniądze ojciec Tadeusz Rydzyk zarobił na wysyłaniu z Niemiec do Polski używanych aut jako darów od bawarskiego Kościoła katolickiego (w takim wypadku uchylano clo). Równolegle zarabiał na organizowaniu pielgrzymek do Medziugorie, w trakcie których – jak to ujął współbrat Stanisław Kwiatkowski – obaj łatwo „golili z forsy dewocyjne babcie”.

Pierwsze miliony przyniosła mu zbiórka „na ratowanie Stoczni Gdańskiej”, ale z czasem stało się jasne, że nikt nie da tyle co ministrowie z PiS i Solidarnej / Suwerennej Polski.

Tylko przez pierwsze dwa lata rządów „dobra zmiana” przekazała ośrodkowi Rydzyka prawie 100 mln zł. Ksiądz miał jednak apetyt na więcej. Dziś suma, jaką dostał od Zjednoczonej Prawicy, jest szacowana na 350-400 mln zł.

• **Na zdjęciu: Ojciec Dyrektor z gospodarską wizytą na placu budowy tzw. „miasteczka Rydzyka”, w którym obok otoczonego parkiem budynku muzeum „Pamięć i tożsamość” zaplanowano m.in. tężnię i ciepłownię geotermalną. Toruń 14.05.2020.**

FOT. ROBERT GÓRECKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

dek prowadzący do dialogu (...). Mamy nadzieję na dobrą wolę obecnej minister kultury i rządu. Trzeba być jednak gotowym na wszystko, bo historia jest obecnie, jeśli nie wymazywana, to zniekształcana nie tylko w szkole. Ostatni rok to seria kłamstw i działań zmierzających do zdejmowania krzyży w budynkach publicznych, usunięcia katechezy ze szkół, a także opluwania osób duchownych w mediach. Bądźmy gotowi – jeżeli zajdzie potrzeba – na pokojową walkę o prawdę, tak jak kiedyś o częstotliwości dla Radia Maryja czy multipleks dla TV Trwam”.

To ostatnie zdanie oznacza, że jeśli władza będzie chciała odzyskać od ojca Rydzyka sporne 218 944 464 zł, w Polskę ruszą radiomaryjne marsze „w obronie muzeum Jana Pawła II”. Zaś pieniędzy ośrodek toruński nie zwróci: utopił je już w gigantycznym, pustym i do niczego nieprzydatnym gmachu.

Katolicyzm zamknięty będzie istniał dalej

Jakie będą dalsze losy ośrodka toruńskiego? – Do obecnych kłopotów z prokuraturą nie przywiązywałbym wielkiej wagi – mówi mi politolog publicysta, profesor Antoni Dudek. – To są problemy przejściowe, do prawomocnych wyroków daleko. Prokuratura jest obecnie w tak fatalnej kondycji, że śledztwa wleką się latami i bezpowrotnie grzęzną. Ksiądz Rydzyk będzie się zapewne musiał tłumaczyć z tego i owego, ale znając jego sposób działania, przedstawi się jako męczennik i może jeszcze zyskać dodatkowe punkty. Większym ryzykiem jest stan zdrowia ojca założyciela. Zbliża się moment, w którym nie zdoła kierować organizacją, potrzebny będzie sukcesor. A każdy spór o sukcesję może być kryzysem. Wystarczy spojrzeć na to, co się dzieje w Polsce. Sukcesja rodzi tym większe problemy, im później jest przeprowadzana. Gdy wymusza ją choroba czy zawał... wtedy jest najgorzej.

Coraz mniej jest także starszych religijnych pań, a kobiety w średnim wieku są często antyklerykalne. Ojcu Dyrektorowi kurczy się elektorat...

– ...co oznacza mniej datków z 1 proc. na Naszą Przyszłość i mniej kopert wysyłanych do radia.

– W takiej sytuacji jeszcze bardziej niezbędne staną się dotacje z publicznych pieniędzy – mówi dalej prof. Dudek. – Dłatego Toruń będzie wspierał ze wszystkich sił Karola Nawrockiego. Bo on może utorować PiS powrotną drogę do władzy. A wtedy państwowe środki popłyną do Torunia jak niegdyś.

Podobnego zdania jest prof. Andrzej Friszke, specjalista od historii najnowszej:

– Losy ośrodka toruńskiego z jednej strony zależą od PiS, z drugiej od tego, co się będzie działo w polskim Kościele, który może wybrać drogę otwarcia na nowe grupy, na współczesną kulturę i problemy, jakie niesie przyszłość, a może pójść linią antysoborową, której reprezentantem jest Toruń.

– Pozostaje kwestia przywództwa – relacjonuje opinię profesora Dudka. – Czy Radio Maryja oraz „dzieła przy nim wyrosłe” mogą się rozwijać, gdy zabraknie dyrektora? – Zna pan jakieś osoby z radia poza księdzem Rydzykiem?

– Ojcowie Jan Król, Grzegorz Moj...

– ...no to być może któremuś uda się utrzymać przedsięwzięcie w oparciu o jakiś stworzony pośmiertnie kult Ojca Dyrektora. W tym sensie nawet zmarły założyciel ośrodka może być nadal spoiwem radiowej „rodziny”.

– A co z wymieraniem „dewocyjnych babć”?

– Na miejsce zmarłych przychodzą nowe. Katolicyzm zamknięty miał się dobrze przed wojną, mam na myśli tradycję Niepokalanowa, istniał po wojnie i będzie istniał dalej. Coraz mocniej oderwany od rzeczywistości, przepelniony agresją wobec obcych... Takie rodziny ideologiczne funkcjonują na całym świecie. Wierzą swoim i tylko swoim, mają obsesję na punkcie własnej wiary.

Nie akceptują współczesnej obyczajowości, chcieliby świata takiego jak kiedyś.

Media dla „kościółkowych socjalistów”?

Prof. Jarosław Flis, socjolog i komentator polityki: – Przez dekady Radio Maryja cieszyło się miłością słuchaczy mówiących: „Oni najlepiej głoszą to, co ja sam myślę”. A teraz podmiotów głoszących treści zbliżone do toruńskich są dziesiątki, setki... Mamy masę internetowych kanałów dla odbiorców antysystemowych, kanałów nadających przekaz: jesteśmy oszukiwani, społeczne zmiany idą w złym kierunku, trzeba się przeciwstawiać... To już nie jest opowieść, którą można się dzisiaj wyróżnić.

Był czas, gdy ojciec Rydzyk budował pozycję, rozpoznając i nazywając krzywdy doświadczone przez wielu Polaków. Dziś ośrodek toruński dalej tę krzywdę pielęgnuje, jakby troszczył się o złe samopoczucie słuchaczy i widzów. I to się moim zdaniem na dłuższą metę nie sprawdza, bo człowiek chce swojej krzywdzie zaradzić, a nie ją kultywować.

Jest również kwestia polityczna. Ksiądz Rydzyk postawił na PiS, tymczasem po prawej stronie rośnie Konfederacja. A konfederaci nie potrzebują ośrodka toruńskiego, wybiorą raczej Kanał Zero niż Telewizję Trwam. Zdecydowanie rzadziej odwiedzają kościół, do „Rozmów niedokończonych” nie są zapraszani, nie mają u ojca Rydzyka żadnego długu wdzięczności. Przeciwnie



Ośrodek toruński dalej krzywdy Polaków pielęgnuje, jakby troszczył się o ich złe samopoczucie. I to się na dłuższą metę nie sprawdza, bo człowiek chce swojej krzywdzie zaradzić, a nie ją kultywować

– radio i telewizja z Torunia to dla nich media PiS-owskiej konkurencji, media dla „kościółkowych socjalistów”.

Wreszcie wieś, która przez dekady była bastionem Radia Maryja, a teraz się zmieniła, wzbogaciła, nabrała pewności siebie. Jest mniej defensywna, przez co naturalnie wysycha rezerwuuar wyznawców Torunia. Bo wszędzie są smartfony, dostęp do rynku idei. Wieś już nie musi patrzeć na świat jako na coś obcego, jako na zagrożenie. Nie potrzebuje obrońcy w postaci Rydzyka.

Śmierć ośrodka toruńskiego? Pogłoski mocno przesadzone

– Z pewnością Ojca Dyrektora czekają lata chude – mówi prof. Maciej Mrozowski, medioznawca. – Być może władza podejmie nawet próby odzyskania od niego części wypłaconych pieniędzy. Ale jeżeli ksiądz jest tak dobrym biznesmenem, jak opowiadają, z pewnością ma zachomikowane lokaty na trudniejsze czasy. Będzie jechał na rezerwie, potem na oparach – byle udało się dotrzeć do powrotu PiS.

Gorsza jest sytuacja z odbiorcami treści ośrodka toruńskiego. Postępuje ateizacja, audytorium maleje, śmiem wątpić, czy obecni młodzi staną się z wiekiem słuchaczami/widzami Torunia. Nawet dzisiejsi emeryci nie są tacy jak dawniej. Żyją w kapitalizmie, nie czują się bezradni, mają internet i alternatywy dla Radia Maryja.

Z drugiej strony jest coraz więcej ludzi samotnych, dla których mówione radio pełni funkcję brakującego domownika. Jedni słuchają TOK FM, inni stacji z Torunia. I będą tam wysyłać część emerytury. Pogłoski o rychłej śmierci ośrodka toruńskiego są przesadzone. Bardzo prawdopodobny wydaje się scenariusz powolnej atrofii. ●



• **Ukraińskie love stories.** Krótkie spotkania, które są częścią wojny. Na peronie dworca, zanim ich pociągi rozjadą się w różne strony. Fotoreporter Jan Dobronosow zatrzymuje chwile czułości w kadrze. – Nigdy nie słyszę tu kłótni. Może dlatego, że nikt nie wie, czy to spotkanie nie okaże się ostatnim – mówi

Perony miłości

Staliśmy się sobie z Serhijem bliżsi niż przed wojną. Nawet seks po 20 latach małżeństwa stał się lepszy

Lesya Vakulyuk

Ie dwa ukraińskie miasta w obwodzie donieckim można dziś śmiało nazwać miastami miłości.

To tutaj zjeżdżają żołnierze z pierwszej linii frontu – jakieś 50-100 km – by odpocząć po walkach. To tutaj wiedzie szlak z najdalszych zakątków Ukrainy, a często z zagranicy, który przemierzają ich narzeczone, żony i mężowie. Wszystko po to, by choć parę chwil spędzić razem.

– Wiesz, tu panuje duża szczerłość – dzieli się wrażeniami z tych dworcowych spotkań Jan Dobronosow, fotoreporter internetowego serwisu Telegraf. Często przyjeżdża do swojej małej ojczyzny, by dokumentować wojnę. Oprócz fotografii z okopów przywozi stąd również love story z „peronów miłości”, jak je teraz nazywa. – Te spotkania też są częścią wojny – mówi Jan i prosi, żebym nie pisała, o jakie konkretnie miasta chodzi. To kwestia bezpieczeństwa tych, którzy pędzą na tutejsze dworce.

Oto on, ubrany w piksel [mundur polowy w kamuflażu], delikatnie dotyka ustami jej czoła. Oto ona, na sekundy przed odjazdem pociągu, stojąc już na schodkach, wychyla się, by jeszcze raz go pocałować. Oto oni, przytulają się mocno: on, ona i ich dziecko.

Bohaterowie reportażu Jana zwykle nie mają nic przeciwko publikowaniu tych zdjęć. – Są też tacy, którzy proszą o nieudostępnianie fotografii – przyznaje Jan. – Podchodzą i wyjaśniają: w sumie jesteśmy kochankami.

Coraz więcej rozwodów w Ukrainie

Wojna to nie tylko śmierć, inwalidztwo i zniszczenie, ale też wielkie wyzwanie. Również dla związków. W trzecim roku inwazji liczba ślubów i rozwodów w Ukrainie niemal się wyrównała.

Według danych ministerstwa sprawiedliwości Ukraińcy zawarli w 2024 r. 150,2 tys. małżeństw, a rozwodów wzięli 141,8 tys. To smutny rekord.

Dla porównania, w 2021 r. w Ukrainie zarejestrowano 214 tys. ślubów i 29,7 tys. rozwodów.

W zeszłym roku Natalka Riaba powiedziała mężowi Serhijowi, że nie może dłużej tak żyć. Byli razem od studiów – połowę życia. Poznali się w stacji radiowej, gdzie ona dorabiała jako korespondentka, a on jako reżyser dźwięku. Wzięli ślub, urodziło się dwóch synów. Żadne z nich nigdy nie wspomniało o rozwodzie, aż do inwazji. Szefostwo telewizji, w której Natalka była redaktorką, podjęło decyzję o ewakuacji z Kijowa. Najpierw przewieziono zespół do Lwowa, potem do Warszawy.

Serhij przyjął wyjazd żony z ulgą: wreszcie ona i dzieci będą bezpieczne. Jednak Natalka po przyjeździe do Polski poczuła się bezbronna. Spadły na nią sprawy organizacyjne i codzienne związane z pobytem w obcym kraju, wychowanie dzieci i zarabianie na życie. Mąż, prywatny przedsiębiorca, przez wojnę stracił zlecenia, a z nimi dochody.

– To był bardzo trudny okres. Poziom stresu u każdego z nas mocno wzrósł – wspomina Natalka. – Mąż nie tylko nie wspierał mnie finansowo, ale też nie dawał wsparcia moralnego. Nie dzwonił, żeby się dowiedzieć, jak sobie radzimy, co u dzieci.

Milczenie Serhija uznała za obojętność. Nie spieszył się z wyjaśnieniem, co naprawdę czuje. Ona też o tym nie opowiadała. Musiała zarabiać, zapisać dzieci do szkoły, uczyć się polskiego i po prostu trzymać się z całych sił, żeby się nie rozpaść.

Kiedy latem 2022 roku, po sześciu miesiącach rozłąki, Natalka pierwszy raz przyjechała do Kijowa,

mieli tylko trzy dni, żeby pobyć razem. Później musiała wracać do Warszawy. Pierwsze dwa spędzili w milczeniu, nie wiedząc, co sobie powiedzieć. Trzeciego dnia pierwsza odezwała się Natalka: – Powiedziałam mu, że nasze drogi się rozchodzą...

– Ciężar wojny przytłoczył ukraińskie kobiety – mówi psycholożka Natalia Podolak. Coraz częściej widuje kobiety za kierownicą ciężarówki czy pracujące na budowie. Natalia ma ogromne doświadczenie w byciu zarówno kobietą, jak i mężczyzną, mamą i tatą. Jej mąż wyjechał na wojnę jeszcze w 2014 r.

Opowiada, że tajemnica tego, dlaczego małżeństwo z Andrijem przetrwało tak długo, polega na tym, że starają się nie umniejszać swoich doświadczeń i codziennej pracy. Ona – jego na pierwszej linii, on – jej na tyłach. Na rodzinnych uroczystościach czy spotkaniach z przyjaciółmi pierwszy toast Andrija zawsze brzmi: „Za Natalię!”. Kiedyś zastanawiała się dlaczego. Mąż wyjaśnił: – Kiedy byłem na wojnie, ty mimo wszystkich zmartwień wykonywałaś swoją codzienną pracę, a nawet więcej.

Pierwszy kryzys Natalki i Serhija

Nie wszyscy mają jednak tyle mądrości i cierpliwości, by umieć docenić partnera.

– Ogólnie rzecz biorąc, wojna stała się rodzajem katalizatora – stwierdza psycholożka. Rozpadło się wiele małżeństw czy związków, które opierały się na przyzwyczajeniu, wspólnych dzieciach, wspólnym mieszkaniu. Jeśli w czasach pokoju para udawała przed ludźmi, że wszystko jest w porządku, to wojna zniszczyła tę fasadę. Brzmi to przerażająco, ale wojna dla wielu Ukraińców okazała się kołem ratunkowym.

– Uciekały przed bombardowaniami, zabierały dzieci za granicę, po jakimś czasie się tam adaptowały. Kiedy poznały życie bez przemocowego męża, zdały sobie sprawę, że nie chcą dłużej być w takim związku. I w końcu odważyły się na to, co w Ukrainie było dla nich nie do pomyślenia: złożenie pozwu rozwodo-

wego – tłumaczy Natalia Podolak. – Pary, które przed wielką wojną tworzyły związki oparte na wzajemnym szacunku, mimo kryzysów, jakie pociągnęła za sobą, na ogół zdołały uratować swoje małżeństwa.

Natalka i Serhij umieli wyjść z pierwszego kryzysu, w jakim pograżyła się ich rodzina na początku wielkiej wojny. Nadal dzieliło ich niemal 1000 km, ale umówili się, że będą skracać dystans, częściej do siebie dzwoniąc. Przez jakiś czas „telefoniczne pigulki” działały.

– Jednak bez względu na to, jak długo rozmawia się przez telefon lub wideo, jak dokładnie opowiada się w tych rozmowach o swoich życiach, doświadczenia i tak mocno się różnią. Napięcie między bliskimi sobie ludźmi i tak powstanie. Zaczyna się podejrzewania, że twoja ukochana osoba już kogoś ma – opowiada Natalka.

Mimo że rosyjskie szahedy od czasu do czasu przelatują tuż nad ich mieszkaniem w kijowskim wieżowcu, mimo że ataki rakietowe nie ustają, mimo przerw w dostawach prądu już dawno wróciłyby do Ukrainy. To od ręki rozwiązałoby kryzys w rodzinie. Jednak ani Natalka, ani jej mąż nie byli gotowi na narażenie bezpieczeństwa dzieci.

– W końcu zadzwoniłam do Serhija i powiedziałam, że przyszedł czas na kolejną poważną rozmowę – wspomina Natalka.

– Powiem szczerze, prawdopodobnie była to pierwsza w naszym życiu tak głęboka, znacząca, uporządkowana rozmowa, mimo że odbyła się przez telefon. Co ustaliliśmy przede wszystkim? Po pierwsze, że nikt się z nikim nie rozstaje. A po drugie, że musimy spotykać się fizycznie!

Teraz raz na miesiąc jeździ z Warszawy do Kijowa (jej Serhij jest w wieku poborowym, więc nie może opuszczać Ukrainy). W pracy Natalka dostała wsparcie i bez problemu pozwalają jej wyjechać na parę dni, by mogła się zobaczyć z mężem.

– Staliśmy się sobie z Serhijem dużo bliżsi, niż byliśmy nawet przed wojną – mówi Natalka. – Kiedy spędzamy te parę dni razem, ciągle rozmawiamy, mąż wreszcie nauczył się mówić o tym, co czuje i czego doświadcza. Dużo spacerujemy, co dawniej się nie zdarzało. Nie klócimy się o bzdury jak wcześniej. Nawet seks po 20 latach małżeństwa stał się lepszy, bardziej zmysłowy!

Andrij i Jaryna. Pozwala mu być słabym

Andrij Żołob potwierdza słowa psycholożki o tym, że wojna pokazała, czyj związek był naprawdę bliski, a kto tylko udawał szczęśliwą parę.

Dziś Żołob kieruje Centrum Weteranów we Lwowie i pomaga wojskowym. Sam spędził na froncie prawie dwa lata. Powołanie dostał wiosną 2022 r., a jako że w cywilu był traumatologiem, został dowódcą kompanii medycznej 46. Brygady Powietrznodesantowej. Brał udział w kontrofensywie chersońskiej, w kampanii soledarskiej, był pod Bachmutem, ewakuował rannych z pola walki i ratował ich życie w szpitalach polowych. A między akcjami zdarzało się, że towarzysze broni prosili go o radę w sprawach sercowych.

– Bywali tacy – opowiada Andrij – którzy zdradzali żony przy najmniejszej okazji. Kiedy pytałem, dlaczego to robili, przyznawali, że ich małżeństwo to pomyłka, że ożenili się, bo musieli, bo dziewczyna zaszła w ciążę. Inni bez względu na wojnę, gdy tylko mogli, dzwonili do żon – w sprawie remontu mieszkania czy zasiewu. Nawet zdalnie, przez telefon, ale starali się żyć tak, jakby nadal byli razem, jakby tej przymusowej separacji nie było.

Andrij sam starał się znaleźć czas na rozmowy z żoną Jaryną. Ona opowiadała mu o dzieciach, pracy, radziła się go, gdy zepsuł się samochód, namawiała w czasie wideopółłączeń do pomocy córkom w odrabianiu lekcji, żeby były o niego spokojniejsze.

On bez upiększeń relacjonował jej wojenną codzienność. Wielu żołnierzy uważa, że lepiej o takich rzeczach nie rozmawiać. Jednak Andrij jest przekonany, że z niedopowiedzeń rodzą się domysły, a to nadweręża zaufanie i niszczy więź emocjonalną między dwójgim ludzi.

Jest wdzięczny żonie, że słuchała jego opowieści i że pozwalała mu być słabym.

– Panuje przekonanie, że żołnierz to jakiś półgłówek pozbawiony emocji, który nigdy nie płacze, niczym się nie przejmuje i tak dalej. To nieprawda! Moja Jaryna od razu wyczuwała, kiedy potrzebowałem się wygadać, poskarżyć, ponarzekać. Zawsze mnie wysłuchiwała.

Kiedy Andrij o tym opowiada, jego twarz się zmienia. Prostuje ramiona i się uśmiecha.

Widać, że jest bardzo dumny z żony: – Mam szczęście, że jest ze mną!



УКРАЇНА - ЦЕ ЄВРОПА

• Tłum. Jacek Świąder

– Nie wszystkie żony radzą sobie z tym, że mąż nie uchylił się od obowiązku i poszedł walczyć w obronie ojczyzny. Wojna trwa od lat i nie wiadomo, kiedy się skończy. Wiele kobiet traci cierpliwość i ze słowami: „Jestem zmęczona. Mam dość twojej wojny”, składają pozwy rozwodowe – opowiada psycholożka Natalia Podolak.

Zdarza się, że kobieta odchodzi od mężczyzny, który został poważnie ranny. Albo nie wytrzymuje z agresywnym mężem, którego psychikę wojna zmieniła na tyle, że zaczął się zachowywać inaczej niż dawniej. Bywa i tak, że porzuceni obrońcy znajdują miłość na froncie, wśród pełniących służbę kobiet, które lepiej rozumieją ich i „ich” wojnę.

Cywilie, których żony w związku z wojną przebywają za granicą, też po długiej rozłące zaczynają nowe związki. – Dobrze, że oprócz rozwodów są też śluby – mówi psycholożka.

Frontowy ślub wolontariuszki Oleny i żołnierza Mychajła

Olena Kulyhina należy do tych kobiet, które w czasie inwazji znalazły miłość i wyszły za mąż. Stało się tak, mimo że przed 24 lutego 2022 r. wykładowczyni jednej z najbardziej prestiżowych ukraińskich uczelni nie planowała ani zamążpójścia, ani związku. Rozmawiam z nią o tym, jak dramatycznie inwazja zmieniła jej życie.

W czasie spotkania Olena cały czas ma na rękach czteromiesięcznego synka. Dopóki mały Łuka je, mamy trochę czasu, żeby powspominać, co przydarzyło się jej w ciągu trzech wojennych lat.

– Czegoś takiego nie mogłam sobie wyobrazić. – Olena wskazuje na niemowlę. – Mieszkalam we Lwowie, wykładałam na Ukraińskim Uniwersytecie Katolickim, zajmowałam się konsultingiem, zamierzałam napisać książkę, obronić rozprawę doktorską...

Wszystkie te plany pokrzyżowała wojna. Już pierwszego dnia rosyjskie wojska weszły na terytorium obwodu chersońskiego, skąd pochodzi Olena. W mieście Nowa Kachowka, gdzie od razu zaczęła się okupacja, zostali jej mama, babcia i brat z żoną.

W pierwszych dniach Olenę jakby sparaliżowało, śledziła związane z Nową Kachówką profile w mediach społecznościowych, żeby się dowiedzieć, co tam się dzieje, przeglądała nagrania z miejskich ka-

mer, dopóki działały, żeby zobaczyć ruch sprzętu wojskowego w pobliżu elektrowni wodnej w Kachowce.

Żeby nie oszaleć od potoku informacji, od strachu o bliskich, zajęła się wolontariatem – zbierała we Lwowie leki potrzebne ludziom, którzy zostali na okupowanych terenach w obwodzie chersońskim, i wysyłała je tam. Zaczęła pomagać znajomej w sortowaniu apteczek pierwszej pomocy na pierwszej linii.

Później sama zaczęła ogłaszać zbiórki dla wojskowych lekarzy: zdobywała ogromne partie opasek uciskowych niezbędnych na froncie. Kupowała samochody potrzebne do ewakuacji, udało się jej nawet sprowadzić karetkę i wysłać ją na front, a później też ciężarówkę.

Gdy tylko jej bliscy wydostali się spod okupacji, Olena zainstalowała ich w swoim mieszkaniu we Lwowie. Zostawiła pracę na uczelni i przeniosła się do Zaporozża, żeby być bliżej frontu i sprawniej odpowiadać na prośby wojska. Jej przyjaciele żartowali, że inni uciekają przed wojną jak najdalej na zachód, a ona odwrotnie – pojechała na wschód. Olena też odpowiadała żartem: że dołączyła do osób wewnętrznie przesiedlonych.

Wolontariat wymagał regularnego raportowania, tak by ludzie widzieli, że ich datki nie idą na marne. Dlatego Olena za każdym razem domagała się od jednego z żołnierzy kompanii medycznej, którą się opiekowała, żeby wysyłał zdjęcia darów. W końcu sama pojechała na front, żeby przekazać kolejną partię leków. I spotkała tego żołnierza na żywo.

– Mailowo znaliśmy się od roku. Kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy, zdałam sobie sprawę, że jest zupełnie inny, niż sobie wyobrażałam. Nie jest surowym facetem, który tylko wysyła fotorelacje i słowa więcej nie napisze. Okazało się, że mam z nim o czym pogadać. I nie chodzi tylko o wolontariat, który już nas łączył.

Te rozmowy, już nie jako wolontariuszka Olena i żołnierz Mychajło, odbywali głównie przez internet. Pod koniec 2023 r. pobrali się na linii frontu. Potem nastąpił tydzień miodowy, bo dłuższego urlopu Mychajło nie dostał. Ani ona, ani jej ukochany nie mogli uwierzyć w dwie kreski na teście.

– Owszem, żadne z nas nie spodziewało się dziecka tak szybko, my nawet nie wiedzieliśmy, czy w naszym wieku mamy jeszcze szanse zostać rodzicami. Miałam 40 lat, a Mychajło 45 – opowiada Olena. – Jestem wierząca i dla nas obojga to dziecko to Boża łaska. Prawdziwy cud! Baliśmy się o tym nawet marzyć.

Mimo obaw ciąża Oleny przebiegła prawidłowo, a Łuka urodził się zdrowy. Jego przyjście na świat rozpoczęło radosny i pełen wyzwań etap w życiu małżeńskim Oleny i Mychajła. Przez cztery miesiące Łuka widział ojca na żywo tylko trzy razy: w dniu swoich narodzin, w dniu chrztu i wtedy, gdy pojechali do szpitala na badania kontrolne. – Myśli, że tata to ktoś, kto mieszka w telefonie – smutno wdycha Olena.

– Zna go głównie ze spotkań online. Mówi, że niełatwo jest być jednocześnie wolontariuszką, żoną wojskowego i mamą niemowlęcia. Z jednej strony trzeba wspierać męża, bo stale grozi mu niebezpieczeństwo. Z drugiej – czasem sama potrzebuje pomocy, żeby móc choćby dobrze się wyspać.

Olena mówi, że stara się trzymać, żeby nie przysparzać mężowi zmartwień, przecież na wojnie ma wystarczająco dużo na głowie. Jednak kiedy Łuka kilka nocy z rzędu nie spał, zwyczajnie się załamała: „Połączyłam się z Mychajłem w wideorozmowie. Byłam tak wyczerpana, że nie miałam siły wyjaśnić, w jakim jestem stanie, i po prostu się rozplakałam”.

Olena nie może się więc nacieszyć krótkimi przepustkami, które dostaje mąż. Gdyby nie wojna, mogliby razem smakować rodzicielstwo, robić plany, spędzać czas razem. Gdyby jednak nie ta sama straszna wojna, która zabrała i nadal zabiera tyle istnień, to kto wie – może Olena nie spotkałaby swojego Mychajła i nie miałaby na rękach synka?

Ślubne zdjęcie wojenne

– Wojna nauczyła nas tego, o czym mówią psycholodzy, o czym piszą filozofowie: żeby doceniać bieżącą chwilę, nie odkładać życia na później. To właśnie skłania ludzi do zakładania rodzin, posiadania dzieci. Bo życie odłożone na później jeszcze nikomu nie przyniosło szczęścia. Nikt nie odda nam żadnego dnia ani żadnej minuty, którą przepuścimy – psycholożka Natalia Podolak wyjaśnia, dlaczego Ukraińcy mimo wojny urządzają wesela. – Wojna nauczyła nas też odróżniania tego, co naprawdę ważne, od tego, co drugorzędne.

Na „peronach miłości” fotoreporter Jan Dobronosow jeszcze nigdy nie słyszał klótni. – Może dlatego, że nikt nie wie, czy to spotkanie, nie daj Boże, nie okaże się ostatnim – mówi.

Często pary, które łapie w obiektywie, znajdują go później w mediach społecznościowych i proszą o przesłanie zdjęć na pamiątkę. Jan nigdy nie odmawia. Niedawno dostał wiadomość od chłopaka i dziewczyny, których uchwycił podczas odprawy na front – zaprosili go na swój ślub. Jan ma nadzieję, że będą mogli go świętować, a on – uwiecznić ten szczęśliwy moment w ich życiu. ●



УКРАЇНА - ЦЕ ЄВРОПА



FOT. REUTERS/ANATOLI STEPANOV

ROZWÓD

z nieporozumieniem stron

Trump może być dla nas, Europejczyków, czymś takim, jak zawał dla palacza

Z PREZYDENTEM
ALEKSANDREM KWAŚNIEWSKIM
ROZMAWIA **AGNIESZKA KUBLIK**

AGNIESZKA KUBLIK: Spotkał pan kiedyś Trumpa?

ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI: – Bardzo dawno temu, kiedy był biznesmenem i nie zdradzał ambicji politycznych.

Nie zrobił na panu wrażenia?

– Nie.

Było dużo ludzi. Ktoś mi powiedział, że to ten od nowobogackiego Trump Tower. Dla tego zapamiętałem

„Strony zgadzają się, że zbrojna napaść na jedno lub więcej z nich w Europie lub Ameryce Północnej będzie uznawana za napaść przeciwko nim wszystkim...”

– ...to artykuł 5. NATO.

Obowiązuje?

– Oczywiście. Nikt go nie wypowiedział.

I tu warto przypomnieć – nie tylko czytelnikom, również warto, aby Europa przypominała amerykańskim partnerom – że po raz pierwszy i ostatni został zastosowany po 11 września 2001. Czyli po atakach terrorystycznych na Nowy Jork i Waszyngton. Wtedy europejscy sojusznicy Ameryki zaangażowali się w Afganistanie – choć nie mieli w tym interesu rozumianego dosłownie, biznesowo, jak rozumieją go trumpiści – właśnie na mocy artykułu 5.

Mówi pan „obowiązuje”, ale przecież sekretarz obrony Pete Hegseth oświadczył właśnie w Brukseli, że siły amerykańskie nie będą gwarancją bezpieczeństwa Ukrainy. A to jest kwestia dosłownego bezpieczeństwa Europy. W tym Polski.

– Dlatego przedstawiciele Unii Europejskiej muszą robić to, co im robi szef sekretarza Hegsetha: wyliczać, co Amerykanie dostali do tej pory od Europejczyków.

Przecież NATO powstało jako sojusz obronny wobec zagrożenia komunizmem w sowieckiej imperialnej wersji. Oczywiście

ście chroniło kraje „starej” Europy przed powtórką losu Polski, Węgier czy Czechosłowacji, ale gdyby Amerykanie nie mieli w tym interesu – obrony swojej strefy wpływów w ramach rywalizacji mocarstw – toby się nie utrzymało. Oczywiście, podlegało reformom, ewolucji, rozszerzało się – ale pakt przetrwał przez tyle dekad nie dlatego, że był organizacją charytatywną dla biednej Europy, nie dlatego, że Amerykanie prowadzili działalność filantropijną, tylko dlatego, że był i jest bardzo ważnym narzędziem umacniania amerykańskich wpływów.

Przecież Trump jeszcze jako kandydujący celebryta, w którego szanse nikt nie wierzył, mówił, że NATO jest przestarzałe, że nie spełnia swoich zadań, że wykorzystuje Amerykę – a gdy wprowadził się do Białego Domu, szybko się z tego wycofał. Uczestniczyłem wtedy konferencji monachijskiej, Trump wysłał do Monachium wiceprezenta Mike’a Pence’a, który wygłosił bardzo proatlantyckie przemówienie. Stąd mój żartobliwy komentarz za pierwszej kadencji

Trumpa, że co prawda administracja w Waszyngtonie się zmieniła, ale speechwriterzy, czyli autorzy przemówień, pozostali ci sami. Miałem na myśli to, że Trump szybko zrozumiał, że NATO jest dobrym amerykańskim interesem.

Ale Trumpem kierują intuicje, czego zresztą nie ukrywa – a ta głębsza niż twarde fakty intuicja, że NATO wykorzystuje Amerykę, w nim pozostała. Problem w tym, że do drugiej kadencji on jest dużo lepiej przygotowany. Otoczył się innymi ludźmi niż w pierwszej kadencji – bardziej lojalnymi, mniej niezależnymi, o słabszej pozycji w amerykańskiej polityce, a do tego myślącymi tak jak on i w niego wierzącymi.

Moment jest niezwykle niebezpieczny dlatego, że Putin od początku swojej władzy usiłuje przekonać świat mniej więcej do tego samego, co czuje Trump, że NATO jest przestarzałe, zimna wojna się skończyła – ale tym razem w otoczeniu Trumpa nie ma kogoś, kto mu powie: panie prezydencie, ale tego właśnie chce Putin, żeby pana oszukać i wykorzystać Amerykę.

Pocieszam się, że Trump nie jest osobą, która jakoś nadmiernie przywiązuje się do swoich poglądów. Pytanie, który pogląd akurat będzie wyznawał w momencie podejmowania decyzji.

Pan przewidział i zwycięstwo Trumpa, i to, że – wbrew opiniom ekspertów, że górę weźmie w nim natura podejrzliwego biznesmena – będzie chciał zawrzeć pokój na chybcika. Ale że Ameryka będzie otwarcie spiskowała z Rosją nad naszymi głowami, to chyba panu nie przeszło przez myśl?

– Problem jest poważniejszy. Ostatnie dekadę XX wieku to był czas optymizmu, wiary w wartości demokratyczne. Rozszerzenie NATO, UE, nowe demokracje... XXI wiek naznaczony jest kryzysami i chaosem. Ataki terrorystyczne na USA, kryzys finansowy, migracyjny, pandemia, rosyjska agresja na Ukrainę, nadzwyczaj szybkie zmiany technologiczne, stworzyły ogromną niepewność, chaos. Ale z tymi kategoriami zjawisk przynajmniej stykaliśmy się już wcześniej, tu szokiem była ich szybkość, rozmiały i tempo, z jakim jedne następowały po drugich. Natomiast to, że głównym generatorem chaosu i liderem innych czynników chaosu będzie prezydent USA, to nowość. To, że Trump wejdzie ścieżkę konfrontacyjną z Unią Europejską, było do przewidzenia, bo on nigdy nie żywił ciepłych uczuć do Europy. Ale że taki trzeźwy biznesmen, za jakiego się ma, wykluczy cały dorobek transatlantycki wielu, wielu dekad – to nie.

Przy czym bym tu jeszcze nie stawiał kropki nad i, bo istnieje coś takiego, jak dynamika procesu, jak element losowości, a do tego w Partii Republikańskiej pozostało paru ludzi ze szkoły reaganowskiej. Być może przyjdzie trochę otrzeźwienia, że współpraca z Europą jest w interesie Ameryki.

Choć chyba wolalbym, gdyby Trump rzeczywiście kierował się impulsem i intuicją. Bo naprawdę źle to będzie, jeśli okaże się, że ten zwrot jest przemysłany i racjonalny. Wielki dziejowy sukces Nixona i Kissingera polegał na tym, że stwierdzili: skoro głównym przeciwnikiem jest Związek Radziecki, to trzeba wbrew sobie samym zbliżyć się do drugiego wielkiego komunistycznego wroga, do Chin. Doszło do historycznego spotkania Kissingera z Mao, do wizyty Nixona. To był geopolityczny moment zwrotny.

I już parę lat temu, jeszcze przed napaścią Putina na Ukrainę, w kręgach republikańskich usłyszałem, że może pora powtórzyć patent Kissingera i Nixona, tylko z przeciwnym wektorem: skoro teraz głównym konkurentem i problemem Ameryki są Chiny, to trzeba zbliżyć się do Rosji. Któręć też zależy, żeby Chiny nie były zbyt mocne, bo Rosja przy nich karleje.

Tylko że Nixon z Kissingerem nie podważali stosunków z Europą. Tę nieracjonalną nieprzychylność dzisiejszych Republikanów wobec Europy może tłumaczyć coś, czego nie było wtedy, a jest dzisiaj i co wybrzmiało w wypowiedzi Vance’a. Czyli ta konserwatywna krucjata, którą oni prowadzą w Stanach, a Europa, również ta instytucjonalna, jawi im się jako wręcz lewicowa obyczajowo i chcieliby tę swoją rewolucję przeprowadzić i u nas.

Wiceprezydent J.D. Vance mówił, że „największym zagrożeniem dla Europy nie jest Rosja czy Chiny, ale zagrożenie od wewnątrz, odwrót Europy od niektórych z najbardziej podstawowych wartości”. A Musk, nieformalny drugi wiceprezydent, mówi wprost, że Ameryka Trumpa chce wybierać sobie przywódców w Europie.

– Jako instrument do osiągnięcia celów swojej krucjaty. Trump z Vancem chcą wracać do zdrowej tradycji chrześcijańskiej, Musk do zdrowych wartości, a to oferują im Orban, AfD w Niemczech, Tommy Robinson – dużo radykalniejszy niż rozczarowującyą dżentelmeński zdaniem Muska Farage – na Wyspach.

Republikanie będą chcieli pomóc Nawrockiemu w ramach właśnie tej krucjaty?

– Nie ma wątpliwości, że będą starali się pomóc technicznie. Wiele specjalistów republikańskich już pomaga w tej kampanii. Ale nie wykluczałbym, że Musk zechce zaangażować się osobiście. Są kroki, których nie robi się w dyplomacji, nawet takiej z premedytacją niewyrafinowanej. Gdy Vance, wiceprezydent USA, spotyka się z Friedrichem Merzem, czyli liderem przedwyborczych sondaży w Niemczech, to jest zrozumiałe. Ale gdy nie spotyka się z urzędującym kanclerzem, a spotyka się z szefową AfD – to jest niezrozumiałe. Ale gdy przypomnimy sobie, że on czuje się liderem rewolucji konserwatywnej, w jego mniemaniu wolnościowej – to już wiemy, o co chodzi.

Ale że wyborcy PiS i samemu Kaczyńskiemu coś tu nie zgrzyta? Trump chce się dogadać nad naszymi głowami z Putinem. Tym, który według nich zabił prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

– PiS jest w pułapce trumpistowskiego chaosu jak my wszyscy. Co by nie mówić o Kaczyńskim i o PiS, zachowywali jasną postawę: Ukraina ma rację, Putin jest agresorem. Ale właśnie dowiadują się – bo przecież o tym rozmawiał Trump z Putinem – od Ameryki, w optyce polskiej prawicy największego przyjaciela Polski, ważniejszego niż Europa, że Putin jest okej, Ukraińcy byli przewrażliwieni i nierozsądni, a on realizuje wielkie idee swojego wielkiego narodu, związane z wielką historią.

I co ma zrobić Kaczyński czy zwykły przyzwoity prawnik, sienkiewiczowski wyborca? Oni tak samo, jak my nagle znaleźli się w domu wariatów. Nie w szpitalu psychiatrycznym, a w takim XIX-wiecznym ponurym domu obłąkanych. Ale dlatego myślę, że ostatecznie to wyczekiwane wsparcie Republikanów zaszkodzi Nawrockiemu. Bo tylko patrzeć, jak w kampanii zaczęną padać pytania „to jak oceniacie decyzje Trumpa”.

Pierwszy komentarz Nawrockiego do słów Hegsetha: „Ja nie jestem od tego, aby komentować słowa amerykańskiego ministra obrony narodowej”.

– Taki unik można wykonać raz, drugi i trzeci, ale do końca kampanii się nie da. Nawet jak nie zapytają z sali zdyscyplinowani sympatycy, to zaraz zapytają wszyscy rywale. Z tymi kojarzonymi jako „rozumiejący Rosję” włącznie, bo każda okazja dobra, by zaszkodzić przeciwnikowi.

Ale Tusk i Sikorski też mają problem. Przecież ostatnią rzeczą, którą Polska chce, jest pogorszenie relacji z Ameryką. Co byśmy nie mówili o wyłaniającej się europejskiej unii zbrojnej, to był, jest i długo będzie nasz strategiczny partner, a my z kolei dla Ameryki jesteśmy partnerem istotnym, ale nie ma co napinać mięśni, że strategicznym. Więc konfliktu z Ameryką nie chcemy, ale na to, żeby Ameryka sprzedawała Ukrainę ponad głowami Ukraińców i naszych europejskich przyjaciół, nie możemy się zgodzić. Władza jest w pułapce: z jednej strony musimy Amerykanom mówić prawdę, co sądzimy o ich decyzjach, ale wiemy, że to nie ten typ ludzi, który doceni, że słabszy przyjaciel lojalnie mówi, co myśli.

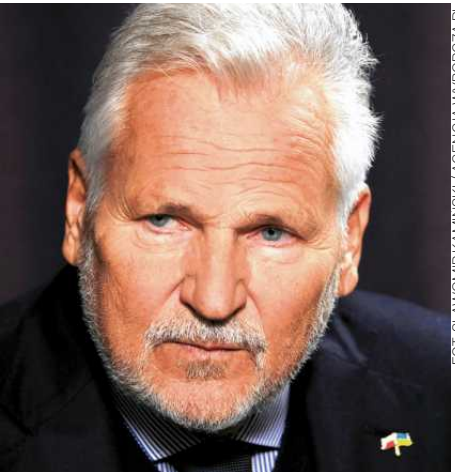
W ciągu kilkunastu dni znaleźliśmy się na polu minowym pod każdym względem: politycznym, dyplomatycznym, militarnym, gospodarczym.

To stąpanie po linie słysząc w tym, co mówi Sikorski. Że „jest stara zasada, że każda nowa amerykańska administracja uczy się Rosji i Europy od nowa”.

– Tylko ta administracja nie jest taka zupełnie nowa. To nie jest nowy prezydent, który się uczy, rok będzie ciężki, ale kolejne cztery da się wytrzymać. To jest prezydent, który już był prezydentem, owszem, nauczył się – co go zatrzymywało, jakich błoba nie mógł obejść – i przez cztery lata zrobił wszystko, żeby spuentować wiele swoich pomysłów.

Po paryskim spotkaniu Tusk oświadczył: „Europa i Stany Zjednoczone powinny naszym zdaniem bardzo blisko współpracować. Tutaj nie może być żadnej rozbieżności i oczywiście zdecydowanie opowiadamy się za wzajemnym, pełnym wsparciem Stanów Zjednoczonych i Europy, jeśli chodzi o przyszłe bezpieczeństwo i trwały pokój na Ukrainie”.

– Myślę, że Europa musi coraz bardziej uniezależniać się od Stanów. Nie chodzi o to, żeby obrażać się na Amerykę, ale żeby uświadomić sobie, że Trump to emanacja oczywistego zjawiska: otóż polityka amerykańska, jak każda demokratyczna polityka, może być zmienna, Amerykanie mogą definiować swoje interesy raz tak, raz siak, więc trzeba budować własne, współpracujące wojska, przemysły zbrojeniowe, zacieśniać współpracę polityczną i wciągnąć w to Ukrainę. Mieć po swojej stronie armię ukraińską – to naprawdę duży atut, jeśli serio myślimy o bezpieczeństwie europejskim.



FOT. SŁAWOMIR KAMINSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Taki unik jak Nawrockiego, gdy go zapytano o słowa Pete’a Hegsetha, można wykonać raz, drugi i trzeci, ale do końca kampanii się nie da

Trump wreszcie zmobilizuje Europę do działania?

– Wreszcie. Bo przecież ten transatlantycki odwrót Ameryki zaczął się nie od Trumpa, tylko od Obamy, którego teraz z taką nostalgią wspominamy, bo wydaje nam się przeciwnieństwem Republikanina. To Obama wyraźnie stwierdził, że priorytetem USA musi stać się Pacyfik. Już wtedy byli ludzie, wśród nich ja, którzy ostrzegali, że wielki amerykański parasol nie będzie rozciągnięty nad nami na zawsze.

I nie można tego definiować w kategoriach jakiejś zdrady, porzucenia, oburzenia „jak oni mogą”. Przecież Amerykanie nie raz mieli epizody izolacjonizmu i europejcy przywódcy powinni to wiedzieć – Trump jest podejrzliwy względem Europejczyków w bardzo tradycyjny sposób – a jednocześnie zmienia się struktura społeczeństwa amerykańskiego. Potomkowie ludzi z Europy stają się mniejszością. Już nie jest tak, że ktoś tam zawsze miał przodka jak nie w Irlandii, to w Niemczech, jak nie we Włoszech, to w Polsce. Już dzisiaj większość Amerykanów ma przodka Laty-

nosa, Chińczyka, Koreańczyka, Japończyka, Filipińczyka, Kubańczyka...

W naturalny sposób ta transatlantycka idea, która miała wielkie znaczenie jeszcze w 1999 roku, będzie słabła. Żeby posłużyć się prostą symboliką, spójrzmy na nazwiska. Wtedy była sekretarz stanu Madeleine Albright – Czeszka, był wpływowy doradca Zbigniew Brzezinski – Polak. Teraz była wiceprezydentka Kamala Harris – Induska i Jamajka, jest sekretarz stanu Marco Rubio – Kubańczyk.

Więc Trump może być dla nas, Europejczyków, czymś takim, jak zawał dla pałacza. O wielu rzeczach wiedzieliśmy, że trzeba je zrobić, im wcześniej, tym lepiej, ale jakoś to będzie, jeszcze działa, tyle razy się udawało... aż nagle coś się wali i musimy się zmienić. Wierzę, że Macron, Tusk, Scholtz czy wkrótce – zapewne – Mertz, Pedro Sanchez w Hiszpanii, Keir Starmer w Wielkiej Brytanii, to ludzie zdolni spojrzeć prawdzie w oczy i bez obrażania się na Amerykanów przedstawią własny projekt europejski. Bo już jesteśmy wystarczająco i zamożni, i zorganizowani, żeby to zrobić.

To dla Tuska szansa, żeby odegrać rolę lidera w Europie?

– Tusk na pewno jest jednym z najbardziej doświadczonych polityków europejskich. Gdybym miał coś sugerować, to – choć rozumiem, że mamy wybory w maju i teraz każde konkretne słowo ma znaczenie – doradzałbym, by nie mówić tak twardo, że Polska nie wyśle wojsk do Ukrainy. Bo na stole mogą znaleźć się różne scenariusze, również wymagające od nas uczestnictwa. Raczej bym przekonywał Tuska, żeby na serio starał się być jednym z liderów wzmacniania Europy wobec nowej Ameryki Trumpa.

Złożył taką deklarację, żeby nie utrudniać Trzaskowskiemu.

– Rozumiem ograniczenia Tuska związane z kampanią i koniecznością wygrania wyborów. Ale jeżeli chcemy rozmawiać poważnie, co Europa może zrobić, to mówiąc wprost – Polska z jej armią, położeniem i potencjałem może być bardzo potrzebna.

Przypomniała mi się koncepcja NATO-bis. Pamięta Pan?

– Koncepcja Lecha Wałęsy.

Prezydent rzucił ją w Brukseli w 1992 r. W Polsce wtedy wielu go wykpiło, że to taki „wałęsizm”, a jemu chodziło o międzynarodowe siły wojskowe krajów, które wcześniej były w Układzie Warszawskim.

– Na zasadzie „jak nie chcecie nas w NATO, to zrobimy sobie taką drugą ligę i może coś z tego wyniknie”. W jakimś sensie NATO później zrealizowało pomysł Wałęsy programami typu Partnerstwo dla Pokoju, czyli współpracą z krajami postsowieckimi, które chciało utrzymać w orbicie Zachodu, ale wpuścić nie mogło, bo naprawdę nie spełniały standardów albo żeby za bardzo nie drażnić Rosji.

Kwestia armii europejskiej jest dyskutowana od wielu lat. I zawsze wytłumaczeniem hamulcowych brzmiało, że przecież jest NATO, a Amerykanie, zamiast ucieszyć się, że się usamodzielniamy, mogliby źle przyjąć fakt, że Europa chce mieć swoją armię, jak gdyby ich nie potrzebowała. Lecz dzisiaj tego strachu, że wywołamy w Ameryce odruch niechęci, już nie ma, droga wolna.

Przecież struktury dowodzenia, wspólnie ćwiczących, szkolonych żołnierzy, dyżury bojowe, systemy, łączność i tak dale już mamy i jest szansa, że, odpukać, w razie czego euroarmia wytworzy się sama. Ważniejsze, żebyśmy sensownie zintegrowali nasze zbrojeniówki. W Europie jest naprawdę mnóstwo bardzo dobrych firm produkujących czołgi, rakiety, nowoczesny sprzęt, samoloty wojskowe, elektronikę, drony – ale wszystko jest zdekoncentrowane, nierzadko zdublowane. Dlatego nie jesteśmy w stanie wygrywać z Amerykanami na świecie i dlatego tyle europejskich armii koniec końców robi zakupy w Ameryce.

Dlaczego ta integracja i współpraca idzie opornie, to jasne – jeśli ja produkuję drony i ty produkujesz drony, ja produkuję helikoptery i ty też, to ktoś musiałby z czegoś zrezygnować. A to są wielcy pracodawcy, wielkie wpływy do budżetu, o dumie narodowej nie wspominając. Ale można by umówić się na podział specjalizacji albo na budowę transgranicznych konsorcjów – przecież z Airbusem czy z Eurofighterem się udało, chociaż wcześniej przez dekady każdy liczący się kraj europejski produkował własne myśliwce. W większości firmy zbrojeniowe są państwowe czy z udziałem państwa, więc pierwszy istotny krok w stronę militarnej współpracy europejskiej można zrobić względnie łatwo. I powinniśmy zrobić go szybko, żeby mieć czym wspomóc Ukraińców, jeśli Amerykanie wstrzymają dostawy.

Heghset mówił, że „powrót Ukrainy do granic sprzed 2014 roku jest nierealistycznym celem”, „przystąpienie do NATO jest nierealne i że trwały pokój na Ukrainie musi obejmować solidne gwarancje bezpieczeństwa, lecz „nie zapewnią ich siły amerykańskie”. Komentowano to jako zapowiedź „drugiej Jalty”.

– Nie sądzę, żeby taka była intencja Heghsetha, natomiast taki może być skutek jego nieprzemyślanej wypowiedzi. Niestety oczekiwanie, że Rosja wycofa się ze wszystkich terenów okupowanych, jest nierealistyczne, ale mówienie o tym publicznie już dzisiaj, przed rozpoczęciem negocjacji, od razu ustawia Putina w silniejszej pozycji wyjściowej. Tak naprawdę to wszystkich przerażało, nie sam fakt, że Rosja nie odda ziem. Bo jasne, nieoficjalnie Ukraińcy to wiedzą, i Amerykanie to wiedzą, a Rosjanie wiedzą, że tamci to wiedzą, ale bez tej publicznej deklaracji początek negocjacji wyglądałby tak:

Rosjanie mówią: dotąd doszliśmy i to już jest nasze. Amerykanie na to: o nie, nie, to są tereny, zgodnie z podpisanymi także przez was dokumentami, jak Memorandum Budapesztańskie '94, które należą do Ukrainy. Macie je oddać. Rosjanie: no bez żartów. Ale zaczyna się dyskusja – oddać, nie oddać, ile oddać, w pewnym momencie Zelenski rzuca: to wy nam coś oddajcie, a my wam oddamy ten Kursk, któryśmy zajęli... Ale zacząć się inaczej. Rosjanie powiedzą: dotąd doszliśmy i to już jest nasze, a co jeszcze możecie nam zaoferować, żebyśmy przestali iść dalej? Na co Amerykanie nie będą mogli odpowiedzieć „o nie nie”, tylko szukać pola jakichś innych ustępstw.

Kolosalny błąd. Z NATO podobnie. Nie zdziwiłbym się, jeśli tak szczerze, to mało kto był gotów już zaraz przyjąć Ukraińców i oni sami to wiedzą, ale ogłaszając to głośno, Trump jeszcze przed rozpoczęciem negocjacji spełnił jeden z głównych warunków Putina. Teraz już nie da rady targować się: mówicie, że nie mogą? A my mówimy, że mogą i ich przyjmujemy. No dobrze, nie przyjmujemy dziś, ale za 20 lat. Nie chcecie ustąpić w innej sprawie? To przyjmujemy za 10. To są negocjacje.

To samo z komunikatem, że damy gwarancję pokojową, ale nie będziemy w tym uczestniczyć. Zgaduję, że Hegseth miał na myśli linię demarkacyjną jak w Korei. Tylko że w Korei tworzyli ją Amerykanie, a do tego jest niedługa, a w Ukrainie mamy ponad 1000 kilometrów granicy. A czy Amerykanie porozmawiali z Europejczykami, nim sekretarz obrony wyskoczył z deklaracją, jak te wspólne siły międzynarodowe stworzyć? Wydawałoby się, że powinni, skoro siły mają być bez nich, ale z ich gwarancjami? Jednostki będą wymieszane, żeby Rosjanie nie mogli grać kartą „po co Francuzi mają umierać za Brytyjczyków”, czy podzielone, za każdy odcinek odpowiada inny kraj? A jeżeli Rosjanie zaatakują na przykład Słowenców na ich odcinku, to ma odpowiedzieć dowództwo w Słowenii czy jakaś struktura bliższa i wspólna, żeby nie zapanał chaos i niektórzy nie zaczęli wyłamywać się z solidarności?

Czyli Putin dostał od Trumpa czas, żeby przygotować się, przemyśleć różne scenar-

iusze, a Europejczycy – i Amerykanie sami ze sobą, bo chyba zaczyna docierać do nich ogrom komplikacji – dopiero muszą się pokładać. Tymczasem Putin już na wstępie wysunął swoje warunki tak daleko, jak się da. Najpierw w rozmowie z Trumpem powiedział, że trzeba rozmawiać o przyczynach konfliktu. A co to są przyczyny konfliktu według Putina? Ta nazistowska władza z banderowcem Zeleniskim na czele i ograniczanie praw Rosjan. Zaś kilka chwil po tym, jak temat rozmów się zaczął, orzekł, że kwestią absolutnie zasadniczą jest przeprowadzenie wyborów prezydenckich na Ukrainie.

Bo Putin wie, że dla Amerykanina to brzmi rozsądnie: kadencja dobiegła końca, jasne, wyborów nie było, bo wojna, ale nie ma wojny, więc powinny być wybory. I wie, że Trump, Hegseth i Vance zapewne nie zdają sobie sprawy, że w ten sposób Ukraina i tak wpadnie w ręce Rosji, tylko bezkrwawo, dyskretnie i legalnie. Bo można sobie wyobrazić, jak będą przebiegały wybory w kraju, gdzie część terytorium jest okupowana, miliony Ukraińców są za granicą, a po wymuszonym rozejmie i w atmosferze klęski, wręcz zdrady, panuje rozprężenie. Wymarzone pole dla kremlowskiej propagandy, manipulacji i sabotażu. W dużo mniej sprzyjających warunkach – w Rumunii czy w Wielkiej Brytanii przed brexitem

Choć rozumiem, że mamy wybory w maju i teraz każde słowo ma znaczenie – doradzałbym, by nie mówić tak twardo, że Polska nie wyśle wojsk do Ukrainy

– trolle i spece od wojny hybrydowej osiągałi sukcesy, to tu wygraną mają całkiem możliwą.

Trump negocjuje tak, jak nie negocjuje żaden poważny biznesmen, który chce coś wynegocjować. O co tu chodzi?

– On chce zakończyć wojnę jak najszybciej, żeby pokazać światu, że jest tym peacemakerem. Człowiekiem, który tworzy pokój.

Czyli chodzi o pokojowego Nobla?

– Myślę, że tak. Trump ma obsesję na punkcie Obamy, a po Noblu ona tylko wzrosła. Tylko czterech prezydentów amerykańskich w dziejach dostało Nobla, w dodatku Obama niezasłużenie – z czym akurat można się zgodzić – a ja, człowiek zmieniający warunki gry na świecie, mam nie dostać?

Ale w tym obecnym chaotycznym szaleństwie jedna rzecz stwarza nadzieję, choć wypływa z okropnych, czysto kolonialnych przesłanek. Mianowicie żądanie Trumpa, żeby Ukraina oddała połowę złóż metali rzadkich. Ukraińcy słusznie powiedzieli, że mowy nie ma, bo nawet jeśli przyjmujemy, że taka jest brutalna Realpolitik, to wypada komunikować ją językiem pozwalającym z twarzą przyjąć dyktat: zrozumcie, myśmy ponieśli, również zwykli Amerykanie, duże koszty związane z obroną was, więc chcielibyśmy mieć pierwszeństwo w różnych projektach inwestycyjnych, aby nasza przyjaźń...

Ale przynajmniej już wiemy i Ukraińcy wiedzą, że w myśleniu Trumpa zostało coś biznesowego: wie, co cennego ma Ukraina i on też chce trochę tego mieć. A to by znaczyło, że nie wystawi Ukrainy tak zupełnie do wiatru, bo wtedy te metale będzie miał Putin.

Transakcjonizm.

– Tak, transakcjonizm. W polityce bywa. Tylko że zwykle jednak towarzyszyły mu jakieś wartości. Trump z jednej strony jest cyniczny, z drugiej wzrusza się „wielkimi”, „dzielnymi”, „walecznymi” narodami. Ciekaw jestem, czy ma świadomość, że Ukraina to jest wielki naród? Taki prosto jak z amerykańskiej mitologii literackiej czy filmowej: dzielny, waleczny, któremu przez wieki historia nie dawała szansy, żeby mógł zbudować państwowość, ale choć był rusyfikowany, polonizowany, turczony, zachował swój język, kulturę, tożsamość. Zawsze się stawiał i walczył o niepodległość. Trzeba mu pomóc.

O takich rzeczach ktoś w tych rozmowach pokojowych musi Amerykanom powiedzieć. Ktoś, czyli my, Europejczycy.

A jeśli to tylko pogorszy sprawę? Bo to, że Trump nie rozumie Europy i drażni go, prawdziwego Jankesa, jej wydelikacenie, to jedno. Ale on, co gorsza, jej nie lubi, bo Europa kojarzy mu się z tymi wszystkimi gładkimi liderami, którzy go krytykowali i popierali Kamalę Harris.

– Trump jest człowiekiem pamiętliwym, więc to że Europa popierała Kamalę Haris, że europejskie gazety pisały o nim to, co pisały, a politycy mówili, co mówili, ma znaczenie. Ale on nie lubił Europy i w pierwszej kadencji.

A Europa w tym wszystkim...

– ... musi pokazać swoją siłę. Bo nie jesteśmy tacy słabi ani przegrani. Jest nas razem z Brytyjczykami – którzy żałują brexitu i już znowu, mimo wysiłków Muska wspierającego UKiP, zbliżają się do nas – ponad 500 milionów ludzi, czyli więcej niż Amerykanów i Rosjan razem. Jesteśmy siłą ekonomiczną, kulturalną, naukową, w edukacji i pod względem zamożności społeczeństw.

Na co na pewno nie powinna się zgodzić Ukraina?

– Nie może się zgodzić na zamrożenie wojny bez gwarancji bezpieczeństwa. Rozumianych nie tylko czysto militarnie, również rozwojowo. Czyli Ukraina zachowa dużą, silną, nowoczesną armię, ta armia będzie dozbrojona i regularnie szkolona przez kraje europejskie, a jednocześnie dostanie warunki – umowy celne, handlowe, inwestycyjne – by mogła stać się państwem, które produkuje, sprzedaje, do którego sprowadza się zagraniczny kapitał i wracają uchodźcy.

Dalej – Ukraina może przyjąć do wiadomości, że terytoria są okupowane i nie możemy nic z tym zrobić, ale nie uznać tych terytoriów za część Rosji. Może pozwolić na stworzenie tej linii demarkacyjnej, która chroniłaby przed kolejną agresją rosyjską, ale pod warunkiem, że dostanie gwarancje bezpieczeństwa nie tylko od Unii Europejskiej, ale również od Stanów Zjednoczonych. Bo nawet jeśli Europa poradzi sobie sama organizacyjnie, militarnie i szybko zbuduje wiarygodność jako niezależna potęga, to jednak zaangażowanie Ameryki wciąż ma znaczenie, również symboliczne.

I Ukraina musi żądać jasnej perspektywy wejścia do Unii Europejskiej.

Jeśli większość tych warunków nie zostanie spełniona, to Ukraina padnie łupem Rosji. I to raczej wcześniej niż później, bo Putin dołoży wszelkich starań, żeby już najbliższe wybory wygrał kandydat prorosyjski i siły prorosyjskie. A że kraj straci kolejne miliony ludzi, to go raczej ucieszy, niż zmarł – wciąż będzie co eksploatować, a Europa dostanie destabilizujący politycznie zastrzyk w postaci kolejnych uchodźców.

Jak to, co się teraz dzieje, może zmienić samych Ukraińców? Ukraina stanie się jeszcze bardziej prozachodnia czy tak rozgorączkowaną zdradą, że pójdzie za silniejszym, którego jakoś tam zna i wie, jak się z nim obchodzić, a wciąż łączą ją z nim więzy – czyli za Rosją?

– Mam kontakty z Ukraińcami i rzeczywistość zmęczenie wojną było bardzo duże, zasoby i materialne, i emocjonalne się kończyły, naprawdę nie bardzo było kogo wysłać na front. Więc jeszcze niedawno ludzie naprawdę oczekiwali zakończenia wojny. „Nie poddamy się, ale niech to już się skończy”, byli skłonni zaakceptować jakiś nie za bardzo zgnyły kompromis. Ale to, co właśnie się wydarzyło, czyli te rozmowy ponad ukraińskimi głowami, te kolonialne szantaże, to dawanie do zrozumienia, że Ukraina jest przedmiotem, nie podmiotem rozmów silniejszych, wskazówki, że może być sprzedana, sprawiło, że nastrój bojowy bardzo wzrasta. Ukraińcy się nie dadzą i będą jeszcze gotowi ponosić ofiary.

Teraz wojenne i później podczas odbudowy. Oczywiście Rosjanie zrobią wiele, żeby wkładać kij w szprychy budującej się demokracji ukraińskiej, ale jeśli nie zdarzy się najgorszy scenariusz – czyli wymuszenie szybkich wyborów i tylko deklaratywne gwarancje – ten nastrój będzie trwał. Zwłaszcza że silna tożsamość ukraińska buduje się nie od trzech, a od 11 lat – przecież świadomość, że putinowska Rosja chce ich zniszczyć jako kraj, ludzi i kulturę, pojawiła się już w 2014 roku, wraz z rosyjską agresją na Donieck, Ługańsk i Krym. Więc to, co się w tej chwili dzieje, raczej nie grozi rezygnacją, ale tylko wzmocni ich ducha patriotycznego.

„Szczegółowo wmerła Ukrainy i sława, i wola”. Tak zaczyna się ich hymn. Skądś to znamy, nie? ●

...koncert mocarstw.

– Konflikt mocarstw.

BĄDŹ CZŁOWIEKIEM, NIE PATRIOTĄ

Skutkiem ideologii pychy narodowej staje się wojna.

Anna Mirkes-Radziwon*

Przed pierwszym bombardowa-
niem Kijowa Putin musiał przez
lata prowadzić „specjalną ope-
rację wojskową” w głowach ro-
daków. Propagandowa machina
w Rosji i poza jej granicami,
m.in. w prorosyjskich regionach
Ukrainy (skala dywersji doko-
nywanej przez fabryki trolli,
takie „media” jak Russia Today
w USA i w Europie to osobny
temat), wmawiała odbiorcom
idee słuszności dziejowej Rosji
otoczonej przez wrogi Zachód,
który czyha, aby ją zniszczyć;
dlatego ona nie ma innego
wyjścia, jak wkroczyć na teren Ukrainy
(„marionetki Zachodu”) i wykurzyć wroga,
zanim „nas napadnie”.

Ekspansja wojenna reżimu Putina jest
skrajnym przejawem doktryny patriotyzmu.
Patriotyzm, jak go rozumieli wielcy humani-
ści, co najdobitniej ujął Lew Tolstoj (a w na-
szych czasach wybitny obrońca praw czło-
wieka, dysydent radziecki Siergiej Kowa-
low), wywodzi się z miłości własnej, ego-
centryzmu w obrębie państwa i narodu, po-
czucia własnej wyższości i w istocie strachu
przed obcymi. Jest zaprzeczeniem chrześci-
jańskich wartości, które tworzą podstawy
wspólnoty europejskiej, bo jego przykaza-
niem jest „umiluj siebie - i poźrzy bliźniego”.

To zjawisko ze świata zwierząt liczy mi-
liony lat i jest „typowe dla pierwszych bez-
kręgowców” (jak sformułował to biofizyk
Kowalow podczas uroczystości wręczenia
mu doktoratu honoris causa UW). Rozdmu-
chane ego w skali narodu, państwa.

Konsekwencją patriotyzmu jako ideolo-
gii pychy narodowej i państwowej wcześniej
czy później staje się - Tolstoj przekonywał
o tym w esejach antywojennych pod koniec
życia, kilka lat przed I wojną światową - eks-
pansja terytorialna.

•
Państwowo-patriotyczna ideologia puti-
nowska przetrawiła i wydalila z siebie w po-
staci wulgarnej i absurdalnej XIX-wiecz-
ne rosyjskie idee słowianofilskie. Doktry-
na kremłowska o „suwerennej demokracji”
(to pojęcie w duchu orwellowskim) to mia-
zmaty owych idei. Zapoczątkował je Piotr
Czaadajew, którego cierpka krytyka zacofa-
nia Rosji znalazła kontynuatorów: Kiriejew-
skiego, Aksakowa, Leontjewa. Wszyscy oni
wnioskowali paradoksalnie, że w tej słabości
i zacofaniu Rosji kryje się jej siła.

Z tego wynurzył się postulat „trzeciej
drogi” Rosji, do której nie pasują drogi cy-
wilizacji zachodniej. Egoizm narodowy, ina-
czej mówiąc, patriotyzm, nie pozwala my-
śleć, że słabość i zacofanie to nic innego jak
słabość i zacofanie. Łatwiej jest uwierzyć, że
się jest wybranym wśród narodów świata
i ma się misję „wyprostowania” pozostałych.

Od dumy z siebie do roszczeń wobec „ob-
cych” droga jest krótka. Logicznym skut-
kiem patriotyzmu staje się agresja wojenna.
Czy są granice dla „ruskiego miru” Putina?
Jeżeli świat go nie powstrzyma, wojska ro-
syjskie będą przekraczały kolejne granice.

Ta oczywistość niewybaczalnie powo-
li dociera do Zachodu. „Rosja nie ma gra-

nic”, jak niby żartem wyznał Putin w 2017 r.
w propagandowym show w TV.

•
5 marca 2024 r. Emmanuel Macron wypo-
wiedział w Pradze znamienne słowa: to jest
nasza wojna. Jeżeli nie powstrzymamy jej te-
raz, wtargnie do naszych domów. „Powin-
niśmy wykazać się odwagą, jakiej historia
od nas wymaga”. To jest długo oczekiwany
przejaw świadomości europejskiej, że war-
tości praw człowieka powinny się stać real-
nymi mechanizmami politycznymi, w tym
międzynarodowej polityki sojuszy - i że
nie są to patetyczne hasła, tylko praktycz-
ne wskazówki.

Na przykład taka, że Realpolitik, nawet
jeśli wywodzi się z tzw. najlepszych pobu-
dek patriotycznych - życzenia korzyści, zy-
sków bieżących własnemu państwu - to
droga ku katastrofie. Dziesięciolecia eu-
ropejskiego handlu z Putinem i uwikłania
państw europejskich w coraz większą zależ-
ność od Rosji udowodniły nam to dzisiaj.

O konieczności utworzenia dialogu róż-
nych sił, aby mogły podejmować wspólne
decyzje, Macron mówił i w 2020 r. Podkre-
ślał, że Rada Bezpieczeństwa ONZ już nie
przygotowuje skutecznych rozwiązań, kryty-
kował postępujący pod wpływem mocarstw,
które łamią prawa człowieka, relatywizm
wartości. Dzisiaj tamto wezwanie pozostaje
figurą retoryczną.

W świecie wartości, o urzeczywistnieniu
których w polityce marzyli wielcy huma-
niści, o które walczyli dysydenci i obrońcy
praw człowieka - tacy jak Andriej Sacharow,
Kowalow, jak moi wspaniali koledzy z Me-
moriału i innych prześladowanych w Rosji
i na Białorusi organizacji pozarządowych,
wczorajsi i dzisiejsi więźniowie polityczni -
rządy państw powinny widzieć i rozumieć
planetę jako jeden organizm i wspólny dom.

Gdy nowotwór zżera jeden organ, wcze-
śniej czy później zginie cały organizm. Jeśli
pożar w jednym pokoju nie zostanie ugaso-
ny, wcześniej czy później spali się cały dom.

Bez tej świadomości świat bez wojen ni-
gdy się nie ziści. Żaden patriotyzm w obrę-
bie własnego państwa: budowanie murów,
niewpuszczanie uchodźców, brak solidarno-
ści z krajami napadniętymi, jak Ukraina, nie
pomoże uniknąć pożaru.

•
Dla nas w Polsce osiem lat rządów PiS-
-u powinno się stać lekcją pokory i zwalczania
pychy. Mogliśmy zobaczyć, do jak ol-
brzymich zmian może prowadzić ideolo-
gia „wstawania z kolan”, megalomanii, mi-
tologia nieomylności i historycznej wyższo-
ści jednego narodu. Pamiętajmy, jak dzia-
łała machina populistycznej propagan-
dy i jak na naszych oczach zmieniała krajo-
braz. Może to nas powstrzyma od rozważań
na temat trwałej prawości jednych narodów
i niewolniczej mentalności drugich?

Rozbrojenie „imperium zła” nie odbę-
dzie się bez jego porażki w wojnie, bez repa-
racji, bez wyroków trybunałów międzyna-
rodowych. Pokuta nie przyjdzie sama z sie-
bie. Ale uzdrowienie chorego nie nastąpi też
bez pracy edukacyjnej dla społeczeństwa ro-
syjskiego i innych społeczeństw postsowiec-
kich. Wysiłki te winny poprzeć demokra-
tyczne instytucje całego świata.

•
Mam zaszczyt należeć do wspólnoty Mię-
dzynarodowego Memoriału. Zainicjowało
go pod koniec lat 80. środowisko dysyden-

tów radzieckich, których przez lata oskarża-
no o brak patriotyzmu. Twórcy Memoriału
wykonywali mrówczą pracę przywracania
prawdy historycznej. Dzięki tej prawdzie wy-
lańali się krwawy obraz imperium.

Ludzie Memoriału zwalczali imperial-
ną manię wielkości ZSRR, a po jego rozpa-
dzie obalali mitologię narodowej wyższości.
W Polsce znamy tę retorykę z czasów rzą-
dów populistów: hasła „precz z pedagogiką
wstydu!”, „wstajemy z kolan” etc. są podobne
do tych, których używają wszyscy populiści
świata, Fidesz, AfD czy Jedna Rosja.

Antypatrioci z Memoriału wzywali „swo-
ich” do refleksji i pokuty, stawali w obronie
„obcych”. Współprzewodniczący Memoria-
łu, 71-letni Oleg Orłow znalazł się w więzie-
niu oskarżony o dyskredytację wojsk rosyj-
skich z „obciążającym wątkiem nienawiści
i wrogości ideologicznej wobec Rosji” oraz
o „szerzenie ideologii antypatriotycznej”.

Orłow bronił praw człowieka niemal we
wszystkich konfliktach wojennych w kra-
jach poradzieckich. Podczas ataku terrory-
stycznego w Budionnowsku w 1995 r. został
z Kowalowem i grupą ochotników dobro-
wolnym zakładnikiem terrorystów, dzięki
czemu uwolniono ponad tysiąc osób.

**Realpolitik, nawet
jeśli wywodzi się
z tzw. najlepszych pobudek
patriotycznych, to droga ku
katastrofie**

W sierpniu 2024 r. z grupą więźniów po-
litycznych został uwolniony w wyniku wy-
miany międzynarodowej. Od tamtego cza-
su przejeżdżał kilkakrotnie do Polski, gdzie
opowiadał o sytuacji więźniów politycznych.

•
To, co w rozumieniu doktryny patriotyzmu
robi się w imię miłości ojczyzny, może się
też dokonywać z pobudek ogólnoludzkich.
Kochamy nasz dom i bronimy go przed na-
jeźdźcą. Jednak gdy bandyta napada na są-
siada, bronić go nakazuje nam nie patrio-
tyzm, tylko człowieczeństwo. I rozsądek.

Żaden nacjonalizm nie jest dobry. Dobra
jest obrona godności - na poziomie indy-
widualnym, społecznym i ogólnym - obrona
naszej planety, wspólnych gatunkowi ludz-
kiemu wartości. Walka o wolność, obrona
historii i kultury w przypadku narodów na-
padniętych i uciskanych jest obroną własnej
godności. STAWIAMY CZYNNY OPÓR, JE-
ŻELI KTOŚ NARUSZA NASZE GRANICE -
indywidualne, kulturalne, społeczne.

Agresja Rosji Putina na wiele dziesięcio-
leci uruchomiła lawinę nacjonalizmu po stro-
nie ofiar - patriotyzmu słusznego: zacznie
się podkreślanie różnic czy też granic et-
nicznych, rasowych. To jest proces natural-
ny, każdy - poza obrońcami praw człowieka
- powie, że historycznie słuszny.

Jednak granice, które oddzieliły społe-
czeństwo Majdanu i „rewolucji godności” od
społeczeństwa popierającego, także przez
obojętność albo strach, wojnę w Ukrainie,
SĄ GRANICAMI CYWILIZACYJNYMI (po-
datność na propagandę też jest cechą nie-
dojrzałości cywilizacyjnej), a nie etnicznymi.
Nie ma mowy o „genetycznej mentalności”.

Dowodem są pozrywane relacje rodzin-
ne. Radziecka klisza „bratnia republika”
skompromitowała słowo „braterstwo”: sło-
wa te w ZSRR i dzisiejszej Rosji, jak u Or-
wella w „1984”, oznaczają swoją odwrot-
ność. Określeniem „bratni naród” uspra-
wiedliwiano dekady rusyfikacji, okupa-
cję części Ukrainy, wojnę i pacyfikowa-
nie Ukraińców.

Słowem, w którym był, w odróżnieniu od
propagandowego, sens dosłowny, jest „po-
krewieństwo”. Co czwarta, piąta rodzina
w Ukrainie ma bliskich krewnych w Rosji.
To pokrewieństwo zostało rozcięte żywcem.
Ludzie pochodzący z jednej rodziny - nie-
ważne, czy są etnicznymi Ukraińcami, Żyda-
mi, Ormianami czy Rosjanami - mieszkający
w Ukrainie i w Rosji zrywają stosunki raz na
zawsze, krewni stają się wrogami.

•
Optymiści twierdzą, że jesteśmy świadkami
agonii państw narodowych; zanim padnie
konstrukt państwa narodowego zbudowa-
nego na megalomanii, ujrzymy przesilenie
w postaci dojścia do władzy skrajnej populi-
stycznej prawicy i wojen, ale to są ostatnie
podrygi, agonია. Po niej nadejdzie przełom -
i następne pokolenia ujrzą światło w tunelu:
granice staną się płynne, narody będą się łą-
czyły w większe wspólnoty wedle innych niż
rasowe kryteriów, korzyści polityczne pro-
wadzenia wojen zmaleją do zera.

Granice konstruktów „Europa Wschod-
nia”, „Europa Środkowa” etc. są płynne, prze-
suwają się w zależności od wydarzeń. Parę
lat temu pracowałam w państwowej insty-
tucji kulturalnej. Wezwano nas do wypracowa-
nia strategii promocji kultury polskiej ja-
ko północnoeuropejskiej. Przesłanie, które
otrzymaliśmy, brzmiało tak: nie chcemy już
więcej być Europą Wschodnią, chcemy być
Europą Północną, a więc szukajmy wspól-
nych mianowników z krajami bałtyckimi.

W płynnej rzeczywistości JEDYNYM
TRWAŁYM POJĘCIEM JEST i pozosta-
nie CZŁOWIECZEŃSTWO.

Przypomina mi się tu pewien - wschod-
nioeuropejski jednak - dialog. Wybitny po-
eta litewski Tomas Venclova w rozmowie
z młodszym o pokolenie znakomitym ukra-
ińskim tłumaczem i krytykiem Oleksan-
drem Bojczenką mówił tak: „Jestem optymi-
stą-realistą. Będzie dobrze, ale ja tego nie do-
żyję”. Na co Bojczenko miał odpowiedzieć:
„A ja jestem optymistą egzystencjalnym. Bę-
dzie dobrze, ale nikt nie dożyje”.

Czy istnieje może jakiś inny rodzaj opty-
mizmu? Bardzo chciałoby się dożyć. ●



FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Anna Mirkes-Radziwon

• – absolwentka Nowosybirskiego Uniwer-
sytetu Pedagogicznego i Szkoły Nauk Spo-
łecznych PAN. W latach 2009-14 pracowała
w Instytucie Polskim w Moskwie, 2014-22 -
w Instytucie Adama Mickiewicza w Warsza-
wie: była szefową zlikwidowanej w 2022 r.
sekcji rosyjskiej Culture.pl. Przewodnicząca
stowarzyszenia Memoriał Polska.



УКРАЇНА - ЦЕ ЄВРОПА



TO NAPRAWDĘ UKRAIŃSKA APKKA?

Jednym z najbardziej niezwykłych aspektów życia w Ukrainie jest to, że mimo wojny mój kraj nie przestaje się rozwijać.

Książki, seriale i celebryci, którzy pozwolą poznać sąsiadów

Władysław Jacenko

Lachodni świat podziwia Ukraińców za odwagę i determinację, ale jednym z najbardziej niezwykłych aspektów życia w Ukrainie jest to, że mimo wojny mój kraj nie przestaje się rozwijać.

Powstają filmy na najwyższym poziomie, muzyka, która zdobywa międzynarodowe uznanie, książki tłumaczone na dziesiątki języków. Ukraińscy przedsiębiorcy tworzą biznesy o globalnym zasięgu. Mimo wybuchających rakiet wciąż otwierają się nowe restauracje i kawiarnie. Gdy tylko sytuacja pozwala, ludzie spotykają się, świętują. I ciężko pracują.

Jak dziś brzmi Ukraina? Co czytają, oglądają i kim inspirują się jej mieszkańcy? Nie da się oddzielić wojny od kultury. Ukraińscy artyści – muzycy, pisarze, filmowcy – rejestrują rzeczywistość, dzielą się przeżyciami, zadają pytania o przeszłość i przyszłość. Nowe albumy muzyczne stają się osobistymi dziennikami wojennego czasu, ale nie tylko – opowiadają także o życiu, miłości i codziennych emocjach. Filmy to próba opowiedzenia Ukrainy światu, ale przede wszystkim sobie samym – twórcy szukają uniwersalnych prawd i własnej tożsamości. Bestsellerowe powieści i książki faktu stają się przewodnikami po złożonej rzeczywistości.

To przewodnik po współczesnej Ukrainie – książkach, które Ukraińcy czytają w pociągach, kawiarniach i schronach, płytach, które najlepiej oddają emocje, tego

czasu i emocje w ogóle. A także po biznesach, które wyznaczają nowe kierunki i po miejscach – nie tych cepeliowych, dla turystów, tylko w których spotykają się mieszkańcy ukraińskich miast.

Jeśli serio chcecie zrozumieć dzisiejszą Ukrainę, wyjść poza folklorystyczno-kulinarne, banalny schemat suszonej ryby, piwa Lwowskiego i wyszywanek – warto zacząć właśnie od tego.

5 UKRAIŃSKICH FILMÓW I SERIALI, KTÓRE WARTO OBEJRZEĆ

• „Luksemburg, Luksemburg” – bracia ruszają w Europę

Antonio Lukić, jeden z najciekawszych ukraińskich reżyserów, w filmie „Luksemburg, Luksemburg” zrezyserował łączący sarkazm z refleksją nad ukraińską rzeczywistością. To opowieść o dwóch braciach bliźniakach, którzy wyruszają do Luksemburga, by odwiedzić ojca – postać, której wspomnienie dzieli ich na dwa bieguny: dla jednego to bohater, dla drugiego – lajdak. Akcja rozgrywa się na przestrzeni lat 90. i 2010., balansując między humorem a surową prawdą o dorastaniu w Ukrainie.

• „Kamień. Papier. Granat” – dorastanie w postsowieckiej Ukrainie

Film Iryny Tsilyk to poruszająca opowieść o dzieciństwie w trudnych realiach lat 90. w Ukrainie. Tymofij dorasta w prowincjonalnym miasteczku. Jego życie zmienia się, gdy poznaje Feliksa – charyzmatycz-

nego, skomplikowanego weterana wojny w Afganistanie. Mimo nalogów i trudnego charakteru Feliks staje się dla chłopca mentorem. Poparta na powieści Artema Czecha historia o przyjaźni, pierwszej miłości i próbach odnalezienia się w dorosłym świecie.

Zdjęcie 4

• „Moje myśli są ciche” – matka i syn słuchają zwierząt

Antonio Lukić znów udowodnił talent w subtelnej, pełnej absurdu i czułości komedii. Opowiada historię młodego dźwiękowca, który otrzymuje nietypowe zlecenie – ma nagrać odgłosy zakarpaccich zwierząt. W podróży towarzyszy mu matka, a ich relacja staje się źródłem komicznych i wzruszających momentów. To kino arthouse'owe, które zdobyło międzynarodowe uznanie, udowadniając, że ukraińska kineematografia potrafi łączyć humor z głębszą refleksją nad życiem.

• „Czarne żniwa” – historia Ukrainy w dwunastu odcinkach

Epicka serialowa saga przedstawiająca losy ukraińskiej wsi w pierwszej połowie XX wieku. Widzowie śledzą życie zwykłych ludzi, którzy muszą mierzyć się z wielkimi wydarzeniami historycznymi: I wojną światową, rewolucją, klęską Ukraińskiej Republiki Ludowej w wojnie z Rosją oraz narzuceniem władzy sowieckiej. Każdy z 12 odcinków koncentruje się na innym bohaterze i jego walce o przetrwanie w burzliwych czasach. „Czarne żniwa” to dramatyczna opowieść o trudnych wyborach, które na zawsze zmieniły losy Ukrainy.

• „Złapać Kajdasza” – ukraińska rodzina jak zwykle w cieniu historii

Jeden z najpopularniejszych ukraińskich seriali ostatnich lat to interpretacja klasycznej powieści Iwana Neczuj-Łewyckiego. Historia rodziny Kajdaszów, która toczy niekończące się spory, rozgrywa się na przestrzeni lat 2005–14. Serial Oleksandra Tymenka wnikliwie ukazuje życie codzienne i relacje międzyludzkie, a przy okazji portretuje zmieniającą się Ukrainę. Scenarzystką jest Natalia Worozbyt, jedna z naszych najważniejszych dramatopisarek.

5 UKRAIŃSKICH BIZNESÓW, KTÓRE KSZTAŁTUJĄ PRZYSZŁOŚĆ

• Monobank – rewolucja w bankowości mobilnej

Monobank to fintech, który zmienił sposób, w jaki Ukraińcy korzystają z bankowości. Działając bez fizycznych oddziałów, oferuje w pełni cyfrową obsługę klienta – od założenia konta po zarządzanie finansami w intuicyjnej aplikacji. Atrakcyjne cashbacki, korzystne kursy walut i przejrzyste warunki kredytowe, błyskawiczne przelewy i prosta obsługa – tak stał się najpopularniejszym bankiem mobilnym w Ukrainie, zdobywając miliony klientów. Jego rola wykracza jednak poza bankowość – aplikacja Monobanku stała się jednym z głównych narzędzi wolontariuszy i aktywistów zbierających fundusze na potrzeby armii i wsparcie humanitarne. To dowód, że technologia finansowa może być narzędziem realnej pomocy w czasach kryzysu.

• **Nowa Poczta – jak w szwajcarskim zegarku**

Nowa Poczta to nie tylko nasza najważniejsza firma kurierska, ale też przykład dynamicznej ekspansji i modernizacji. W czasie wojny stała się kluczowym filarem dostaw – dla biznesu i zwykłych obywateli. Dzięki zaawansowanej infrastrukturze i nowoczesnym rozwiązaniom, takim jak paczkomaty i aplikacja mobilna, firma utrzymuje szybkie i niezawodne dostawy w niebywale trudnych warunkach. A ekspansja na rynki europejskie – Nowa Poczta działa już w 14 krajach, w tym w Polsce, Niemczech, Włoszech, Francji, Hiszpanii, Wielkiej Brytanii, Estonii, Łotwie, Litwie i Mołdawii – sprawia, że staje się naprawdę poważnym graczem.

• **BetterMe – fitness na żądanie**

Ukraiński startup jako jeden z pierwszych wyczuł rosnący trend świadomości zdrowotnej i zdobył miliony użytkowników na całym świecie, oferując aplikacje wspierające zdrowy styl życia. Firma dostarcza spersonalizowane plany treningowe, diety i wsparcie psychologiczne, pomagając użytkownikom w budowaniu zdrowych nawyków. Dzięki algorytmom AI i indywidualnemu podejściu BetterMe stało się jednym z liderów rynku wellness. Jego aplikacje są jednymi z najczęściej pobieranych w kategorii zdrowia i fitnessu.

• **Preply – i wiesz, jak to powiedzieć**

To platforma, która zrewolucjonizowała naukę języków obcych, łącząc uczniów z nauczycielami na całym świecie. Dzięki sztucznej inteligencji dopasowuje korepetytorów do indywidualnych potrzeb użytkowników, umożliwiając skuteczną naukę online. Ukraiński startup odniósł globalny sukces, przyciągając inwestorów i użytkowników z ponad 180 krajów. W dobie digitalizacji edukacji Preply nie tylko ułatwia naukę, ale także otwiera nowe możliwości zawodowe dla nauczycieli i uczniów. A przy okazji udowadnia, że technologia może niwelować bariery i demokratyzować dostęp do wiedzy.

• **Ajax Systems – ostrzega przed włamywaczem i rosyjskim bombowcem**

Ukraińska firma stała się jednym z liderów w dziedzinie inteligentnych systemów bezpieczeństwa. Jej bezprzewodowe alarmy i czujniki chronią domy i firmy w ponad 120 krajach. Spodobało się połączenie zaawansowanych technologii, wygodnej obsługi i fajnego wzornictwa. Po rosyjskiej inwazji firma wykorzystwała te doświadczenia i wspólnie z ukraińskimi programistami opracowała aplikację Air Alert, która ostrzega przed nalotami. Aplikacja, pobrana ponad 21,6 miliona razy, stała się kluczowym narzędziem ratującym życie.

5 UKRAIŃSKICH INFLUENCERÓW, KTÓRZY UCZĄ, BAWIĄ, POMAGAJĄ I MOGĄ ZAINSPIROWAĆ CUDZOZIEMCA

• **Ihor Laczenkow – internetowy zbrojmistrz**

Jest przykładem, jak social media mogą realnie – i pozytywnie – wpływać na rzeczywistość. Jego kanał w Telegramie „Laczen pisze” stał się jednym z najpopularniejszych źródeł informacji o wojnie. Ale to nie tylko newsy – Laczenkow jest też jednym z największych organizatorów zbiorów na rzecz armii. Najbardziej znana akcja to dronowa żrutki „Narodowy Bajraktar”, w której Ukraińcy zebrali 600 milionów hrywien – prawie 60 mln zł. Jego zaangażowanie docenił sam szef ukraińskiego wywiadu wojskowego, wręczając medal „Za Sprzyjanie Wywiadowi Wojskowemu Ukrainy”.

• **Diwa Monroe – o LGBT+ tylko po ukraińsku**

Pionierka i jedna z najbardziej rozpoznawalnych postaci ukraińskiej sceny LGBT+.



46-letnia influencerka zaczynała jako artystka sceniczna w latach 90., dziś jest blogerką, aktorką i prezenterką telewizyjną. Jej kanał na YouTube ma ponad 100 tysięcy subskrybentów. W mediach społecznościowych otwarcie mówi o tożsamości, prawach człowieka i kulturze queer. Po inwazji przeszła w przestrzeni publicznej wyłącznie na język ukraiński, wspiera armię i zachęca widzów do zaangażowania w działania społeczne.

• **Nikolas Karma – od kuriera do gwiazdy socjalmediów**

Influencer, który podbił internet cyklem „Ile kosztuje twój look?”. Zaczynał jako kurier, ale jego uliczne wywiady z przechodniakami o cenach ich ubrań szybko stały się viralowe. Dziś ma milion obserwujących, a jego materiały pokazują już nie tylko luksus i glam, ale też absurd społeczny. I wpływa nie tylko na trendy w stylówie – to właśnie po jego wywiadzie zwolniono urzędniczkę celną ubraną w rzeczy warte ponad 8 tysięcy dolarów. Poza rozrywką Karma prowadzi akcje charytatywne dla żołnierzy.

• **Denys Chrystow – ewakuacja ze strefy walk online**

Jeden z tych twórców, którzy całkowicie zmienili życie po 24 lutego 2022. Wcześniej prowadził programy rozrywkowe w telewizji i organizował imprezy. Dziś jego działalność to głównie wolontariat. Chrystow ewakuuje ludzi z terenów objętych walkami, organizuje transport dla zwierząt i dokumentuje swoje misje na Instagramie, gdzie ma ponad 200 tysięcy obserwujących. W 2024 r. rozpoczął cykl „Podróże naszego czasu”, pokazując miasta, które stały się symbolami wojny: Bachmut, Wołczańsk, Pokrowsk czy Beryslaw.

• **Sofia Bezwercha (KRAPKA.KRAPKA) – ambasadorka nawrócona z rosyjskiego** Jeszcze kilka lat temu mówiła po rosyjsku i oglądała rosyjskie seriale. Dziś jest jedną z najpopularniejszych blogerek kulturalnych w Ukrainie. Na Instagramie i TikToku (gdzie śledzą ją setki tysięcy ludzi) promuje ukraińską modę, tradycję i postacie historyczne. „Wydawało mi się, że ukraińskie – to znaczy coś prowincjonalnego. Dziś wiem, jak bardzo się myliłam” – mówi w jednym z postów. Jej celem jest przywrócenie Ukraincom dumy z własnej kultury – i patrząc na reakcje jej fanów, robi to skutecznie. Zdjęcie 2

5 UKRAIŃSKICH KSIĄŻEK, KTÓRE WYPADA PRZECZYTAĆ

• **„Zmieszam z węglem twoją krew” – utracony świat Donbasu**

Oleksandr Myched w epickim reportażu „Zmieszam z węglem twoją krew” zabiera czytelników w podróż po wschodniej Ukrainie sprzed wojny, odsłaniając nieznaną oblicze regionu, który często sprowadzany jest do stereotypowego obrazu ponurego, zubożonego, przemysłowego Donbasu. Podróżując przez Bachmut, Siewierodoneck i inne miasta, autor ukazuje (również

po polsku, bo książkę wydało Czarne) życie mieszkańców – górników, artystów, intelektualistów – których codzienność naznaczają ból oraz nieustająca walka o własną tożsamość, ale również sobotnie imprezy, wspomnienia z nastoletnich wypadów na plażę (bo na „Donbas” uruchamiają się skrajzenia: hałdy, nieotynkowane bloki, smutek i rozpad, ale przecież z Konstantynówki czy Pokrowska nad Morze Czarne jest tyle, co z Warszawy do Olsztyna) i inne zwykłe radości. Literacki dokument o świecie, który już nie istnieje. I wyraz głębokiej miłości do Ukrainy.

• **„Amadoka” – wiele warstw pamięci** Sofija Andruchowycz buduje monumentalną opowieść, w której splata różne epoki i miejsca, tworząc obraz Ukrainy jako, a jakżeby inaczej, przestrzeni naznaczonej historią. Jedną z naszych najważniejszych autorek bada mechanizmy pamięci – jednostkowej i zbiorowej – ukazując, że choć historia często zostaje wyparta lub zapomniana, jej ślady pozostają obecne w podświadomości. To książka o znikających kulturach, traumach przekazywanych z pokolenia na pokolenie i o tym, że nic nie ginie bez śladu.

• **„Badania terenowe nad ukraińskim seksem” – literatura jest kobietą, głośną i odważną**

Już w chwili wydania w 1996 r. powieść Oksany Zabużko stała się kultowa, wywołując trwającą do dziś debatę o stanie społeczeństwa, doświadczenia płci oraz o tym, co wypada, a co nie w literaturze.

Autorka odważnie analizuje zarówno kobietę, jak i narodową tożsamość Ukrainy, wykorzystując elementy autobiografii i literackiego eksperymentu. Jej bohaterką jest poetka Oksana, której osobiste doświadczenia przeplatają się z refleksjami nad historią i kulturą. Pełna lirycznych wstawek i bezkompromisowych spostrzeżeń powieść wpisała się w ukraiński kanon, redefiniując sposób, w jaki mówi się o kobiecości i narodzie. O czym Polacy mogą się wygodnie przekonać, bo polski przekład „Badań...” wznowiła Agora. Zdjęcie 1

• **„Miasto” – Ze wsi do sowieckiego miasta** Jedno z najważniejszych dzieł ukraińskiego modernizmu, które z niezwykłą precyzją oddaje napięcie między jednostką a społeczeństwem. Bohater powieści Waleriana Pidmohylnego, Stepan Radchenko, przyjeżdża do Kijowa lat 20. XX wieku, pełen marzeń o wielkiej przyszłości i oderwaniu się od wiejskich korzeni. Miasto – pełne kontrastów, jazzowych rytmów i nowoczesnych bulwarów – staje się dla niego polem walki o tożsamość i zderzenia rewolucyjnych ideałów z rzeczywistością. Pidmohylny z ironią i przenikliwie pokazuje, jak wielkie nadzieje potrafią przerodzić się w rozczarowanie – aktualne dziś, jak wtedy.

• **„W cieniu imperium” – książka jako broń** Wira Ahejewa bada, jak nasza literatura od wieków była polem walki o tożsamość i pamięć historyczną. Jej książka to wnikliwa analiza mechanizmów kulturowych, które pozwalały Ukrainie zachować odrębność

mimo ciągłych prób rusyfikacji. Autorka przywołuje kluczowe postacie ukraińskiej kultury, ukazując ich twórczość w nowym świetle. Pozycja obowiązkowa dla tych, którzy chcą zrozumieć, jak literatura może stać się formą oporu wobec imperialnych narracji i narzędziem budowania narodowej świadomości.

5 NOWYCH UKRAIŃSKICH PŁYT, KTÓRE WARTO WŁĄCZYĆ

• **Jamala, „QIRIM” – muzyczny hołd dla Krymu**

To coś więcej niż album – to manifest artystyczny i kulturowy. Jamala, laureatka Eurowizji, sięga do korzeni, odtwarzając zapomniane melodie i historie krymskich Tatarów. Album, zbudowany na symfonicznych aranżacjach i unikalnym wokalu, tworzy poruszający portret Krymu – miejsca, które wciąż walczy o siebie. Dwupłytowe wydawnictwo znalazło się w zestawieniach najlepszych albumów 2023 r., łącząc muzyczną ekspresję z głębokim przekazem politycznym i emocjonalnym.

• **Klavia Petrivna, „Jide Dach” – sukces tajemnicy w świecie algorytmów**

Jedno z najbardziej intrygujących wydań na ukraińskiej scenie muzycznej. Debiutantka, która krywała tożsamość, zdobyła ogromną popularność, a jej piosenki stały się wszechobecnym soundtrackiem codziennego życia – słychać je w sklepach, samochodach, cytują je celebryci. Fenomen Klavdii Petrivny to dowód na to, jak nowoczesny pop może łączyć tajemniczość, autentyczność i masowy sukces.

• **Każanna, „Rukokryla” – istnieje szczerzy dobry pop z TikToka**

Zapis emocji i doświadczeń artystki, która rozpoczęła karierę jako popularna twórczyni na TikToku. Jej muzyka wyróżnia się niezwykłymi aranżacjami i głęboką szczerością, co sprawia, że „Rukokryla” jest jednym z najbardziej osobistych wydawnictw na ukraińskiej scenie. Debiutancki album balansuje między subtelnym liryzmem a nowoczesnym brzmieniem, udowadniając, że Każanna to nie tylko internetowa sensacja, ale także artystka z potencjałem na długą karierę.

• **Dorofeeva, „Heartbeat” – piękna muzyczna psychoterapia**

Dorofeeva, już znana z duetu Wremia i Steklo, prezentuje własny pełnowymiarowy album, który jest zapisem jej wewnętrznych przeżyć i emocji. Po raz pierwszy sama napisała wszystkie teksty, w dwunastu utworach przeplatając miłość, pasję, smutek i nadzieję. Artystka przyznaje, że proces tworzenia muzyki stał się dla niej formą autoterapii, pozwalającą odnaleźć się na nowo. Zdjęcie 3

• **YAKTAK, „Pod gitarę” – bard, gatunek wcale nie na wymarcu**

Debiutancki album YAKTAKA to zbiór osobistych historii, w których artysta opowiada o miłości, stracie i codziennych emocjach. Jego muzyka, inspirowana klasycznym ukraińskim songwritingiem, szybko podbiła serca słuchaczy, a utwory z albumu regularnie zajmują czołowe miejsca na listach przebojów. Szczególną popularność zdobyła piosenka „Niższa zrostem”, nostalgiczna opowieść o ulotnej miłości. YAKTAK ma jasny cel – zastąpić rosyjską muzykę w ukraińskich mediach i udowodnić, że rodzima scena ma wystarczająco dużo talentów, by konkurować z zagranicznymi produkcjami. ●

Władysław Jacenko

• ukraiński dziennikarz w Polsce. Na co dzień jest autorem Gazeta.pl.

Plakat, czyli jak zadbać o ikoniczność

Zasada: „wszystko jedno co, byle z nazwiskiem” sprawdza się szczególnie dobrze w przypadku kampanii wyborczych.



Michał Rusinek

Dożyliśmy takich czasów, że polityk, który liczy na poparcie wyborców, musi mieć nie tyle dobry program, dobre zaplecze i dobrze mówić, ale przede wszystkim musi być ikoniczny. Nawet w sensie ironicznym.

Kiedy w 2016 r. byłem w Nowym Jorku, w każdym sklepie z pamiątkami można było znaleźć prześmiewczą podobiznę Donalda Trumpa – w tym mieście raczej niecieśzającego się szczególnie entuzjastycznym poparciem. Podobizn Hillary Clinton było bardzo niewiele, a jeśli już, to jakieś takie niepodobne do oryginału. No i przyznać trzeba, że wściekle kolorową karykaturę Trumpa o wiele łatwiej było narysować.

Nowy Jork śmiał się z Trumpa, ale śmiejąc się – multiplikował jego podobiznę, tym samym wzmacniając jego kampanię. Co z tego, że ironicznie? Okazało się, że zasada: „wszystko jedno co, byle z nazwiskiem” sprawdza się szczególnie dobrze w przypadku kampanii wyborczych.

Ikoniczność nie zawsze musi być ironiczna. W czasie poprzedniej kampanii prezydenckiej w Polsce Wilhelm Sasnal narysował portret Rafała Trzaskowskiego z megafo-
nem. Plakat z tą grafiką był nawet dołączany do „Wyborczej”, więc mogliśmy go wywiesić w oknach lub nakleić na transparentach. Na tym plakacie – bynajmniej nie ironicznym – Trzaskowski wyglądał ikonicznie, dzięki czemu zapisywał się w naszej świadomości jako ludowy trybun, przedstawiciel prawdziwej demokracji, stawiający czoła ówczesnej autorytarnej władzy.

Rozumiem, że dziś, kiedy władza się zmieniła, trudno mu osiągnąć widoczność na jej tle, ale powinien on pomyśleć o swojej



nowej ikoniczności. Przykład Trumpa pokazuje, że wysmiewanie się z wizerunku najgroźniejszego rywala (pompki, boks itp.) jest wysoce ryzykowne, bo tylko wzmacnia jego ikoniczny charakter. Nawet jeśli nie jest to ikoniczność tradycyjnie łącząca się z funkcją głowy państwa.

O swoją ikoniczność postanowił ostatnio w szczególny sposób zadbać inny kandydat na urząd prezydenta, Adrian Zandberg. Jest to człowiek o dość charakterystycznym wyglądzie i posturze, więc wydawałoby się, że ikoniczność ma wrodzoną. Uznał ją jednak za niewystarczającą. Przedstawiając jeden z punktów programu swojej partii, nazwany planem 15-letnim, stworzył plakat żywcem przypominający plakaty propagandowe.

Prezentuje on nadnaturalnej wielkości Adriana Zandberga w koszuli z zakasnymi rękawami, trzymającego w lewej dłoni coś, co z daleka przypomina prostokątny tort urodzinowy czterolatka, z bliska zaś – fabryczkę z czterema kominami, jakby zrobioną z klocków Lego. Prawą dłonią Zandberg, a właściwie Nadzandberg, opiera się o kurozalaną konstrukcję wyrastających z siebie budynków, nieomal drapaczy chmur. Na pierwszym planie mający cień chłopca orzącego pole bronią zaprzęgniętą w dwa wo-



ły oraz tonący (lub, jak kto woli, wylaniający się z topieli) statek pasażerski. W tle dostrzec można wesoło dymiące kominy. U dołu plakatu widnieje obietnica: „Zbudujemy potężną Polskę”.

Jest to minimalnie przerobiony plakat z 1930 r., autorstwa Stefana Norblina. W oryginale, nieco innym pod względem kolorystycznym, znajduje się taka sama obietnica, ale zamiast planu 15-letniego widnieje napis: „Pod jego przewodem”, a zamiast Zandberga patrzącego dumnie w przyszłość znajduje się marszałek Józef Piłsudski spoglądający srogo na stłoczone budynki.

Był to plakat wyborczy przed tzw. wyborami brzeskimi z listopada 1930 roku. We wrześniu tego roku na wniosek ówczesnego ministra spraw wewnętrznych Felicjana Sławoja Składkowskiego aresztowano i osadzono w twierdzy brzeskiej wrogów politycznych obozu sanacji, między innymi Wincetego Witosa i Wojciecha Korfanteo. Bito ich tam i głodzono. Wkrótce potem zorganizowano wybory do parlamentu, które wygrała sanacja (56 proc. mandatów w sejmie i 69 proc. w senacie).

Wykorzystanie tego plakatu, a więc i nawiązanie do stojących za nim wydarzeń historycznych, wydaje się dziś wysoce nie-

fortunne. A nawet pomijając kwestie historyczne i ograniczając się do samego komunikatu wyborcy mogą powziąć przekonanie, że w Polsce pod przewodem Zandberga będzie się dużo budować (deweloperzy lubią to), rolnicy wrócą do tradycyjnych form uprawy roli, a kominy nowych fabryk będą emitować toksyczne substancje do atmosfery, zwiększając globalne ocieplenie. Czy to się aby nie kłóci z programem współczesnej partii lewicowej? Czy rzeczywiście chce ona budować swój program na naszych snach o potęgę? Cóż, mamy wiele powodów, żeby odczuwać tutaj dysonans poznawczy. A utożsamienie się Zandberga z Piłsudskim wprowadzić nas już może jedynie w stupor.

Jeśli ktoś nie pamięta plakatu Norblina i nie będzie wiedzieć, że to właśnie on stanowił inspirację do plakatu Zandberga, może mieć skojarzenia z plakatami propagandowymi z innej epoki. Wprawdzie szef partii Razem odwołuje się do planu 15-letniego, z lat 1939-1954, ale pierwszy plan, który nam się przypomina, to plan sześćioletni z 1950 roku, który obrósł bardzo liczną propagandową ikonografią. W muzeach komunizmu plakaty krzyczą między innymi: „Wykuwamy podstawy socjalizmu”, „Naprzód! Do walki o plan sześćioletni!”, „Zadania planu sześćoletniego wykonamy!”, „Wysiłkiem całego narodu wykonamy plan sześćoletni!”, „Plan sześćoletni to Polska wielkiego przemysłu”, „Kobieto! Wydajną pracę w fabryce, w polu, w biurze, w mieście i na wsi – walcz o wykonanie zadań planu 6-letniego!”, „Współzawodnictwo pracy skróci termin wykonania planu sześćoletniego!”. Szkoda, że Zandberg nie wykorzystał żadnego z nich. Wspaniale by się prezentował na traktorze lub z kielnią w dłoni. Ale kampania dopiero się rozkręca.

Być może kandydat na prezydenta liczy na naszą historyczną amnezję, być może nie przejmując się, że jego plakat kłóci się z jego skądinąd rozsądnym programem politycznym i społecznym, a być może po prostu wychodzi z założenia, że wszystko jedno w jakim kontekście on sam się pojawi – czy to sanacji, czy to komuny – ważne, że się pojawi i tym samym wzmocni swoją ikoniczność, a więc i choć odrobinę zwiększy swoje szanse w wyborach. Także dzięki takim sztyrczym felietonom, jak ten. ●

REKLAMA

Kraj/34358019

MROCZNE BESKIDY, TAJEMNICE SPRZED LAT

i detektyw o wyjątkowo ciętym języku

WCIĄGNIJ SIĘ W NOWĄ SERIĘ KRYMINALNĄ MICHAŁA ZGAJEWSKIEGO

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl

Wydawnictwo
Agora

ŚWIAT



**Wszystkie partie
obiecują przed
niedzielnymi wybora-
mi pilną naprawę in-
frastruktury.
Bo niemieckie mosty,
drogi i koleje
się sypią.**

Niemcy kaputt

FOT. GETTY IMAGES, SHUTTERSTOCK; MONIA Z MARUSZ ROSA, JAKUB PIOTROWSKI

Bartosz T. Wieliński

Isondaży wynika, że socjaldemokratę Olafa Scholza, twórcę pierwszego w historii Niemiec tróipartyjnego rządu wkrótce zastąpi chadek Friedrich Merz. Čwierć wieku temu był współpracownikiem Angeli Merkel, ale po zdegradowaniu i poniżeniu przez nią wycofał się życia politycznego. Gdy Merkel po 16 latach rządów udała się na polityczną emeryturę, Merz stanął na czele CDU. Partia jest słabsza niż na początku wieku, razem z bawarską CSU mogą liczyć na 30 proc. poparcia. SPD, najstarsza partia polityczna w Europie, tylko na 15 proc. A skrajnie prawicowa Alternatywa Dla Niemiec (AfD) aż na 20 proc.

Kilka punktów przyniosło jej wsparcie Elona Muska, miliardera współpracującego z prezydentem Stanów Zjednoczonych Donaldem Trumpem. Na swojej platformie X Musk przeprowadził wywiad z szefową partii Alice Weidel, a potem na kongresie AfD powiedział, że Niemcy nie muszą już bić się w piersi za zbrodnie III Rzeszy. Czy poparcie zażartego wroga liberalnych demokracji i siewcy teorii spiskowych przełoży się na jeszcze więcej głosów? A może przebudzi wyborców politycznego mainstreamu? AfD, mimo żądań ogłoszonych przez wiceprezydenta USA J.D. Vance'a podczas niedawnej Konferencji Bezpieczeństwa Monachium (też spotkał się z Weidel), nie wejdzie do niemieckiego rządu.

Chadecy mogliby rządzić z Zielonymi (14-15 proc. w sondażach), ale na ten alians nie zgadza się Marcus Söder, szef CSU, jeszcze bardziej konserwatywnej siostry CDU. Nie wiadomo, czy jego słowa są ostateczne, gdyż wypowiadając się przeciw Zielonym, mógł jedynie puszczać oko do swojego konserwatywnego elektoratu.

Jeśli nie uda się stworzyć rządu z Zielonymi, Niemcy wrócą do wielkiej koalicji, w ramach której trzykrotnie rządziła Angela Merkel. Byłby to rząd wspólnego mianownika, wygodny, ale nieruchawy, gwarantujący zastój i dalszy wzrost AfD.

Bez względu na to kto wygra wybory, będzie musiał się zmierzyć z poważnym problemem, który dotknął Niemcy: pilną naprawę infrastruktury, krwiobiegu, z którego korzysta niemiecki przemysł. Przed niedzielnymi wyborami wszystkie partie wpisały sobie to zadanie do programów, ponieważ niemieckie drogi, mosty i koleje są w coraz większej zapaści.

Kwadrans do katastrofy

Nad ranem 11 września 2024 roku mieszkańców śródmieścia Drezna ze snu wyrwał huk, któremu towarzyszył odgłos lejącej się wody. Liczący 100 m długości fragment mostu Caroli, łączącego starówkę z Nowy Miastem, zawalił się do Łaby. Obyło się bez ofiar. Do rzeki runęła część przeprawy, po której jeździły tylko tramwaje. Ostatni przejechał niespełna kwadrans przed katastrofą.

Razem z mostem zniszczone zostały biegnące pod nim ciepłociągi. Z dwóch przerwanych rur o półmetrowej średnicy do Łaby przez godzinę lała się wrząca woda. Zawiodły bowiem automatyczne zawory, dopływ wrzątku trzeba było zamykać ręcznie. Gdzieś po tygodniu, gdy na wystających z rzeki żelazobetonowych blokach zaczął osadzać się kurz, dla biegłych badających przyczyny katastrofy wszystko stawało się jasne. Most, jedna z głównych arterii komunikacyjnych saksońskiej stolicy, był od lat w fatalnym stanie technicznym i podlegał nieustannemu nadzorowi służb budowlanych. Od 2019 roku jego fragmenty były remontowane. W trakcie prac nikt nie wykrył jednak, że co czwar- te stalowe cięgno, którego zadaniem jest absorbowa- nie naprężeń żelazobetonu, było skorodowane.

Łaba w czasach NRD była potwornie zanieczyszczona ściekami przemysłowymi, w tym związkami chloru, które przesiąkały przez beton. Most dobiła pogoda. Pod koniec lata w 2024 roku szybko nadszedł ziąb. Nocami temperatura spadała, rozgrzana za dnia konstrukcja gwałtownie stygła i się odkształcała. A to przełożyło się na jej stan. Gdy mostem przejechał ostatni tramwaj pozostałe zatopione w betonie stalowe elementy mostu, nie wytrzymały naprężeń.

Niemiecki „pas rdzy”

O tym, że jazda po niemieckich mosty stała się niebezpieczna, media trąbiły od ponad dekady, zwykle przed wyborami. Ale do tej pory, mimo złych technicznych diagnoz, żaden się nie zawalił.

– Jak zaniedbane są Niemcy? – pytały tabloidy. Dla kraju, który jest pierwszą gospodarką Euro-



• **Zawalony most na Łabie w Dreźnie, niespełna kwadrans przed katastrofą przejechał przez niego tramwaj**

FOT. PAP/DPA/SEBASTIAN KAHNERT

py i trzecią gospodarką świata, jednym z wiodących eksporterów, samo pytanie brzmi jak potwarz. Ale to niestety prawda. Niemcy nie kwitną, tylko się sypią.

W najgorszym stanie według ekspertów jest most autostradowy w Meckerheim pod Bonn w zachodniej części kraju. Codziennie korzysta z niego 70 tys. samochodów jadących autostradą A565. Drugie tyle przejeżdża biegnącą pod mostem autostradą A61. O tym, że most się sypie, wiadomo od lat. Od lat trwają przymiarki do jego rozbiórki i budowy nowego połączenia. Ale ciągle nie ma pieniędzy.

zły, ale dopuszczalny. Większość mostów w Zachodnich Niemczech budowano w latach 60. XX wieku. Projektanci nie przewidywali, że natężenie ruchu na drogach – zwłaszcza ruch samochodów ciężarowych, który najbardziej obciąża mosty – osiągnie tak wielkie rozmiary. W czasach zimnej wojny przez Niemcy nie przejeżdżały 40-tonowe ciężarówki, wioząc towary z zachodu kontynentu na wschód. Dziś Niemcy obok Polski to najważniejszy kraj transportowy Europy.

– Nie możemy oczekiwać, że kolejna katastrofa będzie miała tak łagodne konsekwencje.

Według federalnego ministerstwa transportu aż 4 tys. mostów między Odrą a Renem, czyli praktycznie co dziesiąty, w najbliższym czasie trzeba wyremontować albo zburzyć i postawić

Drugi na liczącej 43 pozycje liście zagrożonych konstrukcji jest wiadukt nad doliną rzeki Kocher, przy granicy między Bawarią a Badenią-Wirtembergią. To jeden z najdłuższych mostów w Niemczech, ma ponad kilometr długości. Tak jak w przypadku przeprawy na Łabie zalane betonem stalowe cięgna mostu na Kocher zżera korozja. Most – bo biegnącej przez niego autostradzie przejeżdża po nim prawie 70 tys. aut dziennie – można jeszcze eksploatować przez góra dwa lata. Co dalej? Można by wyłączyć część mostu z ruchu, a część remontować. To jednak oznaczałoby objazdy, korki, komunikacyjny chaos. Można by zbudować obok nowy most, ale w dolinie rzeki Kocher siedliska mają orzesznice, chronione w gryzonie, a wielka budowa i nieustannie pracujący ciężki sprzęt z pewnością by je wypłoszyły. Rozwiązania tego problemu ciągle nie ma. A cięgna mostu rdzewieją.

Według federalnego ministerstwa transportu aż 4 tys. mostów między Odrą a Renem, czyli praktycznie co dziesiąty, w najbliższym czasie trzeba wyremontować albo zburzyć i postawić na nowo. Stan trzech czwartych mostów ocenia się jako

co najmniej zły – przestrzegali rok temu Marco Götze, szef niemieckiego stowarzyszenia zajmującego się stanem technicznym konstrukcji betonowych.

Modernizacja na papierze

Gigantycznym problemem jest biurokracja. Przygotowanie inwestycji, zebranie odpowiednich pozwoleń i uzgodnień, dokumentacji to koszmar. Wykonawcy muszą brać pod uwagę około 20 tys. przepisów prawa budowlanego! A jeśli doda się do tego procesy sądowe – bo zezwolenie na budowę przy wielkich inwestycjach można zaskarżyć – robi się z tego horror.

Z wyliczeń związków przedsiębiorców budowlanych wynika, że sama budowa pochłania tylko 15 proc. czasu inwestycji. Resztę – użeranie się z urzędnikami i sądami.

Druga kwestia to brak rąk do pracy. Z szacunków branży budowlanej wynika, że co trzecia firma boryka się z brakiem pracowników. W niemieckim budownictwie jest aż 1,5 mln wakatów jeśli chodzi o wykwalifikowanych robotników. Na młodych lu-

dzi czeka też 200 tys. nieobsadzonych miejsc do naki zawodu.

Ale przede wszystkim brakuje pieniędzy. W 2022 roku minister transporty Volker Wissing na specjalnej konferencji poświęconej sypiącej się infrastrukturze zapowiedział narodowy plan naprawy 400 mostów rocznie. Projekt miał pochłonać 4,5 mld euro. Eksperci oceniali go za zbyt ambitny. Gdy rok później posypał się budżet federalny, zarządzono cięcia wydatków, resort Wissinga stracił 5,2 mld euro. Plan naprawy mostów w dużej mierze pozostał na papierze. Choć w sumie dobrze, że go sformułowano. W 2018 roku poprzedni minister transportu Marcus Scheuer twierdził, że alarmowanie w sprawie mostów to tylko „typowe niemieckie narzekanie”. – To co w Niemczech uważamy za wadliwe lub niewystarczające, gdzie indziej uchodzi za dobre i zadowalające – mówił.

Drogi chore na raka

Darmowe autobahny, symbol Niemiec, też są w coraz gorszym stanie. Gdy zliczono długość odcinków autostrad, na których wykryto uszkodzenia, okazało się, że trzeba naprawić 7 tys. km podziurawionej jezdni. To odpowiada 12 proc. długości całego systemu autostrad (ich długość to 13 tys. km, ale wiele autostrad ma po trzy i więcej pasów). W ciągu kadencji ta wartość zwiększyła się o 1,5 tys. km. Z innych statystyki wynika, że obecnie na niemieckich autostradach prowadzonych jest prawie 800 remontów. Zamknięte odcinki średnio mają po dwa kilometry długości. Oznacza to, że średnio kierowcy co 12 km muszą zwalniać z powodu robot drogowych.

Autostrady sypią się z tych samych powodów, co mosty: szalona eksploatacja przez transport i za mało pieniędzy w budżecie na utrzymanie. Pożera je też tzw. rak betonu. Chodzi o reakcję chemiczną, jaka pod wpływem wilgoci zachodzi w używanym do budowy dróg betonie między alkalicznym cementem i związkami krzemu, które zawierają skały, z których pochodzi kruszywo. W efekcie nawierzchnia pod wpływem wody, mrozu i soli stosowanej zimą do odładzania zaczyna pękać od środka. Problemy pojawiają się dopiero po co najmniej 10 latach od wylania drogi. Dotkniętej rakiem autostrady nie da się naprawić, bo reakcja chemiczna jest nie do zatrzymania. Drogę trzeba zbudować na nowo, koryzstając z wysokiej jakości kruszyw niepodatnych na raka.

Problem dotyczy zwłaszcza sieci autostrad w byłym NRD, którą pośpiesznie rozbudowywano po zjednoczeniu. Ściągnięci z zachodniej części kraju inżynierowie nie interesowali się ernerowskimi doświadczeniami dotyczącymi właściwości betonu, choć to właśnie w komunistycznych Niemczech wnikliwie badano to zjawisko i szukano na nie antidotum. Beton lano, jakby raka nie było. No i „rak dopadł zjednoczenie Niemiec”, jak już 10 lat temu kpili dziennikarze we wschodnioniemieckiej Saksonii-Anhalt, gdzie trzeba było wydać na nowo połowę z 470 km zbudowanych po 1990 roku autostrad.

Land na utrzymanie dróg miał wówczas 60 mln euro rocznie, a usuwanie raka betonu pochłaniało do 70 mln. Z aktualnych danych z Brandenburgii wynika, że zżera on nawierzchnię na 500 km autostrad. Podobnie jest w innych landach byłej NRD.

Skutki? Coraz większe korki na autostradach z powodu robót drogowych, zwężeń pasów, objazdów i ograniczeń prędkości. 18 stycznia 2024 roku korek na A61 między Mönchengladbach a Ludwigshafen miał 70 km długości. Wówczas zachodnie Niemcy wprawdzie zaatakowała zima, ale na długość korka wpływ miał również stan drogi.

Do tego dochodzą poważne problemy dla niemieckiego przemysłu, który korzysta z portu w Hamburgu. Już 12 lat temu alarmowano, że produkcję ciężkiego sprzętu, np. eksportowanych do Azji czy Ameryki Południowej kilkusettonowych elementów walcowni stali, nie są w stanie szybko ich przetransportować do portów, bo mosty nie utrzymują tak obciążonych samochodów. Zachodnioniemiecki koncern Siemens zajmujący się wyposażeniem hut musiał wynająć ekspertów, by opracowali alternatywne trasy transportu ciężkich produktów do Hamburga. Okazało się, że z powodu stanu mostów i autostrad ciężarówki trasę pokonują aż trzy dni, bo muszą korzystać z dróg lokalnych ijechać czasem z olbrzymim ładunkiem przez wioski i miasteczka. Wcześniej, gdy mosty jeszcze się jakoś trzymały, transport trwał dzień.

A autostrady to wycinek rzeczywistości. Duża część ruchu odbywa się na drogach krajowych, podległych landom. Tam też jest źle. W Nadrenii-Północnej Westfalii, największym niemieckim landzie,

w złym stanie jest co trzecia krajowa droga. Zpieniędzy na remonty też jest krucho.

Tu nic nie działa!

Z transportem kolejowym jest jeszcze gorzej. Zlicząc ponad 30 tys. km sieci kolejowej, wyremontować trzeba więcej niż połowę, a 4 tys. km szyn trzeba położyć na nowo. Gruntownych napraw wymaga ponad tysiąc kolejowych mostów. Rak na kolei też daje znać o sobie i atakuje betonowe podkłady kolejowe. Deutsche Bahn w maju zeszłego roku planowała do 2030 roku wyremontować połowę wymagającej naprawy sieci. Ale znowu – zawałił się budżet, zarządzono cięcia... A kolej coraz bardziej się spóźnia. Punktualność Deutsche Bahn w zeszłym roku wyniosła zaledwie 62 proc. Dla porównania w naszym PKP ten współczynnik jest powyżej 90 proc. Czytam nagłówki niemieckiej prasy o kolei. Często pojawia się słowo „Desaster”. Czyli katastrofa. A pracownicy kolei mówią anonimowo dziennikarzom: – Wstydzim się tej pracy.

Symbolem kolejowej zapaści była sytuacja na tzw. Riedbahn, czyli liczącym 70 km połączeniu Frankfurtu nad Menem z Mannheim, którym codziennie przejeżdżało 300 pociągów pasażerskich i towarowych. Nieustannie psuły się tam zwrotnice, wybijało zasilanie trakcji, a gady infrastruktura nie była zepsuta, to pociągi i tak poruszały się w żółwym tempie. Tory położono jeszcze w XIX wieku, ich stan techniczny był fatalny. Na tej trasie praktycznie nie było pociągu, który nie byłby opóźniony.

Riedbahn – w tym 20 dworców – udało się w zeszłym roku kompletnie wyremontować i to w rekordowym pięciomiesięcznym tempie. Ale problemy pozostają. Od grudnia, gdy po remoncie trasę oddano do użytku, zacinąły się zwrotnice, doszło też do sporej awarii zasilania. Niemiecka kolej twierdzi, że problemy to „choroby wieku dziecięcego”. Niemcy jakoś nie chcą w to wierzyć. Na podobny remont czeka w Niemczech ponad setka kolejowych tras.

Stan sieci to jedno, stan dworców to drugie. – Tu nic nie działa – mówią mieszkańcy Essen o dworcu przy stacji Essen West. Wszechobecny brud, odchodząca płatami ze ścian farba i tynk, brak ławek, niepełnosprawny z tego dworca nie skorzysta. Pełnosprawni unikają stacji po zmroku, bo strach. Dworzec w plebiscycie lokalnego miasta zyskał mianojajgorszego w mieście. Ale w innych, łącznie z dworcem głównym, nie jest lepiej. Od lat na dworcach w zachodnich Niemczech przybywa graffiti i śmieci, a ubywa sprawnych wyświetlaczy. Kolej obiecuje remonty, ale zwłaszcza w małych miejscowościach nic się nie zmienia.

Samorządowcy z zachodu kraju mają pretensje do kolegów ze wschodu, którzy po zjednoczeniu kraju dostali miliardy euro na modernizację infrastruktury. A o miastach takich jak Essen, które boryka się ze skutkami likwidacji górnictwa i zwijania przemysłu ciężkiego, nikt nie myśli. Już 20 lat temu samorządowcy domagali się analogicznego do programu wsparcia NRD programu „obudowy Zachodu”. Dworce i szyny od tego czasu były w coraz gorszym stanie.

Przedsiębiorstwo Deutsche Bahn jest w fatalnej kondycji. Za pierwszą połowę zeszłego roku koncern miał 1,2 mld euro straty. Rok wcześniej wynosiła ona ledwie 70 mln euro. Firma zapowiada wielką redukcję etatów, pracę w ciągu pięciu lat ma stracić 30 tys. ludzi.

Co gorsza, spadała ilość pasażerów. W pierwszej połowie 2024 roku z usług niemieckiej kolei korzystało 62 mln ludzi, o 6 proc. mniej niż w poprzednim. Z powodu spóźnień ludzie tracą po prostu do kolei zaufanie. A spóźnienia to wynik awarii i nadających się do wymiany torów oraz trakcji. A skoro kolei jest w coraz trudniejszej sytuacji, to problemy z infrastrukturą będą się pogłębiać. Koło się zamknie, bo pasażerów będzie jeszcze mniej. A to właśnie ekologiczna, zeroemisyjna kolej ma być w dobie kryzysu klimatycznego alternatywą dla samochodów i samolotów.

Nie ma wody, ani kasy

Skoro sypią się autostrady i kolej, to nic dziwnego, że w cierpią też drogi wodne. Barkami przewozi się w Niemczech ok. 6 proc. towarów. Ten współczynnik z roku na rok spada. Problemem jest coraz niższy poziom wody i stan infrastruktury. Wiele z 315 śluz ma ponad 70 lat, są takie, które przekroczyły setkę. Na wielką modernizację nie ma pieniędzy.

A na to wszystko nakłada się rosnące zadłużenie niemieckich gmin. – Mamy problemy z wykonywaniem podstawowych obowiązków. A będzie co-

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Endre Ady*

Narowisty lud

*Ten lud się walki narowiście
Boi i lęka się jej wiecznie,
Z którego pański bicz rzemienny
Zdejmował siódme skóry mleczne.*

*Taki on był: bydlęciem w jarzmie
Wkładanym mu przez chanów drobnych,
Nigdy się nie bił do ostatka
I do mącenia był sposobny.*

*W sile na pokaz widział siłę,
Nie bił nikogo, był wciąż bity.
I nie odpierał siły siłą,
Zawsze pokornie słabowity.*

*Tak wychowali go panowie,
Kiedy go kopią, klnie żałośnie,
A w tym, kto Węgry choć raz kopnął,
Chęć do kopniaków dalszych rośnie.*

*Dziś także siedzi tu i kiśnie.
Głowę mu kradnie człowiek wraży
I gdyby kilku nie krzyczało,
Nie czułby pięści na swej twarzy.*

*Oby nareszcie Pan cudowny
Zobaczył ten żalosny naród,
Dałby mu choć na rzut oszczepu
Dzikości dar z pańskiego daru.*

*Żeby nie mogli maruderzy
Złamać narodu tak żałośnie:
Że narodowi wszystko jedno,
Chce tej psiej doli, niech w niej rośnie.*

PRZEŁ. TADEUSZ NOWAK



***Endre Ady** - (1877-1919) węgierski poeta i publicysta. Główny przedstawiciel nowoczesnej liryki węgierskiej; skupiał wokół siebie węgierską awangardę literacką. Tłumacz utworów Baudelaire'a i Verlaine'a.

Wiersz za: Ady, „Poezje”, wybór Jerzy Robert Nowak, przekład zbiorowy, WL, Kraków 1981.

FOT. ALADÁR SZÉKELY, ZE ZBIORÓW WĘGERSKIEGO NARODOWEGO ARCHIWUM

raz gorzej, bo nakłada się na gminy dodatkowe obowiązki, a pieniędzy nie przybywa – mówiła rok temu na saksońskiej konferencji samorządowej w Dreźnie Daniela Berthold, odpowiedzialna za finanse w liczącym 11 tys., mieszkańców Burgstädt pod Chemnitz. Miasto miało wówczas 6 mln euro zadłużenia, więc o jakichkolwiek inwestycjach w infrastrukturę nie ma mowy.

Z innych części Niemiec też spływają informacje o rekordowym zadłużeniu gmin. 200 tys. miasto Oberhausen w Zagłębiu Ruhry jest zadłużone na 2 mld euro. Szacuje się, że w całej Nadrenii Północnej Westfalii z powodu nadmiernych długów gminy nie są w stanie przeprowadzić niezbędnych inwestycji na 50 mld euro. Wśród niedofinansowanych projektów są oczywiście także drogi.

Gdy w mediach pojawiły się zdjęcia wspomnianego zawałonego mostu w Dreźnie, w internecie karierę zrobił przymiotnik „kaputt”, czyli niesprawny, zepsuty. A także hasło „Sanierungsstau” – w wolnym tłumaczeniu remontowy zastój.

Przed niedzielnymi wyborami wszystkie partie obiecują, że niemiecką infrastrukturę z tego zastójju wyciągną. ●

Alek Korab

Byla 1.28 rano, 26 marca w Baltimore, Julio Cervantes siedział w swoim pick-upie. Obok niego w innych samochodach czekało jeszcze sześciu robotników drogowych – wszyscy ubrani w jaskrawe kamizelki. Odpoczywali po nocnym lataniu dziur w moście Francis Scott Key.

Nagle zatrzęsła się konstrukcja, na której zaparkowali. Następnie niczym w filmie akcji pick-up Cervantesa poleciał 56 metrów w dół i razem z mamucimi elementami mostu wpadł do rzeki Patapsco, szybko nabierając wody.

Julio miał podwójne szczęście: raz, że przeżył upadek z wysokości 18 pięter; dwa, że jego pick-up miał starodawne ręczne korbki do otwierania okien. Gdyby szyby opuszczały się elektrycznie...

Julio wyśliznął się z tonącego auta, ale nie potrafił pływać. Kiedy przerażony mიაł się w wodzie, znowu uśmiechnęło się do niego szczęście – obok unosił się kawałek stali z zawalanej konstrukcji. Złapał go kurczowo, włączył czołówkę na kasku i w lodowatej wodzie czekał na ratunek, modląc się, aby ktoś go wypatrzył pomiędzy szczątkami 2,5-kilometrowego mostu.

Julio przeżył, ale sześciu kolegów, w tym jego szwagier i bratanek, nie miało tyle szczęścia.

Przyczyną katastrofy – jak ustaliła Krajowa Rada Bezpieczeństwa Transportu (NTSB) – była seria usterek elektrycznych na pokładzie kontenerowca Dali, który stracił sterowność i uderzył w południowo-zachodni filar mostu. W zaledwie 30 sekund główne przęsła runęły do Patapsco.

Siła uderzenia ważącego 100 tys. ton statku była pięć razy większa niż ciąg rakiety Saturn V podczas startu. Szczęście w nieszczęściu, że była noc; w dzień byłoby setki albo i tysiące ofiar. Most spełniał obowiązujące normy, ale system ochrony przeciwkolizyjnej okazał się niewystarczający.

Tego samego rana przyjaciel z Florydy wysłał mi fotkę innego zawalonego mostu z osobowym buickiem, który zahamował milimetry przed urwanym przęsłem.

„To była fobia, którą miałem jako dziecko – zawalony most” – napisał. „Na Florydzie przejeżdżaliśmy przez most, który został zbudowany tuż obok zawalonego – jego ruiny straszyły latami. Więc jadąc, widziałeś go obok siebie, a potem nagle po prostu się urywał. Wstrzymywałem oddech, dopóki nie przejechaliśmy zatoki” – tłumaczył.

Miał na myśli Sunshine Skyway Bridge na Florydzie, który w 1980 r. również został powalony przez statek. Pogrzebał wtedy 35 osób, w tym pasażerów autobusu Greyhound (czyli tutejszego PKS-u).

Tak tragiczne wypadki zdarzają się rzadko. Ale nie w Ameryce. W latach 1989-2000 zawały się tutaj 503 mosty, zginęło 76 osób, a 161 zostało rannych.

Od 1 stycznia 2010 r. do 7 lipca 2012 r. w USA średnio co 8 miesięcy walił się jeden most. W latach 1992-2001 straż przybrzeżna odnotowała 2682 kolizje holowników, barek i statków z mostami.

Nie jest łatwo być mostem w Ameryce: najnowsze dane Amerykańskiego Stowarzyszenia Inżynierów Budowlanych i rządu federalnego alarmują, że 46 tys. przepraw ma starą konstrukcję i jest w „złym” stanie, a 17 tys. jest zagrożonych zawaleniem się wskutek jednego uderzenia.

I niekoniecznie to musi być gigantyczny statek uderzający z energią pięciu startujących rakiet kosmicznych; wystarczy duża ciężarówka. – jak 11 czerwca 2023 r., kiedy część autostrady międzystanowej I-95 w Filadelfii w stanie Pensylwania zawałała się po tym, jak zapaliła się na niej cysterna z benzyną.

Z Nowego Jorku do Waszyngtonu Z DUSZĄ NA RAMIENIU

Połowa pilotów wybiera się na emerytury,
kontrolerzy lotów mają ataki paniki.
A Musk wysyła ludzi na Marsa



• Waszyngton 3 luty 2025 r. Usuwanie wraku samolotu American Airlines lot 5342, który 30 stycznia zderzył się z helikopterem wojskowym Black Hawk i wpadł do Potomacku. W katastrofie w pobliżu lotniska Ronalda Reagana zginęło 67 osób FOT. REUTERS/NATHAN HOWARD

● Rok wcześniej w Pittsburgu zawalił się inny most, Fern Hollow Bridge. Rannych zostało 10 osób. W tym samym mieście z kolejnego mostu, Greenfield, spadające kawałki cementu zaczęły uderzać w przejeżdżających pod nim kierowców. Zaalarmowany ratusz postanowił zbudować... most pod mostem, mający chronić samochody przed spadającym gruzem. Jak widać, kawałek taśmy klejącej i odrobina cementu jako plaster na gigantyczny problem to specjalność nie tylko bohaterów kreskówki „Śasiedzi”.

● Stany Zjednoczone to praktycznie kontynent z niemal wszystkimi występującymi na planecie warunkami geograficznymi. Duży, zróżnicowany kraj to dużo najróżniejszych mostów wystawionych na najróżniejsze warunki, trudno się dziwić, że niektóre są w różnym stanie.

Ale aż 7,5 proc.? I to nie po latach, ale od nowości? Bo tyle z wszystkich mostów w USA inżynierowie uważają za wadliwe konstrukcyjnie. Z tego wynika, że gdy jedziemy autem na rodzinną wycieczkę z Brooklynu do Waszyngtonu – co tutaj jest uznawane za krótką wyprawę – statystycznie przejeżdżamy przez trzy podejrzane mosty. A mosty tutaj są – jak wszystko – gigantyczne. To nie jest 30 sekund i po strachu. Trudno się dziwić, że Amerykanie wstrzymują oddech na mostach.

A skoro już o bezdechu mowa, to nasz lokalny Tappan Zee przerzucony nad rzeką Hudson jeden z głównych asystentów w biurze gubernatora stanu Nowy Jork nazwał „Mostem, Na Którym Wstrzymasz Oddech” po tym, jak oceny inżynieryjne wykazały, że „wszystko, od postępów korozji po trzęsienia ziemi i wypadki morskie, może spowodować poważne, być może katastrofalne uszkodzenia prześel”.

Kilka lat temu odetchnęliśmy, bo Tappan Zee zastąpiono nowoczesnym mostem nazwanym imieniem zmarłego zasłużonego gubernatora Mario M. Cuomo. Co prawda przejazd kosztuje 10,94 dolara, ale to cena, którą warto zapłacić za brak duszy na ramieniu. Co prawda rok po otwarciu zaczęły w nim masowo pękać śruby, a mnóstwo lin zakwalifikowano do wymiany, ale władze twierdzą, że mają wszystko pod kontrolą.

● Czasami, jak to w Ameryce, zapobiec katastrofie potrafi zwyczajny bohater.

W 2008 r. głodni inżynierowie: Peter Kim i jego kolega Tony Jen, wracali do biura po inspekcji i zjechali z autostrady I-95 w dzielnicy Port Richmond w Filadelfii na późny lunch. Jechali wzdłuż estakady, posilając się w samochodzie kanapkami z parówkami. I wtedy Kim zauważył pęknięcie. Dwumetrowe, w betonowej kolumnie podporowej.

Odkrycie Kima podczas spontanicznej przerwy na lunch skłoniło urzędników do zamknięcia 5-kilometrowego odcinka głównej arterii, po którym codziennie przejeżdża 190 tys. pojazdów. Wieże podporowe zainstalowano w ostatniej chwili, tragedia mogła się wydarzyć w dowolnym momencie.

Ale, jak zauważył komik dziennikarz John Olivier, gdyby ta gigantyczna szczelina pojawiła się obok budki z dietetycznym smothie, amerykańskich inżynierów by tam nie było. Most by się zawalił i setki ludzi by zginęły. Boże, chroń Amerykę, jej stroniących od nowinek inżynierów i jej parówkę!

Naturalnie nie wszystkie wadliwe mosty grożą katastrofą, ale i tak wymagają znacznych inwestycji w codzienne utrzymanie. Eksperci szacują, że koszt naprawy zaniedbanej infrastruktury mostowej w USA wynosi 125 mld dol., czyli więcej niż Artemis, program ponownego lądowania ludzi na Księżycu.

● Oprócz starzejącej się infrastruktury i czynników klimatycznych zagrożeniem dla mostów stają się rosnące pojazdy. Wiele przepraw zaprojektowanych w czasach, gdy auta były znacznie lżejsze. Jeszcze bar-

dziej niż parówki Amerykanie uwielbiają bowiem gigantyczne samochody.

Tylko że gigant gigantowi nierówny. Dodge polara, klasyczny krążownik szos ze skrzydlatymi błotnikami, ważył 1700 kg – sporo, ale mówimy o „full size”, największym sedanie długości 5,5 metra.

Mercury comet, masowy samochód klasy średniej z lat 60., coś na kształt późniejszego europejskiego volkswagena passata (tylko większy – prawie 5-metrowy), ważył nieco ponad tonę. Ford crown – ta kancista taksówka i radiowóz znany z setek hollywoodzkich filmów z lat 80. i 90. – ważył tonę i 600 kilo. Najnowszy cadillac escalade, 5,5-metrowy SUV, waży prawie 3 tony.

A przecież nie tylko zwykli Amerykanie kupują coraz większe auta. Firmy przewożące też inwestują w większe ciężarówki. Piwo i parówki do naszego lokalnego sklepu na rogu dostarczają już nie blaszane furgonetki, ale trucki z przyczepami rozmiaru oceanicznych kontenerów. Te ciężarówki zaklinowują się w wąskich uliczkach Brooklynu, uszkadzają zaparkowane auta, a nawet budynki, powodując korki i ogólną nienawiść localsów.

Obecnie niektóre ciężarówki przekraczają 40 ton, co bardzo obciąża elementy konstrukcyjne mostów, powoduje przyspieszone zmęczenie materiału oraz pęknięcia. To z kolei skraca żywotność mostów i zwiększa ryzyko ich awarii – i tak ślimak autostrady się zamyka. Na bieżąco zarządcy usiłują sobie z tym radzić, zamykając którąś z jezdni, co generuje olbrzymie korki. Które w rachunku ciągnionym też kosztują.

● Jako dziecko wychowywałem się na ówczesnych opłotkach Rzeszowa, niedaleko baraków Hydrobudowy, które – oprócz świetnie w kryzysowych, kartkowych latach 80. zapatrzonego bufetu – miały stół pingpongowy. W weekendy z kolegami przekupywaliśmy ciecica, żeby pozwalał nam grać deskami do krojenia przerobionymi na rakiетки. Na ścianach baraku kaowcy rozwiesili zdjęcia cudu techniki PRL-u: zbudowanej przez inżynierów Hydrobudowy Zapory w Solinie. Dumy Podkarpacia, Dumy PRL.

Jeśli, drogi czytelniku, wybierzesz się kiedyś do Soliny i wygrasz los na loterii w postaci miejsca parkingowego w promieniu 10 km od zapory, i uda ci się przepchać w tłumie straganów z chińskimi koszulkami oraz wycieczek zajądających się kebabami, i wejść na 600-metrową konstrukcję, poczujesz wielkość tej architektury.

Spójrz w dół, a zobaczysz 82-metrową, zapierającą dech w piersiach ścianę. Wtedy popatrz do góry i wyobraź sobie kolejną zaporę solińską, zaporę zbudowaną na grzbiecie tej, na której stoisz. I kolejną. I jeszcze pół. To uświadamia wielkość największych zapór w USA. Jak wszystko w USA – zapory tutaj są duże, to nasze amerykańskie piramidy. A mamy ich ponad 90 tys. Ponad połowa jest w rękach prywatnych, a statystycznie mają ponad pół wieku.

● 50 lat to dużo i mało, w zależności od kontekstu. Nicole Kidman ma 57 lat i wygląda (a pewnie i czuje się) młodziej niż ja i większość moich dopiero dobijających pięćdziesiątki znajomych. 380-metrowa Zapora Hoovera, uważana przez niektórych, podobnie jak Kidman, za cud świata, jest starsza, dobija do osiemdziesiątki, ale też prezentuje się, jak gdyby zbudowano ją wczoraj. Różnica jest taka, że Nicole jest pod opieką sztabu lekarzy, ikoniczna Zapora Hoovera jest pod opieką sztabu ekspertów. A przeciętna zapora?

Stany Zjednoczone mają ok. 450 pracowników odpowiadających za bezpieczeństwo zapór. Blisko pół tysiąca inżynierów – to dużo, prawda? Ale mówimy o 90 tys. obiektów w 50 stanach. Czyli na jednego inspektora przypada około 200 zapór.

Zapory o wysokim stopniu zagrożenia są kontrolowane raz w roku. Zapory o średnim stopniu zagrożenia – co dwa lata. Te o niskim stopniu zagrożenia – co pięć lat.

Ameryka w ruinie

503 mosty

• runęły w USA w latach 1989-2000

17 tys. mostów

• jest w tak złym stanie, że mogą się zawalić po jednym uderzeniu

Na 125 mld dol.

• oszacowano koszt naprawy zaniedbanej infrastruktury mostowej w USA. To więcej niż kosztuje Artemis, – program NASA ponownego lądowania ludzi na Księżycu

450 inżynierów

• odpowiada w USA za bezpieczeństwo zapór. Obsługują 90 tysięcy takich obiektów w 50 stanach

Do 3 z 1,5 tony

• utył przez pół wieku przeciętny amerykański rodzinny samochód

3 inspektorów

• ma Oklahoma do kontroli 4621 zapór. Tyle samo Iowa do ponad 3911 zapór

2000 wypadków

• zdarzyło się w USA na przejazdach kolejowych w 2023 r.

90 proc.

• obiektów kontroli ruchu lotniczego ma niewystarczającą obsadę

ok. 50 proc.

• amerykańskich pilotów samolotów pasażerskich ma przejść na emeryturę w ciągu najbliższej dekady

■
Samolot, który bezpiecznie wyląduje, jest normą.

Most, który się nie zawalił, jest nudą. Oraz – dla zwolenników „małego państwa” – dowodem, że wszystko działa, a skoro tak, to po co te reszse biurokratów.

A pociąg powinien doczepić kolejne wagony, bo kiedyś żadnych regulacji, norm bezpieczeństwa i kontrolerów nie było, a jakoś podbiliśmy Zachód i Ameryka była wielka – uważają wyznawcy minimalnej administracji i kultu efektywności z Big Techów

Ze względu na ograniczone zasoby niektóre stany „stoją przed poważnymi wyzwaniami”, jak ujmują to urzędnicy. Np. Oklahoma ma 3 (słownie: trzech) inspektorów na 4621 zapór. Iowa ma również 3 dla swoich 3911 zapór. Jakie konsekwencje może mieć awaria zapory wodnej, nie muszą opisywać, wszyscy oglądamy hollywoodzkie filmy. A jeśli ktoś akurat takiego nie oglądał, polecam „San Andreas”.

● 17 września 2022 r. dla Yareni Rios-Gonzalez z Kolorado był jednym z tych dni, w których wszystko idzie nie tak. Najpierw zdenerwował ją przejeżdżający samochód, co wywołało głośną debatę na temat zasad ruchu i kiedy zabrakło jej argumentów, pokazała kierowcy swój pistolet. Opuścił, ale tylko na chwilę, bo zaraz zadzwonił na policję.

Funkcjonariusze zatrzymali Yareni, skuli ją w kajdanki, wsadzili do radiowozu i wrócili do jej auta w poszukiwaniu broni. Nie zauważyli jednego szczegółu: radiowóz zaparkowali na przejeździe kolejowym. Chwilę później pociąg towarowy niczym byk na arenie korridy uderzył w wóz z krzyczącą wniebogłosy kobietą.

Yareni miała szczęście: przeżyła kolizję z dziewięcioma złamanymi żebrami i jednym złamanym ramieniem, no i traumą. Za tę traumę lokalne władze zapłaciły jej 8,5 mln dolarów. Podobnych wypadków na przejazdach kolejowo-drogowych w samym 2023 r. było ponad 2 tys.

Jeśli westchniecie „to nie to samo, no ale...” i postanowicie zwiedzić Amerykę nie samochodem, ale pociągiem, to mam złe wieści. USA doświadczają plag wypadków kolejowych. W latach 2020-24 każdego roku ponad tysiąc pociągów wypadło z torów. W 2022 r. wykołajeń było 1164. W kolejnym roku w wyniku wypadków kolejowych zmarło 995 osób, 6700 doznało obrażeń. To gwałtowny wzrost w porównaniu z poprzednimi latami.

Jedną z naszych ulubionych rodzinnych rozrywek jest wyprawa na północ stanu Nowy Jork, w malownicze, ale mało znane poza Nowym Jorkiem góry, coś jak Bieszczady na sterydach. Zazwyczaj wspinamy się na jedną z gór i gapimy na rzekę Hudson. Kiedy spojrzymy dalej, poza okolice West Point, widzimy nitkę przemysłowej linii kolejowej, którą pociąg pełźnie niczym stonoga.

Obserwowanie stonogi jest fascynujące – czasami lokomotywa ciągnie nawet 200 wagonów. Stonoga pełźnie bez końca.

3 lutego 2023 r. podobny pociąg przewoźnika Norfolk Southern przewożący niebezpieczne materiały wykołajeł się w East Palestine w Ohio, co spowodowało pożar i wyciek toksycznych chemikaliów. Media opisujące płonący tabor powtarzały: „Piekło”.

Wykolejenie spowodowało rozgrzane łożysko koła wagonu. Wywołało pożar, który sprawił, że wjechało na siebie ok.50 ze 150 wagonów. Toksyczny dym wymusił ewakuację ponad 2 tys. mieszkańców miasteczka. Woda, powietrze i gleba były na tyle zanieczyszczone, że mieszkańcy miesiącami po incydencie skarżyli się na problemy z oddychaniem, wysypki i bóle głowy.

Średni rozmiar pociągu towarowego w USA znacznie wzrósł w ostatnich dekadach. Dziś składy mają ok. 73 wagonów. Trend ma proste wyjaśnienie: presję korporacji przewozowych na wydajność. Sęk w tym, że firmy w pogoni za zyskiem nie inwestują w konserwację taboru i poprawę bezpieczeństwa. Zazwyczaj do akcji wkracza w państwo, ale krzysowo, nie systemowo. Wzrost chciwości nie przelozył się na wzrost regulacji gwarantujących bezpieczeństwo mieszkańców.

● Skoro i koleje są niebezpieczne, to zostaje najbezpieczniejszy – i najbardziej, zaraz po samochodzie, amerykański – środek transportu: samolot. Badania naukowców z MIT z 2024 r. udowadniają, że co dekadę komercyjne podróże lotnicze stają się dwa razy bezpieczniejsze. Ale ostatnie wydarzenia malują zupełnie inny obraz.

6 lutego na lotnisku Seattle-Tacoma pasażerowie kołującego samolotu Japan Airlines poczuli mocne uderzenie. Przeżnięci rzucili się do bulajów i zszokowani zobaczyli, że skrzydło ich dreamlinera wbiło się w ogon oczekującego obok na odladanie boeinga 737 linii Delta. Widok z okna pasażer Jason Chan określił jako surrealistyczny, jakby z komedii „Czy leci z nami pilot”.

Nikt nie ucierpiał, lecz uderzenie uszkodziło oba samoloty, lotnisko zamknięto i 170 lotów odwołano albo mocno opóźniono. Przyczyną incydentu mogła być słaba widoczność i brak komunikacji między obsługą naziemną.

Tydzień wcześniej, 29 stycznia 67 osób zginęło, gdy w samym Waszyngtonie helikopter wojskowy zderzył się z samolotem American Airlines nad rzeką Potomac.

Kolejne 10 osób zginęło 6 lutego, gdy samolot pasażerski rozbił się na Alasce.

Kilka dni później, 10 lutego, zginął pilot, a czterech pasażerów zostało rannych, gdy prywatny odrzutowiec zjechał z pasa startowego na lotnisku miejskim w Scottsdale.

12 lutego dwóch pilotów marynarki wojennej katapultowało się tuż przed tym, jak ich EA-18G growler, myśliwiec przerobiony na samolot walki elektronicznej, rozbił się w Zatoce San Diego.

Katastrofa w DC zakończyła serię 16 lat bez wypadku amerykańskich linii lotniczych. Ale choć ten rekord bezpieczeństwa imponował, to najwidoczniej uspił czujność – bo pojawiały się sygnały ostrzegawcze.

W styczniu w Phoenix samolot United Airlines z San Francisco ze 129 osobami na pokładzie oraz samolot Delta z Detroit z 245 pasażerami dostały jednocześnie zezwolenie na lądowanie i zbliżyły się na 370 m. To mniej niż długość bieżni wokół boiska w waszej dawnej podstawówce. W lutym 2023 r. podchodząca do lądowania maszyna transportowa FedEx była zaledwie 45 m od pasa, z którego startował samolot Southwest. W grudniu 2023 r. na lotnisku w Los Angeles samolot czarterowy z drużyną koszykówki Gonzaga prawie przeciął pas startowy podczas startu samolotu Delta.

Jeden z najbardziej szokujących incydentów miał miejsce w lipcu 2017 r., kiedy samolot Air Canada prawie wylądował na drodze kołowania na lotnisku w San Francisco, gdzie trzy samoloty czekały na start. Dochodzenie ustaliło, że zbliżył się na 100 stóp – 30 m – do ziemi, nim poderwał się na ostatnie podejście, unikając najpewniej śmiertelnej katastrofy z udziałem ponad tysiąc osób. Kapitan Air Canada był zmczony.

Amerykańskie lotnictwo zмага się z poważnym kryzysem – mniej infrastrukturalnym czy technologicznym, bardziej kadrowym. Według niedawnego raportu Federalnej Administracji Lotnictwa (FAA) ponad 90 proc. obiektów kontroli ruchu działa poniżej zalecanego poziomu zatrudnienia, a 285 z 313 cierpi na niedobór personelu.

Ten niedobór doprowadził do tego, że o 27 proc. wzrosły opóźnienia lotów w głównych amerykańskich węzłach komunikacyjnych. To dane Departamentu Transportu za styczeń. Krajowe Stowarzyszenie Kontrolerów Ruchu Lotniczego (NATCA) ostrzega, że sytuacja jest szczególnie poważna w Nowym Jorku i na Long Island, gdzie zatrudnienie osiągnęło krytycznie niski poziom. United Airlines, jeden z największych przewoźni-

ków w kraju, musiał odwołać około 40 proc. lotów z portu Newark Liberty z powodu niedoborów kontrolerów – a lotnisko w Newark jest ostatnim miejscem na Ziemi, na którym chcielibyście utknąć bez narażania się na depresję i cukrzycę.

Jednocześnie Stowarzyszenie Pilotów Linii Lotniczych (ALPA) informuje, że prawie połowa obecnych pilotów ma przejść na emeryturę w ciągu najbliższej dekady. Te problemy kadrowe w połączeniu ze starzejącą się infrastrukturą i zwiększonym ruchem lotniczym przyczyniły się do niepokojącego wzrostu niebezpiecznych incydentów.

W 2024 r. FAA odnotowała ok.1757 „wtargnięć na pas startowy”, co stanowi wzrost o 15 proc. w porównaniu z 2023 r. Niby niewiele – ale to setki przypadków, a mówimy o dziedzinnie, w której każdy pojedynczy może oznaczać setki zabitych.

„Ostatnio mieliśmy zawał serca, wiele ataków paniki (w tym mój własny), ludzie nie przechodzili pozytywnie badań lekarskich z powodu depresji, a niektórzy po prostu odeszli z FAA, ponieważ sytuacja stała się tak zła” – napisał jeden z kontrolerów w poufnym raporcie bezpieczeństwa. „Kto wie, ile innych problemów fizycznych i psychicznych wywołanych stresem ma miejsce, o których jeszcze nie wiemy. To miejsce łamie ludzi. Potrzebujemy pomocy. Powiem to jeszcze raz, SOS!”

Sytuację próbują ratować senatorowie – zgodnie republikanin i demokratka – którzy wezwali Kongres do zwiększenia finansowania kadry, modernizacji obiektów i sprzętu oraz rozszerzenia możliwości akademii szkoleniowej FAA. Tyle że to coś zupełnie przeciwnego do podejścia nowej administracji Białego Domu, wspartej osobistą fikcją Muska na punkcie cięcia kosztów.

Polacy z Nowego Jorku mają zwyczaj zbierać się do kupy w ostatni weekend maja, kiedy wsiadają do aut i wyruszają na pielgrzymkę do Karoliny Północnej, a konkretnie na malowniczy półwysep Outerbanks. Trzeba przejechać przez wiele stanów, a na końcu szmat autostrady prowadzącej przesmykiem plaży, gdzie podróżujących z obu stron otacza ocean. To kolejny – obok Nicole Kidman i gór na północy stanu Nowy Jork – cud Ameryki. Jest w tej migracji metoda. To pierwszy weekend sezonu, więc nie ma tłoku, no i nie ma go tak w ogóle, bo w przeciwieństwie do Florydy nie da się tam dolecieć samolotem, za to trzeba wytrzymać za kółkiem 11 godzin (i przejechać wiele wadliwych mostów).

Polak potrafi, Polak wytrzyma i Polak cieszy się wielkimi domami zbudowanymi na palach w cenie nowojorskich hotelowych klitek. Przez tydzień lokalne miasteczka zamieniają się w małą Polskę. Polacy surfują, pływają, łowią ryby, grillują, tłoczą się w kolejkach lokalnego supermarketu i plawią się w jacuzzi, też na palach. Pale pomagają domom przetrzymać coraz częstsze huragany, które sprawiają, że coraz częściej malownicza droga jest nieprzejezdna – nawet dla pomysłowych Polaków. W sierpniu 2011 r., kiedy wszyscy już pakowali się do wyjazdu i mieli podpisane urlopy, zjawiała się „Irene”.

27 sierpnia uderzyła w Outerbanks z niespotykaną siłą. Główna arteria komunikacyjna regionu, wijąca się wybrzeżem 238-kilometrowa North Carolina Highway 12, została dosłownie przecięta niczym taśma nożycz-

kami w dwóch miejscach. Dwa przesmyki, każdy o szerokości 61 m, skutecznie odcięły wyspę Hatteras od świata. Pozostała przeprawa promowa. Władze stanowe działały szybko, już 10 października przerzucono nad największą wyrwą tymczasowy most. Ale ta prowizoryczna konstrukcja służyła mieszkańcom i turystom przez sześć lat.

Zmieniający się klimat powoduje poważne problemy nie tylko dla polskiej diaspory, ale także dla starzejącej się infrastruktury. Podczas długotrwałych wysokich temperatur asfalt mięknie, co powoduje wybrzuszenia i pęknięcia nawierzchni. Podczas fali upałów w 2021 r. w rejonie północno-zachodniego Pacyfiku odcinki autostrady I-5 w stanie Waszyngton uległy deformacji, zamknięto pasy ruchu, były poważne opóźnienia. Takie uszkodzenia nie tylko zakłócają transport, ale też stwarzają zagrożenie dla kierowców.

Szyny rozszerzają się pod wpływem ekstremalnego ciepła, co oznacza masowe opóźnienia pociągów osobowych, które jeżdżą wolniej niż w latach 50. Rząd mógłby wzorem Chin czy Francji zbudować sieć szybkich i bezpiecznych kolei, ale fundusze infrastrukturalne w pierwszej kolejności idą na naprawę mostów.

A im upały też zagrażają, zwłaszcza tym z elementami stalowymi. W lecie zeszłego roku nowojorski Third Avenue Bridge zamknięto po tym, jak metalowe komponenty rozszerzyły się w upale, powodując awarie, w tym mechanizmu podnoszenia nawierzchni w celu przepuszczania statków.

Wysokie temperatury to klimatyzacja, a klimatyzacja to gwałtownie rosnące zapotrzebowanie na energię, co prowadzi do przeciążenia sieci elektroenergetycznej. Latem w Teksasie i Kalifornii odnotowano rekordowe zużycie prądu. Nowojorczycy już wydają więcej na energię w lecie niż w zimie, w sezonie grzewczym.

Zmiana klimatu to też nieprzewidywalne zimy. „To, jak rozpada się infrastruktura, której od lat nie modernizowano, nie przystosowywano do zmieniających się warunków, można zobaczyć w stanach, w których występują obfite opady śniegu, jak Michigan, Indiana, Ohio czy Pensylwania. Na przykład podczas jazdy autostradą międzystanową I-70 między granicą Ohio/Indyany a Indianapolis, która jest znana jako jedna z najgorszych dróg w Ameryce” – mówi mi Chris Kuna, ekspert od logistyki z Chicago.

Pogoda często daje się tu we znaki. W sierpniu 2021 r. osuwiska błotne wywołałe ulewami deszczami spowodowały „ekstremalne uszkodzenia” w rejonie Glenwood Canyon, co wymusiło tygodniowe zamknięcie. W grudniu ub.r. zimowe burze doprowadziły do licznych karamboli, na przykład 10 samochodów na odcinku w Kolorado.

Ktoś powie: zwinila pogoda, nie stan techniczny, a za nią trudno winić władze. Ale pytanie, w jakim stopniu do karamboli przyczynił się stan techniczny. Jak zauważył jeden z motocyklistów na portalu Reddit: „Kiedy jadę I-70, muszę być wyjątkowo ostrożny, inaczej katapultuje mnie któryś z garbów. Niektóre mają 15 centymetrów. A jak nie garb, to koleina”.

Z narastającym za Busha ojca, Clintona, Busha syna, Obamy i pierwszego Trumpa problemem próbowała się zmierzyć administracja Joeego Bidena, forsując wielomiliardowy pakiet ustaw o odbudowie dróg, mostów, kolei i inwestycjach w ekologiczny transport. Demokraci wymyślili, że z pomocą tzw. „infrastructure bill” upieką trzy pieczenie na jednym ogniu: rozkręca gospodarkę niczym Roosevelt z pomocą New Dealu po wielkim kryzysie, na lata zaskarbią sobie klasę robotniczą i średnią, no a przede wszystkim odbudują fundament amerykańskiego cudu gospodarczego, mobilności społecznej i dumy: najlepsze na świecie drogi, najwspanialsze mosty, najnowocześniejsze lotniska.

Modernizację, naprawy, kontrole i nowe budowy powoli ruszyły, bo – ku zdumie-

niu wszystkich, bo w ostatnich latach wszelkie projekty publiczne, nawet te bez światopoglądowych skojarzeń, blokowali na zasadzie „nie, bo nie” – na projekt przyzwolili Republikanie. Może dlatego, że mostami jeżdżą nie tylko Demokraci. Obie partie wyjątkowo zgodziły się co do ustawy o infrastrukturze i planu ratunkowego dla Ameryki, który przeznaczają ponad 1,2 mld dol. na rozwiązanie pilnych problemów.

Nie wiadomo jak do rozkręcającego się programu podejździe administracja nowego starego prezydenta. Pierwsze tygodnie u władzy Trumpa i jego komisarza politycznego Elona Muska wysłały jasny sygnał, że Biały Dom uważa administrację rządową za nieruchawą skamielinę. Musk wysłał mail do 2 mln pracowników administracji, namawiając ich do rezygnacji z – jego zdaniem – nieefektywnej pracy rządowej i przejścia do – jego zdaniem – efektywnego biznesu.

Musk i jego koledzy technooligarchowie wyznają zasadę „Poruszaj się szybko i niszczyć rzeczy”, (Move fast and break things), która przyniosła im niespotykaną w dziejach świata fortunę. Ale malkontenci – jak postrzegają krytyków „nadludzie” z Doliny Krzemowej – zauważają, że ta metoda podzieliła świat na dwie niewidzące się bańki i spowodowała utratę zaufania do jakichkolwiek instytucji tudzież faktów.

Problemem może też być kult wyników. W przeciwieństwie do biznesu infrastruktura lubi spokój. Jest jak Mickiewiczowska Litwa, której nikt nie doceni, dopóki jej nie straci. Nikt nie kręci filmów o tym, że coś się nie zawałilo, nie spadło z setkami pasażerów do rzeki. Ani o przemęczonych kontrolerach ruchu z atakami paniki czy o inspektorach z Iowa, z których każdy odpowiada za tysiąc zapór – więc i oni w oczach młodych gniewnych (media donoszą, że niektórzy zapalczywi wysłannicy Muska wbijający się do federalnych agencji i instytucji mają po 18-19 lat) członków rewolucji kulturalnej są przesadnie licznymi darmozjadami.

Samolot, który bezpiecznie wylądował, jest normą. Most, który się nie zawałił, jest nudą, zapora, która wciąż stoi, jest stratą czasu. Oraz – dla zwolenników „małego państwa” – dowodem, że wszystko świetnie działa, a skoro tak, to po co te reszce darmozjadów biurokratów. A pociąg powinien doczepić kolejne wagony, bo przecież kiedyś żadnych regulacji, norm bezpieczeństwa i kontrolerów nie było, a jakoś podbiliśmy Zachód i Ameryka była wielka – uważają wyznawcy minimalnej administracji, woluntaryzmu i kultu efektywności z Big Techów i kalifornijskich start-upów. Stan infrastruktury za staruszką Bidena był żalosny, ale raczej nie poprawi się za rządów Trumpa i jego zwolenników, fanów „rządu tak małego, by dało się utopić go w wannie”. ●



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Alek Korab

• przedsiębiorca medialny, dziennikarz, redaktor. Urodził się w Rzeszowie, współtworzył polski dziennik „Metropol”, był redaktorem naczelnym „Metra” – jednej z największych gazet codziennych w USA. Kierował jej redakcjami w Nowym Jorku, Bostonie i Filadelfii. Prowadził lub uruchamiał projekty medialne w 14 krajach (m.in. w: Hiszpanii, Szwecji, Czechach, Francji, Brazylii, Chile), współpracował m.in. z: Lady Gagą, Richardem Bransonem i Karlem Lagerfeldem. Mieszka na Brooklynie w Nowym Jorku z partnerką Magdą, córką Stefanią i suczką Prymuską. W listopadzie po otrzymaniu o obywatelstwa wraz z Magdą po raz pierwszy brał udział w wyborach prezydenckich.

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA,
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY:
Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielński;

MAGAZYN-KULTURA: Agata Żelazowska-Cieśla
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wiczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymalski, Andrzej Kulasek, Grażyna Żabińska
GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konarowski, Tomasz Lebiada, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski; **FOTOEDYCJA:** Dominik Gajda
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Wyborcza sp. z o.o.
PREZES ZARZĄDU: Wojciech Bartkowiak
CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwas

Biurow reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



MAGAZYN wyborcza

Tworzymy go my i Wy:
dziennikarze,
redaktorzy
i Czytelnicy.

Opisujemy wydarzenia,
poglądy i emocje.
Zawsze prawdziwe.

Zachęcamy do refleksji
i inspirujemy.
**Czytasz. Myślisz.
Rozmawiasz.**



MAGAZYN „Wyborczej”

Szukaj w punktach sprzedaży prasy przez cały tydzień!

„Mona Lisa” i 350 tys. arcydzieł

LUWR

DO REMONTU

– Nie będzie powtórki z lat 80., nie dostawimy szklanej piramidy.
Ale trzeba radykalnie podnieść komfort zwiedzania dla 9 mln ludzi rocznie
– mówi Laurence des Cars, dyrektorka Luwru.



Marta K. Kiełczewska Paryż

„Mnożące się awarie”, „wahania temperatur i wilgoć zagrażające dziełom sztuki”, „zniszczone pomieszczenia” – pani poufny raport o złym stanie Luwru dla ministerstwa kultury wyciekł do prasy 22 stycznia. Nie był to jednak pierwszy raz, gdy biła pani na alarm. Dlaczego dopiero teraz prezydent Emmanuel Macron zdecydował się tym zająć?

– Mogę tylko opowiedzieć, jak to wygląda z mojej strony. Już podczas przesłuchania w Komisji Kultury Zgromadzenia Narodowego w kwietniu ubiegłego roku informowałam o złym stanie budynku. Gmach i instalacje techniczne Wielkiego Luwru, tej części obejmującej szklaną piramidę, czyli projektu sprzed 40 lat, zestarzały się. Także z powodu zbyt dużej liczby odwiedzających i przeciążonej w związku z tym infrastruktury.

Rzeczywiście: słynna piramida, zaprojektowana dla czterech milionów odwiedzających rocznie, obecnie przyjmuje ich dziewięć. Latem staje się szklarnią, a dostanie się do muzeum bywa gehenną. Co z tym można zrobić?

– Ja zaczęłam od ograniczenia przepustowości do 30 tys. odwiedzających dziennie. Wielki Luwr to była wspaniała modernizacja, ale nie objęła drugiej, wschodniej połowy pałacu, położonej wokół Cour Carré. Kolumnada i esplanada przed nią nie były w ogóle restaurowane od lat 60. XX w.

Jak pogodzić zapewnienie ludziom intymnego obcowania z wielką sztuką z wymogami masowej turystyki?

– Nie gardzę turystyką. Wszyscy jesteście podróżnikami kulturowymi. Masowa turystyka jest rzeczywistością dzisiejszego świata, a z Luwru czyni najczęściej odwiedzane muzeum na świecie. Luwr – miejsce o 900-letniej historii – jest sercem Francji: rezydencją króla zmienioną w muzeum w konsekwencji Rewolucji Francuskiej. Piętno na budynku odcisnęły prace z czasu Drugiego Cesarstwa pod rządami Napoleona III, podobnie jak za rządów François Mitterranda Piramida i wielka modernizacja.

Lokalizacja w centrum Paryża, budynek, wyjątkowa kolekcja, jak i wizerunek w popkulturze – w Luwrze jest coś fascynującego. Tylko że musimy sprostać oczekiwaniom dzisiejszej i przyszłej publiczności. Jej stosunek do muzeum się zmienił m.in. na skutek możliwości rezerwacji przez internet – w Luwrze obecnie to już niemal 90 proc. wizyt. A ilość zakupów biletu na miejscu maleje z każdym miesiącem.

Jak zamierza pani sprawić, by Luwr nie kojarzył się tylko z „Moną Lisą”?

– Postawmy sprawę jasno. To wspaniały obraz i cieszymy się, że cały świat chce go u nas zobaczyć, nie zadowolając się jego cyfrowym wizerunkiem. Ale w Luwrze równych mu arcydzieł są tysiące.

Wielu odwiedzających jest nieco rozczarowanych...

– Ponieważ „Mona Lisa” stała się formą fantazji, a ta zawsze rozczarowuje w konfrontacji z prawdziwym życiem.

Problem jest wtedy, gdy rozczarowanie wynika z oglądania tego arcydzieła w złych warunkach. To właśnie dlatego prezydent Macron 28 stycznia zapowiedział przeznaczenie osobnego pomieszczenia dla „Mony Lisy”, by w pełni wyeksponować jej walory i zaoferować odwiedzającym pełniejsze doświadczenie. Portret Mony Lisy to dzieło kontemplacyjne, jak zresztą cała sztuka Leonarda da Vinci. Im bardziej się w nie zagłębiasz, tym bardziej staje się fascynujące. Oglądając je pospiesznie, nie da się w pełni docenić ani jego geniuszu, ani piękna. Chcemy to umożliwić dzięki stworzeniu przestrzeni wyłącznie dla tego obrazu.

„Mona Lisa” oznacza bowiem znaczącą zmianę w historii portretu. Dokumentuje przejście od ujęcia modelu z profilu, typowego dla antycznych medali, do bardziej naturalnego, a ponadto jest przedstawieniem całkiem zwykłej osoby, żony florenckiego kupca, nie zaś członka rodziny królewskiej.

Historia obrazu też jest fascynująca. Towarzyszył Leonardowi we Francji, dokąd przybył na zaproszenie Franciszka I – i został jego malarzem nadwornym – a król zakupił portret do swojej kolekcji, pozostając blisko władcy przez dziesięciolecia. W XIX w. stał się dobrze znanym dziełem, ale dopiero jego kradzież nadała mu status światowej ikony. W mediach w latach 1911-1913 było o tym głośno, reprodukcje obrazu znalazły się wówczas w prasie na całym świecie. To jej zniknięcie – trochę podobnie jak w przypadku tajemniczego zakończenia kariery Grety Garbo – przeniosło obraz w strefę fantazmatyczną, wpływając na historię sztuki nowoczesnej, od Marcela Duchampa i jego „Mona Lisy z wąsami”, po przez kino po współczesnych artystów, takich jak Lady Gaga.

Równocześnie „Mona Lisa” to cenne i delikatne dzieło sztuki, namalowane na podłożu z drewna topoli. Reprezentuje część pamięci i piękna świata. Misją Luwru jest udostępnienie tego dzieła jak największej liczbie osób w najlepszych możliwych warunkach.



Jak konkretnie zostanie zorganizowana nowa sala dla „Mony Lisy”?

– Projekt wciąż jeszcze powstaje. Obecnie obraz jest wystawiony w sali des États, największej przestrzeni w Luwrze. Ale naszym celem jest, by odwiedzający uprzednio rezerwować wstęp do sali, co zagwarantuje mu odpowiedni czas na kontemplację – taki autonomiczny bilet rozszerzający zakres zwykłego wstępu do Luwru.

A co z ryzykiem, że weekendowi turyści przyjdą zobaczyć tylko ten obraz, nie odkrywając reszty muzeum?

– Badania pokazują, że istotnie 70 proc. turystów w Paryżu chce dziś zobaczyć „Mona Lisę”, co wcale nie oznacza, że przychodzą tylko dla niej. Nike z Samotraki i Wenus z Milo pozostają obowiązkowymi punktami. Dzieła te nie zostaną przeniesione i nadal będą przyciągać odwiedzających do skrzydła Denon.

Pracujemy obecnie nad renowacją i zmianami w sposobie ekspozycji naszych kolekcji. W 2027 r. zostanie otwarty nowy dział poświęcony sztuce Bizancjum i chrześcijańskiemu Wschodowi, rozszerzy się przestrzeń wystawiennicza dzieł antycznego Rzymu, a sztuka islamu doczeka się nowej prezentacji. Projekt modernizacji będzie dotyczył m.in. tych trzech przestrzeni położonych obok siebie.

To dla nas okazja do ponownego prze-myślenia metody prezentacji zbiorów, często postrzeganej jako erudycyjna i związana z XIX-wiecznym modelem patrzenia na historię sztuki. Luwr chce stworzyć nowe narracje, które łączą cywilizację, pokazując, jak artyści, formy i techniki nieustannie krążyły między nimi. Odejść od kur-

czowego trzymania się europocentrycznej narracji.

Luwr stanowi kapsułę czasu, która nieustannie przenosi odwiedzających w przeszłość i oferuje im punkty odniesienia. Naszym celem jest ekspozycja zjawisk mniej znanych, ale równie fascynujących.

A Polak zapłaci za bilet mniej niż Chińczyk?

– Decyzja o wprowadzeniu droższej taryfy pozaeuropejskiej została podjęta przez resort kultury i dotyczy (od 1 stycznia 2026) kilku francuskich muzeów, nie tylko Luwru. Celem jest wsparcie projektów renowacyjnych, ale w szczególności Luwru.

O jakich sumach mówimy?

– To inwestycja rzędu kilkudziesięciu milionów euro w ciągu około 10 lat. Jednocześnie trwają prace nad stworzeniem nowych wejść i przestrzeni, zwłaszcza pod Cour Carrée, które zostaną sfinansowane z dochodów z licencji udzielonej przez Luwr muzeum w Abu Dhabi oraz od darczyńców.

Jaka jest wizja tego nowego wejścia do Luwru?

– Projekt nie koncentruje się na jakimś wyjątkowym geście architektonicznym, ale na po prostu na stworzeniu nowych funkcjonalnych wejść. Wraz z ministerstwem przygotowujemy międzynarodowy konkurs, który pozwoli wyłonić najlepsze projekty zgodnie z zasadami specyfikacji, które obecnie powstają.

Chcemy podkreślić zwłaszcza kolumnadę Claude’a Perraulta, która zamyka reprezentacyjną fasadę Pawilonu Zegarowego przy Dziedzińcu Kwadratowym Luwru od strony miasta, a która teraz nie jest ani wyeksponowana, ani przyjazna. Plac przed nią nie jest zbyt gościnny, a wielu odwiedzających nie zdaje sobie nawet sprawy, że stanowi część Luwru.

Dążymy do przywrócenia majestatu tej fasadzie, zaprojektowanej dla podkreślenia splendoru siedziby absolutnego władcy Króla-Słońce Ludwika XIV. Nowe wejście będzie zgodne z historyczną osią wschód-zachód, w harmonii z piramidą zaprojektowaną przez architekta Ieoh Ming Pei w 1988 r. Obecne wejście przez piramidę zostanie zachowane, a nowe będzie wiodło przez kolumnadę Perraulta. Oba będą pełnić funkcję głównych. Trzy inne obecnie istniejące zostaną zachowane.

Prace mają potrwać do 2031 r. Czy w ich trakcie Luwr będzie mniej dostępny?

– Na szczęście nie. Budynek ma gigantyczne rozmiary, a prace będą się koncentrować głównie w jego wschodniej części. Tylko niektóre fragmenty zostaną tymczasowo zamknięte. Będziemy też nadal organizować wystawy czasowe.

Prezydent Macron wspomniał, że modernizacji Luwru przyświeca podobna

ambicja jak ta przy odbudowie katedry Notre-Dame.

– Choć sytuacja nie jest równie nagląca jak w przypadku Notre-Dame, ogłoszenie projektu prac przy Luwrze przez prezydenta zyskało uwagę całego świata. I słusznie.

Czy to prawda, że średni czas zwiedzania Luwru wynosi 50 minut?

– Raczej ok. trzech godzin. Odwiedzający zazwyczaj przeznaczają co najmniej pół dnia na zwiedzenie, wiedząc, że lepiej się nie spieszyć. Chcemy przywrócić przyjemność zwiedzaniu, poprawiając jego komfort. Bo obecnie Luwr może przyprawić o fizyczne męki. Brakuje nawet ławek na zrobienie sobie przerwy. Punktów gastronomicznych i toalet jest za mało. Do tego trzeba usprawnić dostępność dla osób poruszających się na wózkach oraz rodzin z małymi dziećmi. Przyjemność dzielenia się i wspólnego tworzenia wspomnień ma fundamentalne znaczenie. A Luwr to ulubione miejsce zdobywania międzypokoleniowych doświadczeń. Pod tym względem jest wyjątkowy. Konieczne jest stworzenie takich warunków, aby odwiedzający mogli spędzać tu całe dnie lub regularnie wracać, by odkrywać kolejne dzieła.

■
*„Mona Lisa”
stała się formą fantazji,
a ta zawsze rozczarowuje
w konfrontacji
z prawdziwym życiem.
Za to jak się spędzi
z tym obrazem dłuższy czas
w spokoju...*

W jakim stanie jest „Mona Lisa”?

– Pozostaje wiecznie młoda. Jej stan jest monitorowany każdego roku przez międzynarodową komisję, która bada jej wszelkie konserwatorskie aspekty. Specjalna gablot zapewnia jej stałą temperaturę i wilgotność.

Jak można kontemplować „Mona Lisę” lub inne dzieła sztuki wśród lasu rąk z telefonami? Czy selfie nie powinny być zakazane?

– Moją rolą jako dyrektorki Luwru jest dotarcie z przekazem sztuki i kultury, a nie osądzanie obyczajów publiczności. Selfie to sposób na stworzenie własnej relacji z dziełem sztuki. Na zabranie małego kawalka Luwru ze sobą. Zamiast zakazu, lepiej jest ustanowić jasne zasady ich robienia. Zresztą możliwe, że trend na selfie z czasem zaniknie.

A gdyby miała pani polecić tylko jeden obraz z kolekcji Luwru?

– Spośród tych 35 tys. dzieł na ekspozycjach stałych? Trudne pytanie. Zwykle zachęcam do wnikliwego obejrzenia „Portretu mężczyzny z rękawiczką” Tycjana, cały czas pozostającego głęboko w cieniu popularności „Mony Lisy”. ●

Wywiad przeprowadzono w ramach współpracy „Wyborczej” z wiodącymi europejskimi dziennikami (LENA) wraz z Joëlle Meskens z „Le Soir”, Anaïs Ginori z „La Repubblica”, Martiną Meister z „Die Welt” i Danielem Verdu z „El Pais”



LENA
LEADING — EUROPEAN
NEWSPAPER – ALLIANCE



Mucha

NIE TYLKO NA KOSZULKAC

Emilia Dłużewska

Kiedy otwieramy wystawy za granicą, spotykamy ludzi przekonanych, że Alfons Mucha był Francuzem. Czas to zmienić – deklarował Marcus Mucha na konferencji zapowiadającej nowe muzeum artysty w Pradze, które otworzy się dla zwiedzających 24 lutego.

Zbieżność nazwisk jest nieprzypadkowa. 45-letni Marcus jest prawnukiem Alfonsa i dyrektorem zarządzającym fundacji jego imienia. Urodził się i wychował w Wielkiej Brytanii, skończył z wyróżnieniem studia na Cambridge, a potem scenopisarstwo w Londynie, przez pięć lat robił karierę w branży filmowej w Los Angeles. Dla pradziadka nie tylko zostawił Hollywood i przeprowadził się do Pragi, ale też nauczył czeskiego. Dziś ma podwójne obywatelstwo.

Muchowie na wygnaniu

To o tyle istotne, że relacje między rodziną Muchów a władzami nie zawsze układały się gładko. Odbijały się w nich skomplikowane losy regiony w XX wieku.

Alfons urodził się w 1860 r., gdy Czechy były częścią Austro-Węgier. Nie został przyjęty na Akademię Praską, wyjechał więc do Wiednia, gdzie szlifował warsztat na wieczorowych kursach. Dzięki mecenasowi poznanemu przy okazji zlecenia udało mu się studiować najpierw w Monachium, a potem w Paryżu, gdzie przeniósł się w 1887 r.

To w Paryżu z mało znanego artysty, który utrzymywał się z dorywczych prac, często zlecanych po znajomości, stał się ikoną secesji. Przełomem okazał się plakat do sztuki „Gismonda” z Sarah Bernhardt, stworzony w 1894 r. Legenda głosi, że Mucha był jedynym plakacista, który podjął się pracy na ostatnią chwilę, w czasie świąt. I że gdy Bernhardt zobaczyła

Nowe muzeum Alfonsa Muchy w Pradze, ma pokazać go nie tylko jako twórcę plakatów, ale wszechstronnego artystę i państwowca.

Ale wielomilionowa inwestycja ma jeszcze jeden cel.

projekt i wezwała go do siebie, był pewien, że zamierza teatralnie wyrzucić go za drzwi.

Tymczasem Bernhardt „Gismondę” pokochała, a na Muchę posypały się kolejne zlecenia. We Francji spędził 26 lat, malując, projektując afisze teatralne, plakaty, reklamy. Do rodzinnego kraju wrócił w 1910 r. Zmarł w lipcu 1939 r. Cztery miesiące wcześniej do Czechosłowacji wkroczyły niemieckie wojska, Mucha był przesłuchiwany przez Gestapo. Z aresztu wyszedł po kilkunastu dniach, ale zdrowotnie się nie podniósł.

Syn Alfonsa, pisarz i dziennikarz Jirí Mucha, przyszedł na świat w Pradze w 1915 r. W 1939 r. mieszkał w Paryżu, gdzie pracował jako korespondent gazety „Lidové Noviny”. Gdy naziści weszli do Francji, uciekł do Londynu, gdzie zaciągnął się do RAF, a następnie pracował w BBC.

Do kraju wrócił w 1945 r. Sześć lat później pod pretekstem szpiegostwa został skazany na roboty w kopalni uranu, gdzie spędził cztery lata.



Komunistyczne władze znacjonalizowały praską willę Muchy. Rodzina artysty przeniosła jego dorobek do domu zaoferowanego przez kurę. Wynajmują go do dziś. Dwukondygnacyjny budynek na Hradczanach wypełniają po sufity obrazy, plakaty, szkice i pamiątki z różnych etapów życia Muchy.

Dziennikarzy oprowadza po nim wnuk artysty, emerytowany brytyjski bankier. John Mucha mieszkał tu przez kilkanaście pierwszych lat życia. Gdy skończył liceum, władze dały rodzinie do zrozumienia, że nie ma szans na studia. W 1966 r. wyjechał więc do Wielkiej Brytanii, skąd pochodziła jego matka, szkocka kompozytorka Geraldine Thompson-Mucha. Tam skończył ekonomię i pracował dla międzynarodowych banków.

Doświadczenie w finansach przydało mu się, gdy po aksamitnej rewolucji wrócił do Czechosłowacji. – Kiedy w 1991 r. przyjechałem do Pragi, usłyszałem: Co, teraz to wszystko sprzedacie? Nikt mi nie wierzył, kiedy mówiłem, że nie – opowiada. Rok później zaczęła działać Fundacja Muchy.

Obrazy wielkości mieszkania

Nowe muzeum (w Pradze wciąż działa stare, niewielkie i nastawione na turystów) to efekt współpracy tejże fundacji i władz Pragi. Miasto przekazało spadkobiercom barokowy pałac Savarin. 25 mln euro na remont zabytkowego budynku wyłożyła firma deweloperska Crestyl Group, w zamian za możliwość zbudowania na tej samej działce centrum handlowego i biurowego.

To dopiero początek. Kolejnym krokiem ma być sprowadzenia do Pragi na stałe innego dzieła artysty: „Epopie słowiańskiej”.

Ci, którzy kojarzą Muchę przede wszystkim jako secesyjnego plakacista, mogą być nim zaskocze-



FOT. PAVEL RYBNÍČEK, DZIEKI UPRZEJMOSCI MORAVSKY KRUMLOV CASTLE AND THE MUCHA FOUNDATION

► **„Epopcja Słowiańska”. (1910-28)** 20 gigantycznych obrazów, inspirowanych historią. Od lat 60. są wystawione w Moravskim Krumlovie w tamtejszym zamku. Spadkobiercy Muchy liczą na to, że w nowym muzeum w Pradze będą na stałe od 2028 r.

◄ **Alfons Mucha, (1860-1939)** autoportret z 1907 r.

FOT. MUCHA TRUST

► **„Gismonda”** plakat z 1894 r. do sztuki ze sławną Sarą Bernhardt. Otworzył Muszę drzwi do sławy.

FOT. MUCHA TRUST



IMPRIMERIES LEMERCIER, PARIS.



▲ **Siedziba nowego Muzeum Alfreda Muchy, w barkowym pałacu Savarin w Pradze. Nowe Miasto, Na Příkopie 10**

FOT. CRESTYL



▲ **Marcus Mucha, prawnuk Alfreda. Wychował się w Wielkiej Brytanii, pracował w USA ale wrócił do Czech, żeby dbać o spuściznę. Dyrektor zarządzający Fundacją Muchy**

FOT. JAROSLAV FIKOTA / MUCHA TRUST

ni. Składający się z dwudziestu płócien cykl to dzieło monumentalne, tak w formie, jak i treści. „Epopcja” przedstawia historię ludów słowiańskich od wczesnego średniowiecza po XIX w. Mucha uwiecznił na nim wydarzenia historyczne – m.in. krajobraz po bitwie pod Grunwaldem, wojny husyckie czy zniesienie pańszczyzny w Rosji – ale też sceny alegoryczne. Postaci historyczne miesza się z fantastycznymi.

Pierwszy obraz, ukończony w 1912 r., przedstawia chłopską parę chroniącą się przed najazdem Turków; nad nimi unosi się w powietrzu modlący się kapłan, wspierany przez alegorie pokoju i wojny. Ostatni obraz, z roku 1926, pokazuje słowiańskie ludy, nad którymi góruje sylwetka młodego mężczyzny. Za jego plecami widać błogosławiącego scenie Chrystusa, po prawicy ma żołnierzy w mundurach z czasów pierwszej wojny światowej, po lewicy – flagi zwycięskich państw.

Łączna powierzchnia cyklu to 650 m kw., największe obrazy mają metraż dwupokojowego mieszkania: mierzą ponad osiem metrów na sześć.

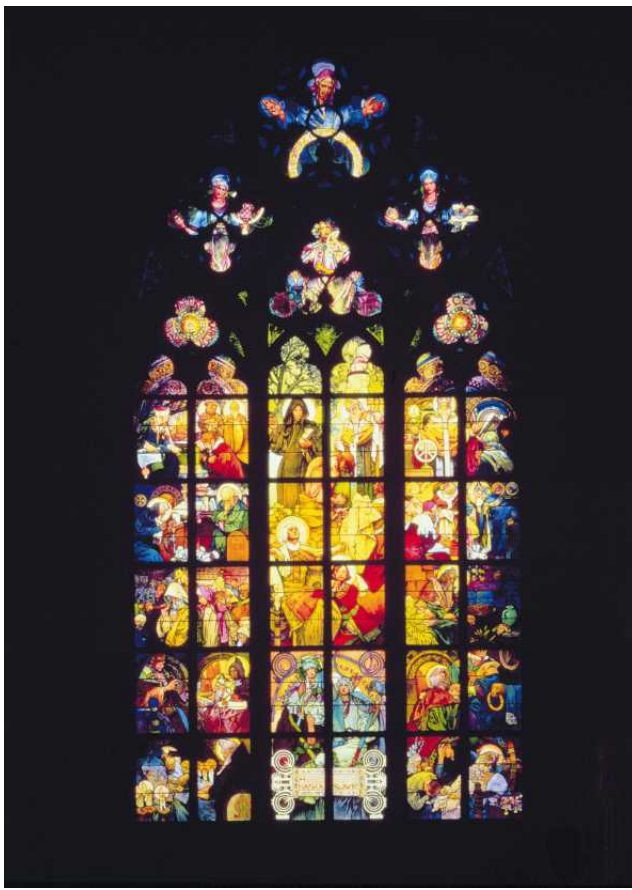
Mucha pracował nad nimi osiemnaście lat, podróżując po Europie Wschodniej, m.in. do Polski. W 1928 r. przekazał „Epopcję słowiańską” w darze władzom Pragi, które zobowiązały się zbudować dla cyklu pawilon.

Inwestycja przeciągała się. Po zajęciu Czechosłowacji przez Niemcy „Słowiańska Epopcja” została spakowana i ukryta. A po wojnie klimat polityczny się zmienił. Ani mistyczno-religijna wymowa dzieła, ani charakterystyczny styl Muchy nie pasowały do nowych czasów. Płótna czekało wygnanie do Moravskiego Krumlova, sześciotysięcznego miasta na południu kraju.

Bitwa o „Epopcję”

Powrót do czeskiej stolicy zajął im niemal pół wieku. I nie obyło się bez kontrowersji. Gdy w 2010 r. Praga ogłosiła, że wystawi „Epopcję słowiańską”, zaprotowali mieszkańcy i władze Moravskiego Krumlova, którzy podkreślali, że to ich miasto przez lata opiekowało się cyklem Muchy, ponosiło koszty jego renowacji, a dziś jest on jego największą atrakcją.

Konserwatorzy i historycy sztuki podkreślali, że „Epopcja słowiańska” jest malowana temperą, więc



podczas zwijania i rozwijania płótna mogą się łatwo uszkodzić. Rodzina Muchy nie chciała przenosić, argumentując, że płótna nie powinny być transportowane, póki miasto nie zagwarantuje im stałej siedziby.

Ostatecznie „Epopeję” pokazywano w Pradze między 2012 a 2016 r. Potem – mimo sprzeciwu rodziny – obrazy pojechały na trasę po Japonii i Chinach. John Mucha pozwalał wówczas władze Pragi, domagając się zabezpieczenia obrazów.

Konflikt ciągnął się latami. Miasto Praga twierdziło, że „Epopeja słowiańska” należy do nich, zgodnie z umową podpisaną przez artystę jeszcze w latach 20. XX wieku. Spadkobiercy Muchy argumentowali, że darowizna nie doszła do skutku, bo cykl wciąż nie doczekał się obiecanego w umowie pawilonu.

Konflikt zakończyła ugoda zawarta we wrześniu 2023 r.: w Pradze powstanie centrum poświęcone sztuce Muchy, a w nim przestrzeń pozwalająca odpowiednio wyeksponować „Epopeję”. W kompleksie Pałacu Savarin zaprojektuje ją brytyjski architekt Thomas Heatherwick.

Mucha projektuje Czechosłowację

Kiedy „Epopeję słowiańską” będzie można zobaczyć w Pradze? Marcus Mucha deklaruje, że byłoby wspaniale, gdyby cykl można było zobaczyć

w czeskiej stolicy w 2028 r., w stulecie jego ukończenia. Póki co płótna wróciły do Morawskiego Krumlova.

Na praskiej wystawie mają reprezentację – można obejrzeć poświęcone „Epopei słowiańskiej” wideo, zobaczyć studia do cyklu, zbliżenia na wybrane fragmenty i reprodukcje kilku płócien. Choć mogą one dać pewne wyobrażenie o dziele Muchy, daleko im do rozmachu oryginału.

Ale to tylko część wystawy stałej. Tomoko Sato, japońska kuratorka i historyczka sztuki od lat badająca twórczość Muchy, włączyła w nią projekty najbardziej z nim kojarzone, jak plakaty do sztuk z Sarą Bernhardt czy grafiki ze słynnego cyklu „Księżyc i gwiazdy”. Ale ekspozycja ma też pokazać czeskiego artystę z mniej znanej strony: nie tylko jako plakaciste, ale wszechstronnego artystę, zaangażowanego w życie społeczne i polityczne.

Ten ostatni wątek może być dla polskiego widza szczególnie ciekawy. Podobnie jak Polska, Czechosłowacja uzyskała niepodległość po pierwszej wojnie światowej. I podobnie jak Polska w latach 20. XX w. musiała wypracować symbole i język graficzny młodej państwowości.

Alfons Mucha dążenie do niepodległości wspierał przez lata. W czasie stu-

▲ **Witraż z katedry św. Wita w Pradze zaprojektowany przez Muchę na początku lat 30. XX w.**

FOT. MUCHA TRUST

▼ **„Zaduma”, litografia z 1890 r. Pierwotnie miał to być projekt karty z kalendarza**

FOT. MUCHA TRUST



diów angażował się w działalność czeskich organizacji. Dla młodej Czechosłowacji projektował plakaty, banknoty czy znaczki pocztowe. W secesyjnym Miejskim Domu Reprezentacyjnym namalował murale i zaplanował cały wystrój, łącznie z wyszywanymi kotarami. Witraż jego projektu znajduje się w katedrze św. Wita na Hradczanach.

W nowym muzeum znajduje się m.in. plakat zaprojektowany przez artystę w 1911 r. dla chóru morawskich nauczycieli z młodą dziewczyną w tradycyjnym morawskim stroju, litografia zachęcająca do wspierania Loterii Jedności Narodowej z 1913 r. czy plakat promujący ósmą edycję festiwalu młodzieży Sokół, odbywającego się w Pradze w 1926 r. Narodowe symbole czy elementy tradycyjnych strojów można znaleźć w wielu innych jego pracach, również tych komercyjnych.

Panslawista, pacyfista

Choć „Epopeja słowiańska” cieszyła się dużym zainteresowaniem, nie tylko w Czechosłowacji – pierwsze pięć płócien w 1921 r. wystawianych było w Nowym Jorku i Chicago – jego styl coraz wyraźniej wychodził z mody. Na salony wkraczała awangarda, pokazująca sztukę radykalnie odmienną od secesyjnych rozmierzonych kobiet w powiewających sukniach.

Dziś cykl Muchy jest przede wszystkim imponującym zapisem momentu dziejowego. W tym przypomnieniu o idei panslawizmu w jej historycznym wydaniu. Postulat zjednoczenia narodów słowiańskich dziś bywa wykorzystywany jako instrument rosyjskiej propagandy i uzasadnienie imperialnych zakusów Putina. Ale na przełomie XIX i XX w. wręcz przeciwnie – jako narzędzie wyzwolenia się spod wpływu obcych imperiów. Mucha był zarazem panslawistą, człowiekiem oddanym czeskiej sprawie niepodległościowej i autorem obrazów o potwornościach wojny.

Te wątki rysują się na wystawie, choć jest ona stosunkowo niewielka. Dodatkowy kontekst tworzyć mają prezentowane w muzeum Muchy wystawy czasowe, pogłębiające historię artysty, ale też pokazujące jego dziedzictwo i prace inspirujących się nim artystów. Nie tylko europejskich. Tomoko Sato mówi, że wpływów Muchy można szukać m.in. w mangach, japońskich powieściach graficznych. Z kolei w jego tworzonych na przełomie wieków w Paryżu grafikach widać fascynację kulturą japońską.

Póki do Pragi nie przyjedzie „Epopeja słowiańska”, najciekawszym zadaniem muzeum może być właśnie pokazywanie Muchy w nieco innym świetle. Oby tak się stało, bo czeski artysta zasługuje na coś lepszego niż miejsce na koszulkach i zapalniczkach. ●

◀ **Puszka na hebratniki. Mucha zyskał popularność także jako twórca sztuki użytkowej** FOT. ONDŘEJ POLÁK

Za pięć trzynasta

Gdzie się podziały poglądy

Wielka jest tęsknota za prawdziwą rozmową. Moja, osobista, lecz także społeczna, usankcjonowana mediami, których zadaniem powinno być doprowadzanie poglądów tych, którzy mają coś do powiedzenia, do tych, którzy chcą je poznać i do nich się odnieść.

Jarosław Mikołajewski

No właśnie – poglądy. Tak, użyłem tego wyświechtanego, nietrafnego już dziś pojęcia. Czy zgodzimy się, że poglądów nie widać na horyzoncie? Są polemiczne stanowiska rzeczników partii, frakcji, sił. Ale poglądy? Czy kandydat Nawrocki wypowiedział kiedykolwiek coś, co można by nazwać poglądem?

Pogląd ma w sobie smak rozpoznania jakiejś prawdy w sobie i w świecie, sygnalizuje inspirację zespolone intelektem, kulturą, wiedzą. Ma też w sobie dynamikę niezależności i poetyckie uwiarygodnienie głoszonych wartości. Dla chrześcijanina powinno to być choćby świadectwo miłosierdzia, wzruszenia w spotkaniu ze słabością, kruchością, niedostatkiem.

Idzie weekend, czas poznawania poglądów, a ja wiem, że znów ich nie poznam. W programach publicystycznych zobaczę dwie strony, dwa monolity. Z jednej strony – grupę kłamców, których jedynym motorem jest retoryczne odkręcanie własnych niegodziwości. Z drugiej – ludzi, którzy wbrew życiowemu doświadczeniu nie wiedzą jeszcze, że nie da się rozmawiać z kłamcami.

Tak jak nie dało się rozmawiać z Urbanem.

Bo kłamca krzyczy lub zastawia kocie pułapki. Kłamca przyswaja sobie emblematy kultury ogólnokształcącej, i przez to, że został zaproszony do telewizji czy radia, w społecznym spektaklu wynosi je do rangi prawdziwego myślenia i odczuwania. Przykład: Orwell. Zwróćmy uwagę jak tekst wolnościowej dekonstrukcji głupoty, który dla nas, zbuntowanych, był znakiem rozpoznawczym, stał się obecnie dla bezmyślnych rezerwuarem frazesów.

Poglądy... Pogląd jest skarbem, po który zstępuje się w siebie. Po który wspina się do gwiazd wrażliwości i intelektu. Tymczasem obraz naszych poglądów jest dziś zaprzeczeniem tego, czym pogląd być powinien. Po pierwsze: dziś, półtora roku po zwycię-

stwie, jako rozmówca i aktor życia społecznego nie czuję się przeproszony. Ponadto – nie widzę w kłamcach minimalnej skruchy. Nie czuję, że wycofali się na pustynie refleksji. Nie wierzę, że dziękują dzień za dniem za to, że nie muszą chować się ze wstydu w domach, tylko dostali kolejną szansę na życie wśród ludzi. Nie wierzę, bo widzę, że z szansy tej nie korzystają. Nie mówią, dla powszechnego dobra, co skusiło ich do generalnej nieuczciwości. Nie pogłębiają wspólnej mądrości, nie uczestniczą w zbiorowym szlifowaniu narzędzi samopoznania i samonaprawiania. Toną w bagnie i przez to, że są zapraszani do studia, ściągają nas w dół.

Nie, nie na tym polega rozmowa, społeczna akademia republiki, że zaprasza się do niej kłamców, którzy trwają w kłam-

stwie. Warunkiem rozmowy, wymiany poglądów, jest obustronna uczciwość intencji. I właśnie jej nie znajduję. Ci, którzy podle pogrążali media, teraz, w wolnych mediach, o cenzurę oskarżają innych. A my pozwalamy im na to zapraszając do studia na równych, czyli uprzywilejowanych prawach.

Nie ma w naszym kraju rozmowy. Nie ma wymiany poglądów. A przez to – nie ma próby zrozumienia tego, co mówią inni. Bo z góry zakładamy, i słusznie, że mówią w obronie własnej i próbie pogrążania innych. Ale nie odpuszczajmy. Powiedzmy czasem coś prawdziwego. O nas samych, o miłości, o zawstydzeniu własną przeszłością. Albo nie mówmy, tylko posłuchajmy w sposób bezinteresowny jak mówią inni. Na przykład w teatrze. ●



Do kogo

ZADZWONISZ W ŚRODKU NOCY

Sprawdziłam, ile razy wczoraj odblokowałam telefon. I naszła mnie refleksja – a ile razy wczoraj dotknęłam swoich bliskich

Z MARCEM SCHULZEM,
BADACZEM RELACJI
MIĘDZYŁUDZKICH Z HARVARDU
ROZMAWIA
AGNIESZKA JUCEWICZ

„Jeden wyróżniający się czynnik sprawia, że nasze życie jest szczęśliwsze i zdrowsze – to dobre relacje z ludźmi” – co pan słyszy, kiedy to mówi?
– Zwykle spotykam się z trzema reakcjami. Pierwsza: „To ma sens!” – tak, jakby te osoby przeczuwały to wcześniej i teraz cieszyły się, że badania potwierdzają ich intuicję. Druga grupa też nie jest specjalnie zdziwiona, bo ten sam przekaz odnalazła w religii albo w starożytnej filozofii. No a trzecia jest zaskoczona: „A byliśmy przekonani, że większe znaczenie mają udana kariera, pieniądze, wygodne życie”.

A nie słyszy pan czasem: „Nie-możliwe, to aż tak proste”?
– To też. Tyle że te osoby, same szybko się reflektują, że to tylko z pozoru prosta recepta, bo relacje są przecież skomplikowane i często wnoszą w nasze życie spory zamęt. I nie jest łatwo o nie dbać. Ludzie mówią: „Mam za dużo pracy”, „Mam mnóstwo innych obowiązków”, jednym słowem: „nie mam

czasu na dbanie o relacje”. Chociaż udaje im się go wygospodarować np. na ćwiczenia fizyczne.
Współczesny świat na wiele sposobów odrywa nas od relacji, nawet tych najważniejszych.

„Harvardzkie badanie rozwoju osób dorosłych”, z którego płynie ten wniosek, jest najdłuższym badaniem nad szczęściem na świecie. Trwa nieprzerwanie od 87 lat. Od czego się zaczęło?
– Od dwóch niezależnych badań. Był rok 1938, Stany Zjednoczone wciąż odczuwały skutki Wielkiego Kryzysu, a już na horyzoncie widać było wojnę. W tych mało optymistycznych okolicznościach dwie grupy psychologów zdecydowały się na niezwykle krok – postanowiły przyjrzeć się temu, co sprawia, że ludzie się rozwijają, a wręcz kwitną.

Uczestnikami pierwszego badania byli nastoletni chłopcy z najuboższych dzielnic Bostonu żyjący w małych mieszkaniach, często bez bieżącej wody i toalet. Wielu musiało pracować od najmłodszych lat. Większość była imigrantami, na marginesie, także z Polski. Psychologowie chcieli się dowiedzieć, co decyduje o tym, że ludzie dorastający w tak trudnych warunkach dobrze sobie później radzą i – jak to się mówi – nie schodzą na złą drogę.

Uczestnikami drugiego badania byli studenci drugiego roku Harvardu. Zainteresowanie badaczy było podobne – zrozumieć, co sprawia, że osoby, które mają pewne przywileje na starcie, potem czują się spełnione i szczęśliwe. Ponieważ obu badaniom przyświecała podobna filozofia zawierająca elementy tego, co dziś nazywalibyśmy psychologią pozytywną, ostatecznie je połączono.

Pierwszych uczestników było 724. Do dziś żyje kilku z nich, ale po drodze dołączyły ich żony i dzieci, w sumie 1317 osób.

Początkowo badanie opierało się głównie na wywiadach. Badacze odwiedzali uczestników w domach, rozmawiali z ich rodzicami.

– Naprawdę głęboko wnikali w ich życie. Ale poddawano ich też różnym badaniom medycznym. Wtedy wierzono np., że budowa ciała oraz kształt czaszki mają wpływ na osobowość, i zachowanie, więc dokonywano wielu pomiarów tego typu. Od tamtego czasu w medycynie i psychologii dokonał się ogromny postęp. Wiele idei umarło, a możliwości się zwiększyły. Dziś regularnie zapraszamy uczestników do laboratorium, gdzie m.in. badamy im krew pod kątem różnych czynników, np. zapalnych, robimy tomografię mózgu, pobieramy próbki włosów, by zmierzyć poziom hormonu stresu. Nie zmieniły się szczegółowe kwestionariusze oraz cykliczne wywiady połączone z obserwacją.

Takie spotkania odbywają się średnio co 12 lat, badania laboratoryjne – co pięć, kwestionariusze trafiają do uczestników co dwa lata. O co w nich pytacie?
– Najbardziej interesuje nas wszystko to, co wiąże się z tak zwanym dobrostanem. Pytamy o ich aktualny stan zdrowia – fizyczny, psychiczny, emocjonalny. Jak go oceniają i co ma największy wpływ na ich samopoczucie. Jak się czują w najważniejszych dla siebie relacjach, jaki jest ich stopień zadowolenia z pracy i jak tam się te relacje układają. Czy doświadczają jakichś trudności albo kryzysów. A jeśli tak, to jak sobie

z nimi radzą. W laboratorium podobnie – poddajemy ich różnym stresującym sytuacjom i sprawdzamy, jak reagują.

Na przykład?

– Dajemy im do rozwiązania trudne łamigłówki pod presją czasu. Prosimy, żeby wyobrazili sobie, że wygłaszają przemówienie w sali pełnej osób, które ich oceniają. Badamy, jak to na nich wpływa i jak szybko powracają do równowagi.

Wiele pytań jest nietrywialnych, np.: „Czego się najbardziej boisz?”, „Gdybyś obudził się z przerażeniem w nocy, to do kogo byś zadzwonił?”, „Na kogo możesz liczyć, gdy masz poważny kłopot?”. Chyba warto, żeby każdy z nas zadał sobie takie pytania.
– Cieszę się, że pani tak to widzi. Większość uczestników pytanych pod koniec życia, jakie znaczenie miał dla nich udział w badaniu, odpowiada, że jedną z największych zalet było to, że musieli poszukać odpowiedzi na te wszystkie pytania, co uczyniło ich bardziej refleksyjnymi. I po to m.in. napisaliśmy tę książkę: żeby inni też mogli podjąć taką refleksję.

Niektóre pytania są wyjątkowo wymagające. Poprosiliśmy np. osoby z drugiego pokolenia, żeby opowiedziały o wydarzeniu, które ich najbardziej doświadczyło, czymś dla nich najstraszniejszym. I opowiadali, jak towarzyszyli komuś w umieraniu, o momentach, w których ich życie było zagrożone, o traumatycznych związkach, po których długo się podnosili.

Pierwsi uczestnicy badania dorastali w czasach Wielkiego Kryzysu, dwie trzecie – w biedzie. Znacząca większość brała udział w wojnie. Tracili prace, bliskich,

chorowali. Jak podchodzili do tych zdarzeń ci najszczęśliwsi, a jak ci najmniej szczęśliwi?

– Odróżniają ich tak naprawdę dwie rzeczy. O pierwszej już powiedzieliśmy – ci pierwsi tworzą mocne więzi z innymi. Zwykle są dzięki temu zdrowsi i dłużej żyją.

Druga kwestia jest z tym powiązana, choć w nieoczywisty sposób. Mianowicie ludzie, którzy wydają się radzić sobie najlepiej, zazwyczaj stawiają czoła trudnościom, zamiast je ignorować albo udawać, że nie istnieją. To nie znaczy, że myślą o problemach 24 godziny na dobę, ale potrafią przyznać przed sobą: „To jest poważne. Prawdopodobniej wpłynie na moją przyszłość, więc muszę poszukać rozwiązania”. Sądźmy, że jednym z powodów, dla których ta umiejętność jest przydatna, jest to, że często wiąże się ona z zaangażowaniem innych ludzi.

Z umiejętnością proszenia o pomoc?

– W ogóle o wsparcie. Ludzie sprzyjają naszemu samopoczuciu na wiele sposobów. A jednym z nich jest to, że są pomocni w sytuacjach stresowych, gdy mierzymy się z wyzwaniami. Mogą wysłuchać, pomóc poszukać rozwiązania, pocieszyć, przytulić. Ale też wnieść własną perspektywę, np.: „Rozumiem, że się tym martwisz. Ale wydaje mi się, że w tej chwili nie widzisz tego we właściwych proporcjach. Większość osób daje sobie z tym radę. Teraz jest ci ciężko, ale zrobi się łatwiej, zobaczysz. I ty też przez to przejdiesz”.

W książce zestawiacie życiorysy dwóch bardzo różnych uczestników badania – Johna Marsdena i Leo DeMarco. Opowie pan o nich?

– Obaj wychowali się we względnym dobrobycie, z tym że John od dziecka miał kłopoty z nawiązaniem relacji. W szkole podstawowej mu dokuczano, dopóki nie wyrósł na dużego, silnego nastolatka. W liceum świetnie się uczył, dużo czasu spędzał na rozmyślniach, ciekawiły go różne idee, ale wśród rówieśników wciąż czuł się niepewnie. Jako nastolatek wyznał, że marzy o pracy, która pozwoli mu korzystać ze swojego umysłu i nie będzie musiał wchodzić w interakcje z innymi. Dostał się na Harvard. Na początku miał problemy z zaadaptowaniem się, ostatecznie jednak sobie poradził. Był znakomitym studentem.

Co studiował?

– Filozofię. Kiedy kończył studia, wybuchła wojna, więc zgłosił się na ochotnika. Ze powodu kłopotów zdrowotnych służył w USA, a po wojnie zdał na prawo. Skończył je z wyróżnieniem i rozpoczął imponującą karierę prawnika, pracując m.in. dla rządu. Jednocześnie relacje dalej mu się nie układały. Ani w pracy, ani w domu. Współpraca z innymi mu nie szła. Zawarł dwa małżeństwa, żadne nie było szczęśliwe. Czuł się niezrozumiany, niekochany i nie miał poczucia, że może się zwrócić o pomoc do którejś z żon. Miał dzieci, które się od niego odsunęły, i pod koniec życia niespecjalnie wiedział, co się u nich dzieje. Był jednym z najbardziej nieszczęśliwych uczestników badania.

A Leo DeMarco?

– Jego życie ułożyło się inaczej. Był dość dobrym studentem i znakomitym sportowcem. W szkole średniej zainspirowany przez nauczyciela zamarzył o zostaniu pisarzem. Bardzo interesowały go doświadczenia innych ludzi, chciał je zrozumieć i opisywać. Na Harvardzie studiował historię, a kiedy wybuchła wojna, wstąpił do marynarki i służył w Azji. Na polu walki prowadził skrupulatne notatki z nadzieją, że może kiedyś wyda książkę, był naprawdę utalentowany. Ale dostał wiadomość, że umarł mu ojciec, a mama jest chora na parkinsona, więc po służbie wrócił do rodzinnego Vermontu, żeby się nią zaopiekować. Tam poznał miłość swojego życia, ożenił się i został nauczycielem historii w lokalnej szkole średniej.

Przepracował w niej 40 lat, aż do emerytury. Nie żałował, że nie zdecydował się na pisanie, nie wyprowadził do dużego miasta? – Właśnie nie. Był niezwykle związany z rodziną, z uczniami i z lokalną społecznością. Jego relacja z żoną była pełna czułości i wzajemnego wsparcia. Był też blisko dzieci, a potem wnuków, które nazywał „dumą swojego życia”. W szkole go uwielbiano. Został mentorem dla nauczycieli, którzy stawiali pierwsze kroki w zawodzie, w ogóle często zasięgano jego rady. Był jednym z naszych najszcześniejszych uczestników.

DeMarco za każdym razem, gdy miał dokonać ważnego wyboru, wybierał relacje. Tak, jakby żył według zasady starożytnego chińskiego filozofa Laozi, która mówi, że im więcej dajesz innym, tym więcej posiadasz. – Ma pani całkowitą rację. W pracy np. nieustannie oferowano mu awans na stanowisko administra-

cyjne, z dużo większym zakresem obowiązków i prestiżem. Za każdym razem odmawiał, bo chciał jak najwięcej czasu poświęcić uczniom. Dbał też o to, żeby czas, który spędza z rodziną, był wartościowy. To nie znaczy, że fundował im jakieś niezwykle atrakcje. Po prostu był dla nich – słuchał, zadawał pytania, wspierał. W ogóle był uważny na innych. Kiedy się z nim rozmawiało, było czuć, że jest zaangażowany w 100 proc., a nie błądzi gdzieś myślami. Dlatego m.in. był tak lubiany.

Ta uważność to jedna z rzeczy, które wyróżniają najszcześniejszych uczestników badania. Piszecie: „Najszcześniejsi byli ci, którzy potrafili zmienić pytanie: »Co mogę zrobić dla siebie?« na pytanie: »Co mogę zrobić dla otaczającego mnie świata?«”. – Poczucie celu i sensu są bardzo ważne dla poczucia zadowolenia. Różnie można je osiągnąć, jednak wiele badań wskazuje na to, że najczęściej udaje się to wtedy, gdy doświadczamy świata jako czegoś większego od nas samych.

Kiedy wychodzimy z naszych głów i robimy coś, co przyczynia się do polepszenia życia innych.

W czasach, kiedy tyle uwagi poświęca się idei dbania o siebie, pomyśl, że troska o innych daje więcej szczęścia, może się wydać egzotyczny.

– Wiele badań, nie tylko nasze, pokazuje, że jeśli ofiarowujemy coś innym – nie tylko materialne rzeczy, ale też czas, uwagę, życzliwość, wdzięczność – to korzystają i te osoby, i my. Mamy więcej energii, lepszy nastrój, nasze więzi się wzmacniają. Zgadzam się z panią, że dziś tego nie doceniamy.

Wspomniała pani o skupieniu na sobie. Mam poczucie, że – w USA na pewno, choć podejrzewam, że w Polsce jest podobnie – nastąpiła pokoleniowa zmiana, która polega na tym, że jedną z najważniejszych wartości w życiu stała się wolność, możliwość decydowania o sobie. Częściowo wynika to z ogromnej niepewności co do przyszłości. Wiele młodych osób niepokoi się, co przyniesie, czy sobie poradzą, więc wołają nie podejmować zobowiązań, które sprawią, że inne ścieżki staną się dla nich niedostępne.

I to widać: ludzie zawierają małżeństwa później albo w ogóle. Decydują się na mniej dzieci albo wcale. Ogólnie mówiąc, często martwią się, że jak się w coś na poważnie zaangażują, to w przyszłości ominie ich okazja – lepsza praca, atrakcyjniejszy partner.

Oczywiście, jak się na coś decydujemy, to jednocześnie rezygnujemy z czegoś innego, ale wydaje mi się, że za bardzo zaczęliśmy przedkładać wolność nad więzi i wspólnotę. To ma swoją cenę.

Częstą wymówką jest też brak czasu. Częściowo to prawda, jesteśmy bardzo zapracowani, a z drugiej strony Amerykanie spędzają dziś w urządzeniach cyfrowych ok. 11 godzin dziennie. To czas poświęcony nie tylko na pracę czy załatwianie ważnych spraw, ale też na bezmyślne scrollowanie. A według raportu „Digital 2024” przeciętny Polak spędza w internecie 6 godz. 17 min, z czego prawie 2 godz. w portalach społecznościowych. Z ciekawości sprawdziłam, ile

razy sama wczoraj odblokowałam telefon – 90. I naszła mnie refleksja: a ile razy wczoraj dotknęłam swoich bliskich? – Piękny przykład. Szkoda, że nie daliśmy go w książce. I nawet jeśli nie dotykamy ekranu, mamy te telefony wciąż przy sobie. Słyszymy pikające powiadomienia, wibracje, to nas rozprasza. Niektórzy ludzie, rozmawiając z innymi, nie mogą się doczekać, aż znów wezmą telefon do ręki, bo boją się, że coś ważnego ich omija.

Z badań nad spędzaniem czasu wiemy, że Amerykanie coraz rzadziej spotykają się z innymi i zapraszają ich też do siebie. Młodzi ludzie spędzają średnio o 2 godz. mniej tygodniowo z przyjaciółmi niż jeszcze 20 lat temu. Dziś wielu nastolatków wraca po szkole do domu i resztę dnia spędza w urządzeniach cyfrowych. Prawdopodobnie wielu kontaktuje się w ten sposób ze znajomymi, jednak polega to na wymianie wiadomości, a nie na wspólnym byciu i doświadczeniu. Z badania przeprowadzonego w 2018 r. przez E.E. Lee i współpracowników wyni-

Przez 50 lat w naszych kwestionariuszach na pytanie „Czy masz przyjaciół?” odpowiadał „nie”, „nie”, „nie”. Aż nagle w wieku 70 lat odpowiedział „tak, kilku”

ka, że trzech na czterech dorosłych czuje się samotnie w stopniu umiarkowanym bądź wysokim.

To nie tylko nasz problem. Od kilku lat w tzw. krajach wysoko rozwiniętych mówi się o kryzysie czy wręcz epidemii samotności. Częściowo jest to związane z nowymi technologiami, a częściowo z większą mobilnością czy pracą zdalną.

Co tracimy przez tę nadzwyczajną relację z urządzeniami cyfrowymi?

– Powoli zanika umiejętność bycia z ludźmi. Bycia w pełni obecnym, czyli tego, w czym tak dobry był Leo DeMarco. Jestem wykładowcą od 30 lat i widzę po studentach, jakim wyzwaniem stało się dla nich utrzymanie uwagi czy zwyczajna rozmowa twarzą w twarz, tak ich umysły są rozbiegane. To zresztą nie tylko problem młodych. Kiedy jeżdżę z wykładami, często słyszę od ludzi, że gdy spotkają kogoś, kto jest w stanie usiąść naprzeciwko, posłuchać ich i się nimi zaciekać, to czują się tak, jak gdyby to było coś nadzwyczajnego.

Jakby to było święto.

– Tak! A przecież zawsze głównie w ten sposób się ze sobą kontaktowaliśmy. Też bywaliśmy zestresowani i rozkojarzeni, jednak dziś mamy coraz mniej okazji do takiej zaangażowanej wymiany. Dlatego powinniśmy świadomie zacząć tworzyć przestrzenie, które nam to umożliwią.

Bo zapośredniczony kontakt z drugim człowiekiem to nie to samo. Emocje są wtedy bardziej płaskie, no i nie możemy się dotknąć,

a dotyk ma ogromne znaczenie. Oddziałuje na nas nie tylko w wymiarze emocjonalnym, psychologicznym, ale także biologicznym. Intuicyjnie to czujemy, szczególnie kiedy zostajemy rodzicami. Trudno sobie wyobrazić, żeby niemowlę nauczyło się samo siebie koić bez naszego dotyku i ciepła, żeby bez tego czuło się bezpieczne.

Są też badania, które pokazują, jak wielką moc ma bliskość fizyczna, gdy jesteśmy dorośli.

Na przykład?

– Badacze z Uniwersytetu w Wirginii przeprowadzili eksperyment: zadawali uczestnikom ból rażąc ich prądem o niskim natężeniu, po czym umieszczali ich w aparacie do rezonansu magnetycznego. Pierwsza grupa w trakcie badania była sama. W drugiej uczestnicy trzymali za rękę obcą osobę, a w trzeciej kogoś bliskiego. Co się okazało? Otóż aktywność w obszarach mózgu odpowiedzialnych za przetwarzanie bólu była mniejsza u tych osób, które trzymały kogoś za rękę, szczególnie jeśli był to ich ukochany partner albo partnerka.

Czyli można powiedzieć, że dotyk ukochanej osoby działa na nas znieczulająco?

– Do takiego wniosku doszli badacze – że jego działanie można porównać do działania łagodnego środka przeciwbólowego. Jestem psychologiem klinicznym i nieraz widziałem, jakie cuda czyni dotyk rodzica, kiedy dziecko przechodzi przez bolesny zabieg w szpitalu – przebiega on wtedy znacznie płynniej. Dobrzy lekarze to wiedzą i kiedy pacjent się boi, dotykają jego ramienia albo w inny sposób uspokajają dotykiem.

Cały czas rozmawiamy o dobrych, wspierających relacjach, a co się dzieje, kiedy są one stresujące? Kiedy tkwimy w nieudanym związku albo w konflikcie z rodziną?

– Osłabia to nasz układ odpornościowy i jesteśmy bardziej podatni na infekcje. Ale nie tylko. Badania Janice Kiecolt-Glazer i jej męża Rona dowodzą, że u osób, które żyją w niesatysfakcjonujących relacjach, gdzie jest dużo napięcia, stresu, tempo gojenia się ran jest od siedmiu do dziesięciu dni dłuższe. Czyli jakość naszych relacji dosłownie zachodzi nam za skórę.

Bycie w trudnych relacjach zwiększa też poziom czynników zapalnych w organizmie, a stany zapalne są powiązane z chorobami starzenia się. Między innymi dzięki badaniom epigenetycznym zaczynamy te procesy coraz lepiej rozumieć. Jestem przekonany, że w ciągu kolejnej dekady dowiemy się jeszcze więcej o tym, jak relacje i emocje z nimi związane wpływają na nasze zdrowie fizyczne.

A skąd właściwie wiadomo, że poczucie szczęścia nie jest zapisane w genach? Być może John Marsden taki się urodził i niezależnie od tego, co by go spotkało, nie potrafiłby się otworzyć na relacje? A Leo DeMarco był na nie bardziej otwarty, bo przyszedł na świat z bardziej optymistycznym usposobieniem?

– Geny z pewnością odgrywają istotną rolę. Nie mam wątpliwości, że Leo DeMarco był szczęśliwy m. in. dlatego, że mu one sprzyjały. Różne badania pokazują różnie, najprawdopodobniej geny odpowiadają w 50 proc. za to, czy mamy poczucie satysfakcji w życiu, czy nie. A to oznacza, że mamy duże pole do działania. I że na poczucie satysfakcji wpływają jeszcze inne czynniki – warunki, w jakich żyjemy, czy podejmowane wybory.

A co pan powie komuś, kto miał traumatyczne dzieciństwo? Jego pierwsze i najważniejsze więzi były tak złe, że boi się bliskości. Niektórzy z takimi doświadczeniami dochodzą do wniosku, że nie ma już dla nich nadziei.

– Ależ jest! Wielu z naszych najszcześniejszych uczestników badań nie miało dobrego dzieciństwa. Oczywiście osoby, które miały uważnych, wspierających, kochających rodziców, mają w dorosłym życiu łatwiej. To nie znaczy jednak, że modele relacji, jakie ukształtowały się w naszym umyśle we wczesnych latach, nie mogą ulec zmianie. Na szczęście nasze mózgi są plastyczne. I jeśli ktoś źle traktowany jako dziecko rozwija w głowie zagrażający model relacji i świata, czyli oczekuje, że inni będą go tylko krzywdzić, zawodzić i wykorzystywać, to nie znaczy, że tak będzie już zawsze.

Jak to się może zmienić?

– Na przykład tak, że w dorosłym życiu spotka ludzi, którzy skorygują te doświadczenia. To może być partner, partnerka, przyjaciel, przyjaciółka, ale też psychoterapeuta. Dzięki dobrym związkom ludzie wcześniej poranieni zaczynają wierzyć, że nie wszyscy krzywdzą, wykorzystują i zawodzą. Piękno polega na tym, że w miarę rozwoju mamy możliwość wyciągnięcia bardziej pozytywnych lekcji.

Warto przypomnieć, że choć relacje są bardziej wymagające dla osób, które miały trudne początki, to one w ogóle są wymagające. Nie sposób w długim związku obywać się bez klótni czy różniczy zdań i preferencji. Poza tym ludzie rozwijają się w różnym tempie i nawet jeśli 20 czy 15 lat temu ich związek był niemal idealny, po drodze na pewno pojawiają się wyzwania. Ale umiejętności, które pozwoliły nam im sprostać, są dostępne

dla wszystkich. Wszyscy jesteśmy w stanie się nauczyć, jak uważniej słuchać ludzi, jak się na nich otworzyć i jak się nimi zaciekać.

I nigdy nie jest za późno?

– Nigdy. Pokazuje to choćby historia Andrew Dearinga. Jego życie przez większość badania należało do najbardziej samotnych i nie-szczęśliwych. Był wychowywany przez samodzielną matkę i jako dziecko wciąż się przeprowadzał, więc nigdzie nie zdążył zawrzeć znaczących więzi. Kiedy dorósł, też nie potrafił znaleźć sobie przyjaciół. Ożenił się po trzydziestce, lecz jego żona też nie utrzymywała praktycznie żadnych kontaktów, więc z nikim się nie spotykała. Małżeństwo nie było szczęśliwe, żona była bardzo krytycznie do niego nastawiona i jedynym źródłem jego radości była jego praca.

Andrew był utalentowanym zegarmistrzem i lubił kontakt z klientami. Niestety, po 60. roku życia pogorszył mu się wzrok, ręce przestały być sprawne, więc musiał zrezygnować z pracy. To był najgorszy okres w jego życiu. W końcu postanowił wyprowadzić się od żony i został sam. Wtedy lekarz powiedział, że zdrowie mu się pogarsza, i kazał mu się ruszać.

Andrew zapisał się na siłownię.

– I początkowo chodził tam bardzo niechętnie. Z czasem zauważył, że spotyka te same osoby i odważył się odezwać. Wszyscy byli młodszy, ale Andrew zainteresował ich swoją miłością do kina, szczególnie do starych filmów. Zakolegowali się i zaczął ich zapraszać na wspólne oglądanie. Przez ponad 50 lat w naszych kwestionariuszach na pytanie: „Czy masz przyjaciół? Czy ktoś cię wspiera?” – odpowiadał „nie”, „nie”, „nie”. Aż w końcu, w wieku prawie 70 lat – odpowiedział „tak, kilku”.

Piszecie, że sprawność społeczna, czyli umiejętność zawiązywania i podtrzymywania relacji, jest równie ważna, jak sprawność fizyczna. Jak ją praktykować?

– Jest mnóstwo sposobów. Możemy się odezwać do osób, które są albo były dla nas ważne, które ceniśmy i chcielibyśmy z nimi spędzać więcej czasu. Zadzwoń i powiedz np.: „Nie rozmawialiśmy od kilku miesięcy. Tęsknię za naszymi rozmowami”. Albo: „Nie słyszeliśmy się od trzech lat. Kiedyś byliśmy sobie bliscy. Przykro mi, że tak się to rozeszło. Może masz ochotę się spotkać?”. Możemy starać się być bardziej obecni, jak Leo DeMarco. Odłożyć „rozpraszacze” i zaciekać się drugim człowiekiem. Dowiedzieć się, co myśli, co jest dla niego ważne, czym się martwi, o czym marzy.

Wszyscy chcemy być widziani, słyszani i rozumiani, coraz trudniej jednak nam tego doświadczyć. I kiedy ludzie mówią, że czują się samotni, to właśnie to mają na myśli. To, co możemy sobie nawzajem dać, to uwaga.

Jak pisała filozofka Simone Weil: „Uwaga to najrzadsza i najczystsza forma hojności”.

– I to jest ten rodzaj podarunku, z którego korzystają obydwie strony. Poświęcając drugiemu człowiekowi czas i uwagę, sami dostajemy zastrzyk energii. Jestem wykładownicą. Niektóre moje zajęcia są bardzo liczne, podobnie jak

spotkania z czytelnikami. Ale tym, co najbardziej lubię w tej pracy, jest bezpośredni kontakt z ludźmi, możliwość wysłuchania ich pytań i zadania im pytań, ta autentyczna wymiana. Dlatego zawsze przychodzę na zajęcia trochę wcześniej i zostaję trochę dłużej.

Wydaje nam się często, że tzw. słabe więzi, czyli relacje z sąsiadami, ze sprzedawcami z okolicznych sklepów, z listonoszem czy panią z osiedlowej kawiarni, nie mają specjalnie wpływu na nasze samopoczucie...

– ...i bardzo się mylimy. W psychologii ten obszar badań nazywa się „prognozowaniem afektywnym”. Zajmuje się m.in. tym, co nam się wydaje, że nas uszczęśliwi czy też będzie dla nas przyjemne, a co nas uszczęśliwia naprawdę. I błędem, który nagminnie popełniamy, jest to, że bagatelizujemy korzyści płynące z kontaktu z innymi i wyolbrzymiamy potencjalne zagrożenia czy minusy z nim związane.

Powiedzmy, że mówię żonie: „Nie idę na to przyjęcie. Jestem zmęczony i chcę pobyć sam. Poza tym ci ludzie nie są zbyt interesujący ani nie uznają mnie za zbyt interesującego”. Ale żona nalega: „No chodź! Rozmawiamy o tym, od dwóch tygodni”, więc się zbieram i idę. Po czym okazuje się, że dobrze się bawię! I mam z tego przyjemność. Bez przerwy to robimy – złe prognozujemy.

Albo inny przykład – dojazd do pracy podmiejskim pociągiem. Badacze z Uniwersytetu Chicagowskiego spytali uczestników eksperymentu, co będzie bardziej pozytywnym doświadczeniem – rozmowa z nieznanym czy zajęcie się własnymi sprawami. Przytaczająca większość uznała, że to drugie. Następnie podzielili ich na dwie grupy. Pierwsza miała nawiązać rozmowę ze współpasażerem, druga nie wdawać się w żaden kontakt. Okazało się, że ich przewidywania się nie sprawdziły. Ci, którzy nawiązali rozmowę z sąsiadem, w większości uznali to doświadczenie za pozytywne. Co więcej, osoby, które miały zwyczaj pracować w pociągu, stwierdziły, że rozmowa z nieznanym wcale nie sprawiła, że były mniej produktywnie.

„Słabe więzi” są cenne z kilku powodów. Po pierwsze, przypominają nam, że świat jest większy niż my sami. Pogawędka ze sprzedawcą czy z sąsiadem daje nam poczucie przynależności, co jest niezwykle ważne. Podobne uczucie możemy uzyskać na wydarzeniu sportowym, gdzie wspólnie z innymi kibicujemy „naszej” drużynie.

A po drugie, jest coś magicznego w tym, jak obcy ludzie się przed nami odsłaniają i jak dzięki temu odkrywamy pewną wspólnotę doświadczeń.

Co ma pan na myśli?

– Powiedzmy, że od dwóch lat chodzi pani do tej samej kawiarni, gdzie obsługuje panią miła baristka, lecz do tej pory poza złożeniem zamówienia nie przyszło pani do głowy z nią porozmawiać. Aż któregoś dnia pani to robi i okazuje się, że ona też ma nastoletnie dzieci i psa albo też interesuje się ogrodnictwem.

Takie odkrycia dodają energii i poprawiają nastrój obydwu stronom. Ludzie potrafią opowiadać o tych spotkaniach i cieszyć się nimi całymi tygodniami.

Jest jeszcze jedna korzyść z takich interakcji. W ten sposób mamy okazję poznać osoby spoza naszej „bańki”. W spolaryzowanym świecie to wartość.

– Dokładnie. Badania pokazują, że tego typu znajomości umożliwiają nam zetknięcie z innymi poglądami czy stylami życia. Pozwalają zrozumieć doświadczenia, które różnią się od naszych.

To szczególnie cenne w przypadku osób, u których obraz świata i innych kształtuje się głównie na podstawie tego, co zobaczą albo przeczytają w serwisach społecznościowych.

I jeszcze jedno. Bezpośredni kontakt ze „słabymi więziami” po tym, gdy odkryjemy, że coś nas jednak łączy, budzi empatię. To sprawia, że kiedy te osoby powiedzą coś, z czym się nie zgadzamy, co wzbudza nasz sprzeciw, jest o wiele mniej prawdopodobne, że uniesiemy brew, myśląc: jak ona może w to wierzyć?! A bardziej prawdopodobne, że uznamy: „Anna wydaje się w porządku. Musi w to wierzyć nie bez powodu” – i zaciekawimy się tym, dlaczego tak jest. Innymi słowy, dzięki kontaktowi ze „słabymi więziami” stajemy się bardziej tolerancyjni.

Myślę, że między innymi przez to, że coraz rzadziej wchodzimy w interakcje z innymi ludźmi w naszych społecznościach w czasie rzeczywistym, mamy do czynienia z taką polaryzacją. Bo staliśmy się bardziej podejrzliwi i rzadko konfrontujemy przekonania z rzeczywistością.

Jak to badanie zmieniło pana nastawienie do życia?

– Kiedy w piątkowy wieczór czuję się bardzo zmęczony całym tygodniem, a znajomy albo rodzina namawiają mnie na wspólne wyjście, zamiast zostać w domu, myślę: „Pójdę choć na chwilę. Spróbuję”. W ogóle staram się być bardziej towarzyski i nie chodzi tylko o imprezy czy prośzone kolacje, ale też o regularne podtrzymywanie kontaktu z przyjaciółmi. To jest coś, o co świadomie dbam i co planuję. A nie liczę na to, że spotkamy się, jak się nadarzy okazja.

Poza tym badanie, w którym przyglądamy się ludziom przez całe ich życie, uświadomiło mi, jakie jest ono krótkie. Nawet jeśli któryś z naszych uczestników dożywa setki, to nadal krótko. Młodzi ludzie często wychodzą z założenia, że na relacje przyjdzie czas, teraz liczą się praca, przyjemności, ustalenie się w życiu. A potem nagle się okazuje, że mają 40 czy 50 lat, wokół nich jest pusto i nie bardzo wiedzą, co z tym zrobić. ●



FOT. ANIN CHWATSKY

Marc Schulz

• Psycholog, zastępca dyrektora „Harwardzkiego badania rozwoju osób dorosłych”, współautor – wraz z psychiatrą Robertem Waldingem – książki „Dobre życie. Lekcje z najdłuższego na świecie badania nad szczęściem”

REKLAMA

Kraj/34363128



**TYGODNIK
POWSZECHNY**

ANNA GOC, dziennikarka.
Na zdjęciu z redaktorem-seniorem
ks. Adamem Bonieckim w redakcji „Tygodnika”.

FOT. GRAŻYNA MAKARA

*Dla „Tygodnika
Powszechnego” opisuję
historie ludzi i zwierząt.
Dzięki reportażom jesteśmy
blisko nich. Moja redakcja
wierzy, że takie teksty
mogą naprawić świat.
Twoje 1,5% to pewna
inwestycja w rzetelne
dziennikarstwo społeczne.*

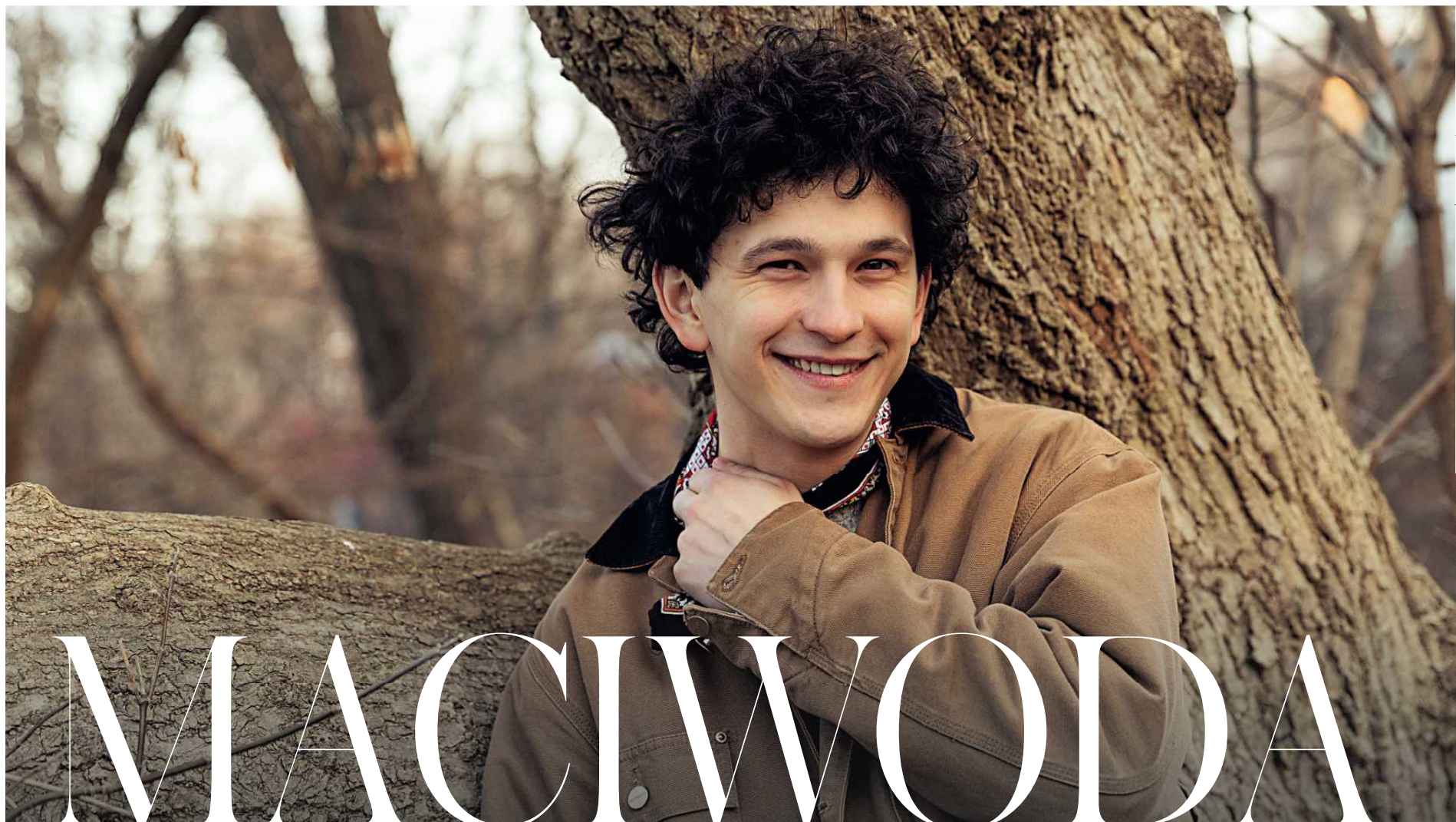
**Rozliczasz PIT? To proste,
a Twoje wsparcie ma realną moc.
Masz pytania?
Zadzwoń: 12 426 53 31
Lub napisz: fundacja@tygodnikpowszechny.pl
– chętnie pomożemy!**

1,5%

**t/ Fundacja
Tygodnika
Powszechnego**

» KRS 0000 125 605

**Twoje wsparcie pozwala
zmieniać świat. Naprawdę**



FOT. DAVID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Chodziłem w długich włosach, dziwnych strojach. I się biłem. Ze dwa razy miałem złamany nos, raz rękę, raz nogę, rozbitą głowę – do dziś mam bliznę. To się zmieniło, kiedy odkryłem teatr.

Z AKTOREM **IGNACYM LISSEM**
ROZMAWIA **MAJA STANISZEWSKA**

To jest twój moment – w kinach film „Światłoczuła”, w którym grasz główną rolę, w serwisie Prime Video program „LOL: Kto się śmieje ostatni” z twoim udziałem, na Netflixie film „Idź pod prąd”, w którym wcielasz się w lidera zespołu KSU, Jak się z tym czujesz?

– To duża presja. Jeszcze niedawno byłem po prostu świeżą twarzą na ekranie, a teraz czytam, że ludzie chcą, żebym pokazał coś innego, coś bardziej. W jednej z recenzji „Światłoczułej” przeczytałem, że Liss bardzo potrzebował tego filmu, żeby w końcu pokazać coś innego niż zwyczajowe emploi.

Więc wchodzę w ten rok ze świadomością, że kończę 27 lat, zaznaczyłem się jakoś na mapie filmowej w Polsce i muszę wierzyć w siebie. I trochę się odciąć od opinii, które mogą storpedować moje poczucie własnej wartości.

A jednocześnie jestem dumny, bo wymyśliłem sobie, że będę aktorem, sześć lat temu przyjechałem do Warszawy do szkoły teatralnej, a dzisiaj z tego żyję.

W lutym skończyłeś 27 lat i już ktoś napisał, żebyś zagrał „coś innego”?

– No to niby jedno zdanie, ale kielkuje. W recenzji „Znachora” dwa lata temu ktoś napisał, że wszyscy świetni, tylko ten hrabia jakiś błąd. To są małe rzeczy i powinniśmy być oczywiście na nie odporni, ale zderzenie się z taką opinią smuci, powoduje zwątpienie. Wierzyłem w ten film, byłem z niego dumny, a teraz bywa, że boję się cieszyć.

Nie chcę robić z siebie męczennika, ale niewiele jest zawodów, w których człowiek aż tak się obnaża. A ktoś skwituje jednym słowem: gniot.

Dlatego, choć jestem bardzo szczęśliwy i dumny z filmu „Światłoczuła”, to podchodzę do tego z dystansem, bo wiem, że takie przywiązanie może mnie kosztować.

Podoba mi się, że „Światłoczuła” jest melodramatem. Nie pamiętam, kiedy widziałam polski film, który byłby tak bezwstydnie o miłości.

– To był chyba klucz do tego filmu, żeby nie pozorować, że to będzie film społeczny, który zmieni podejście do osób niewidomych. To jest film o relacji. Mamy dwójkę bohaterów, z których to ten, który widzi, potrzebuje pomocy. Tak starałem się portretować Roberta. Fajne jest w nim, że nie jest za bardzo do lubienia. Jest bucowaty, nie wie, jak podejść do tematu, gdy się orientuje, że Agata, która mu się spodobała, jest niewidoma. I to on jest zamknięty i musi się uczyć od Agaty samoakceptacji.

Jeśli ma być nie do lubienia, nie powinien mieć twojego uśmiechu...

– Tyle że się pilnowałem i ten uśmiech się pojawia może ze dwa razy. Robert uśmiecha się do mamy i gdy się zakochuje. A potem znowu wraca jego maska. Ma traumę, boi się, ukrywa przed światem uczucia.

To właśnie mama mówi do Roberta, gdy odkrywa, że zakochał się w niewidomej dziewczynie: „Łatwa miłość to żadna miłość”. Zgadzasz się z tym?

– Dla mnie „łatwa miłość” to znaczy miłość szybka, przelotna. Zakochanie. Jeszcze parę lat temu miałem właśnie taki obraz: zakochujemy się i biegamy razem po polu za rękę, zrywamy kwiatki, ja mówię, że mogę zrobić dla ciebie wszystko, że jak będzie się palił dom, to wezmę cię na ręce i wyskoczę z drugiego piętra i telemarkiem wyładuję.

A dzisiaj po prostu wiem, że miłość to coś o wiele więcej. Dla niej żyję. Jestem żonaty od trzech miesięcy i wszyscy się dziwią, dlaczego tak szybko. A dla mnie właśnie „łatwa miłość to żadna miłość”.

Małżeństwo to co innego, to ciągła praca, ale miłość?

– Moi dziadkowie są ze sobą ponad 50 lat. Wiem, że przez tyle lat ludzie bardzo się

zmieniają, są kimś innym niż wtedy, gdy brali ślub, ale dalej wybierają, żeby być ze sobą. Dla mnie trudna miłość to taka, która walczy o to właśnie, żeby być ze sobą, wspierać się, problemy rozwiązywać, a nie uciekać. Miłość, która trwa.

W tym zawodzie są rzeczy, które mogą komplikować małżeństwa, choćby nieregularny czas pracy, długie wyjazdy...

– ...i bodźce. Ciągłe bodźce. Jesteśmy stymulowani nowymi relacjami, poznajemy ludzi, coraz młodszych, coraz piękniejszych i bardziej fascynujących. Żyjemy się ze sobą na czas planu filmowego czy prób w teatrze. Trzeba być bardzo uważnym, żeby się nie odkleić. Bo łatwo wpaść w taką pułapkę, że zostawiasz swoje życie gdzie indziej i skupiasz się na tym, co tu i teraz.

Permanentne wyjazdy integracyjne?

– Z atrakcjami i pokusami. I nie chodzi tylko o relacje romantyczne. Jesteś wręcz uzależniony od poznawania nowych ludzi, bo to cię stymuluje, daje tę energię. Łatwo się uzależnić od tego ciągłego haju, trudniej jest stworzyć relację trwałą.

Bo w domu szara rzeczywistość?

– Szara rzeczywistość, która jest piękna.

Mówiłeś o relacjach intymnych, o ciele. Masz sceny miłosne w „Znachorze”, masz w „Światłoczułej”...

Wierzę w dobro i miłość.

Wierzę w Boga

i to też mnie ustawia

w relacji ze światem.

Myszę, że w moim środowisku

– środowisku młodych

artystów

– powiedzenie, że się chodzi

do kościoła,

to jest najtrudniejszy

coming out

– ...praktycznie w każdym filmie, w jakim brałem udział. To wyzwanie, ale dzięki temu, że jest trochę jak kaskaderka, to znaczy, że każdy ruch jest zaplanowany tak, żeby być bezpiecznym, to staje się łatwiejsze.

Nie znasz planów filmowych sprzed pojawienia się koordynatorów intymności?

– Oj, dobrze znam. Dostałem w kość. Byłem jeszcze w szkole, miałem 19, może 20 lat, gdy w filmie miałem scenę seksu z kobietą w wieku mojej mamy. I nie było koordynacji intymności, była po prostu sytuacja, że trzeba się rozebrać do naga, położyć i udawać ruchy kopulacyjne. Po planie miałem gorączkę, odchorowywałem to. To był niezależny film, mniejsza o tytuł.

Chyba bardzo niezależny, od zdrowego rozsądku też.

– Byłem młodym aktorem i brałem, co mi dawali. Chęć bycia na planie przewyższała wszystko. Ale to było trudne, bo przekroczyłem swoje granice nie komfortu, tylko człowieczeństwa. Pamiętam zawstyżenie, nawet dezorientację, bo myślałem, że jestem w stanie wszystko zrobić. Jakoś sobie z tym poradziłem, ale gdy pojawiła się koordynacja intymności, zostałem jej wielkim fanem.

Grając sceny z Matyldą Giegiżno w „Światłoczułej”, byliśmy nadzy obok siebie, tzn. prawie nadzy, bo są specjalne taśmy czy cielisty bielizna do zasłaniania stref intymnych, ale to nie jest naturalna sytuacja. Ktoś kręci, ktoś jest blisko, patrzy na ciebie, ty dotykasz, całujesz, masz coś przeżyć, masz się podniecić, ale z drugiej strony stresujesz się, bo nie chcesz naprawdę się podniecić. Więc to wszystko jest serio, ale nie do końca.

Mamy coś takiego, co się nazywa neutralizacją dotyku, i to rzeczywiście działa. Rozmawiamy o tym, gdzie nie chcemy być dotykani, a gdzie dotyk jest OK. Trudno się o tym mówi, ale też pod okiem koordynatora jest to zbliżające. Więc dobrze, żeby był psychologiem, fajnie, gdyby był aktorem. I są takie osoby – Marta Zygadło i Kaja Wesolek, Marta jest z wykształcenia aktorką, Kaja psychologiem, tworzą świetny duet. Zrobiłem z nimi już parę filmów i bardzo mi pomogły.

Trudniej jest powiedzieć, że dotyk jest miły, czy że się brzydzisz?

– Ja się nie brzydzę ludzi. I raczej walczyłem, żeby być profesjonalnym w tym dotyku i uczciwie podejść do kręcenia sceny. Uczci-

wie powiedzieć koleżance: „Przepraszam, jesteś atrakcyjna, i kiedy dotykam twojej piersi, to na poziomie najbardziej ludzkim to jest trochę przyjemne”. Człowiek się stresuje, ale to ma być po prostu kolejne zadanie aktorskie. I to się da zrobić, tylko trzeba mieć dużo otwartości na partnera.

Skąd wzięłeś taką otwartość?

– Z domu. Zawsze byliśmy otwarci, klóciliśmy się, mówiliśmy, co nas boli, co wkurza. Nie było tematów zamiatanych pod dywan. Zasada była taka, że nie idziemy spać pokłóceni. Co ma swoje plusy i minusy, bo dzisiaj czasem męczę moją żonę, która mówi: „Już rozumiem, chodźmy spać”, a ja na to: „Nie, musimy to wyjaśnić”.

Zauważyłem, że ta otwartość pomaga mi w codzienności. Kiedy człowiek tłumi w sobie emocje, to go psuje od środka. Nie chodzi o to, żeby wszystkim rzucać w twarz, co czuję, tylko żeby cały czas być z tym w kontakcie. Jestem raczej człowiekiem radosnym i lubię ludzi.

Nie boisz się, że dzisiejszy świat wykorzysta to przeciwko tobie?

– Absolutnie. Ale ja wybieram naiwność. Wierzę w ludzi. I wierzę w to, że większość z nas ma dobre intencje.

Poza politykami. Nie wierzę, że mają dobro naszego kraju albo dobro świata na pierwszym miejscu.

Ale na wybory pójdziesz?

– Zawsze chodzę. Głosuję i uważam, że to jest nasz obowiązek.

Co ci pomaga zachować optymizm?

– Staram się patrzeć na to, co dobrego się przytrafia dzisiaj. Kto mi życzył dobrego dnia, kto się do mnie uśmiechnął na ulicy.

Choć zauważam, że im bardziej rozwija się moja kariera, tym częściej dopada mnie chandra, zaczynam wątpić w to wszystko, ale trzymam się i wierzę w to, wierzę w dobro i w miłość. To jest chyba też kwestia tego, że wierzę w Boga, i to też mnie ustawia w relacji ze światem. Dla mnie to Bóg jest centrum. Bóg jest miłością.

To nie jest dziś częsta deklaracja.

– Trzeba wytyczać trendy, a nie za nimi podążać. Świadomie mówię w wywiadzie, że wierzę w Boga, bo wiem, że jest mnóstwo ludzi, którzy mają potrzebę duchową,

Nie jestem zwolennikiem hedonizmu, mówienia, że „kieruję się swoimi potrzebami, słucham swojego ciała i za nim podążam”. Nie kieruję się tylko swoimi instynktami, wierzę w pracę nad sobą. Wierzę w to, że warto kształtować swój charakter, bo dzięki temu możemy tworzyć świat lepszym. Inwestować naszą ciężką pracę w coś, w co wierzymy, i nie poddawać się. I właśnie dla mnie czymś takim jest wiara.

Wielu rzeczy nie rozumiem, ale świadomie podążam za tymi prawami, ponieważ wierzę, że one mnie jakoś kształtują. Mnie – człowieka. I po prostu nie uznaję, że jestem najmądrzejszy, tylko że byli ode mnie mądrzejši.

A ta wiara skąd? Też z domu?

– Zostałem wychowany w wierze katolickiej, ale na pewnym etapie to się skończyło. Na studiach nierzaz byłem wyrzucany z konfesjonału. Usłyszałem na przykład, że powinienem przejść na islam, bo „nie szanuję kobiet”. A chodziło po prostu o jakieś całowanie w szkole za kurtyną. Ksiądz stwierdził, że mnie nie rozgrzeszy.

Moja historia z wiarą nie jest taka, że jestem wierzący, bo jestem do tego przyzwyczajony i mnie rodzice tego nauczyli i w sumie nie mam swojego mózgu. Nie, ja absolutnie mam świadomość tego, że Kościół jest grzeszny. Jak my wszyscy. Nie jesteśmy z natury zli, ale mamy w sobie zło, robimy złe rzeczy.

To był wybór. Trudny wybór, ale uważam, że słuszny, bo gdyby nie wiara, na pewno nie byłbym tu, gdzie jestem, nie udzielałbym wywiadu, nie mówilibyśmy o filmach i o teatrze.

Dlaczego?

– Mam skłonność do uzależnień. Mam coś takiego w sobie, że mógłbym zostać przytłoczony przez świat. Jestem pod wrażeniem osób, które nie mają wiary czy autorytetów w życiu, a są w stanie same wytworzyć sobie kręgosłup i nie ulegać pokusom. Ja nie jestem tak skonstruowany, dlatego mnie wiara jest potrzebna.

Gdybym nie mógł powiedzieć na koniec dnia: „Panie Boże, powierzam Ci wszystkie moje zmartwienia, namieszałem znowu, zajmij się tym”, to nie wiem, co bym zrobił. Nie chcę zgadywać, gdzie bym był.

A co z Kościołem instytucjonalnym?

– Chyba nie ma drugiej organizacji, z którą miałbym tyle problemów, którą bym uważał za tak zepsutą jak Kościół. Może tylko polityka jest gorsza.



FOT. KINO ŚWIAT

• **„Światłoczuła” (reż. Tadeusz Śliwa).** Jako uznany fotograf Robert, który zakochuje się w niewidomej Agacie (Matylda Giegiżno). I to od niej uczy się samoakceptacji i odwagi

• **„Znachor” (reż. Michał Gazda).** Jako hrabia Leszek Czyński, który z miłości do feminizującej Marysi Wilczurówny (Maria Kowalska) porzuca pozę lekkoducha



FOT. BARTOŚZ MROZOWSKI/NETFLIX

Ale nie ma też drugiej takiej organizacji, w której czułbym się jak w domu, w której wiem, że spotykam się z Panem Bogiem. Jestem tam, w grupie ludzi, którzy przyszli po to samo. I nawet, jeśli pięcioro z nich nie jest tu po to, to dalej nas jest 50.

A jeśli ten przy ołtarzu też nie jest po to?

– On nie jest najważniejszy. On jest pośrednikiem. Tak samo w konfesjonale.

Kościół jest czymś o wiele potężniejszym niż ty czy tamten ksiądz, parę dewotek, skrajnych prawicowców i radykałów, którzy mówią innym, jak mają żyć. To siła, która daje mi napęd do życia. To organizacja, która wypuściła najgorszych grzeszników, ale też jako jedyna wypuszcza świętych.

Nikogo nigdy bym nie zmuszał, żeby w nim być, ale nie chcę też być rozliczany z tego, że ja jestem. W każdej organizacji są ludzie, którzy czynią zło, w każdej dochodzi czasem do karygodnych sytuacji. Jednak jesteśmy w nich, uczestniczymy w tym życiu.

Zdarzało się, że ktoś cię rozliczał?

– Wiele razy. „Ignacy, ty, taki młody człowiek, do kościoła? No przestań, jesteś taki fajny”. Myślę, że w moim środowisku – środowisku młodych artystów – powiedzenie, że się chodzi do kościoła, to jest najtrudniejszy coming out.

Ale robię to i spotykam się z krytyką, nagle jestem zobowiązany do odpowiedzi na wszystkie pytania dotyczące otaczającej nas rzeczywistości czy grzechów Kościoła. Ale ja czy muszę na wszystko znać odpowiedź?

To jest moja ścieżka, ona mnie kształtuje i wzmacnia, ale nie znam odpowiedzi na wiele pytań. Próbuję to jakoś przełożyć, bo gdy ludzie są z jakiejś organizacji, choćby nawet z teatru, gdzie dochodziło do przemocy, to słyszą raczej: „Stary, trzymaj się, fajnie, że jesteś, nie daj się tam złamać”, a u mnie jest odwrotnie – od razu atak.

Przykre.

– Ale to się zmienia. Poznają coraz więcej młodych ludzi, którzy wracają do Kościoła. I wcale się nie dziwię, bo każdy ma jakąś potrzebę duchowości.

dowano Gdyńskie Centrum Filmowe, zacząłem grać i tam. Miałem 16 lat.

Postanowiłeś zdawać do szkoły aktorskiej.

– Bardzo chciałem się dostać do Krakowa, wydawał mi się takim miejscem artystów. Ale potem pomyślałem, że Warszawa to wejście w paszczę lwa, że to tutaj trzeba się zakręcić, żeby mieć pracę. Już na pierwszym roku poszedłem do agencji aktorskiej, dostawałem propozycje i wchodziłem we wszystkie. Chciałem się i uczyć, i już pracować. W szkole grozili, że mnie wyrzucą, albo wstawiali minus tróję z egzaminu. Ale trafiłem na genialnego rektora – Wojciecha Malajkata – człowieka naprawdę z powołania na swoim miejscu, który pomagał mi wszystko ułożyć.

To ogromny przywilej studiować aktorstwo. Tylko trzeba mieć zdrową relację ze szkołą i zdrowy rozsądek. Wiele trudnych sytuacji artystycznych, ale i sytuacji odrzucenia, w szkole można przećwiczyć. Szkoła jest też po to, żeby się z nią ścierać.

Cóż, mówisz, że zawsze się rwałeś do bitki. Ale nie wszyscy tacy są.

– Nie wszyscy się nadają do bycia aktorem. Znasz to powiedzenie, że jak się ma miękkie serce, to trzeba mieć twardą... Jesteśmy wszyscy bardzo przewrażliwieni na swoim punkcie, ale jednak jakieś predyspozycje trzeba mieć. Bo nie przetrwasz, zwariujesz. Ja naprawdę jestem odporny, a i tak mam momentami duże zwątpienia.

Zeszły rok był dla mnie bardzo trudny. Porównywanie się, swojego ciała i wyglądu. Nieustanna walka, żeby wierzyć w siebie i żeby nigdy, absolutnie nigdy, nie uzależniać swojego poczucia własnej wartości od opinii innych. Samemu trzeba wykonać tę ciężką pracę i to poczucie znaleźć w sobie.

Z kim się porównywałeś?

– Z wyglądu? Na przykład z Tomem Hollandem w filmach o Spidermanie.

A masz jakiś aktorskich idoli?

– Janusz Gajos. Zbyszek Cybulski. Aktorzy stuprocentowi. James Dean. Jan Kobuszewski. Kolega z Teatru Polskiego Szymon Kuśmider. Dyrektor Andrzej Seweryn – on jest geniuszem aktorskim.

Ewan McGregor. Florence Pugh – uwielbiam ją, jest ekstra, łamie schematy. Zendaya jest bardzo inspirująca – z dziewczyny z seriali Disney Channel stała się aktorką. No i Brad Pitt, od zawsze.

Zasadniczo aktorzy, których cechuje swoboda, odwaga bycia sobą. Też bym chciał być takim aktorem.

Dlaczego zdecydowałeś się na etat w teatrze? Nie boisz się, że poza ciekawymi rolami będziesz musiał grać halabardnika?

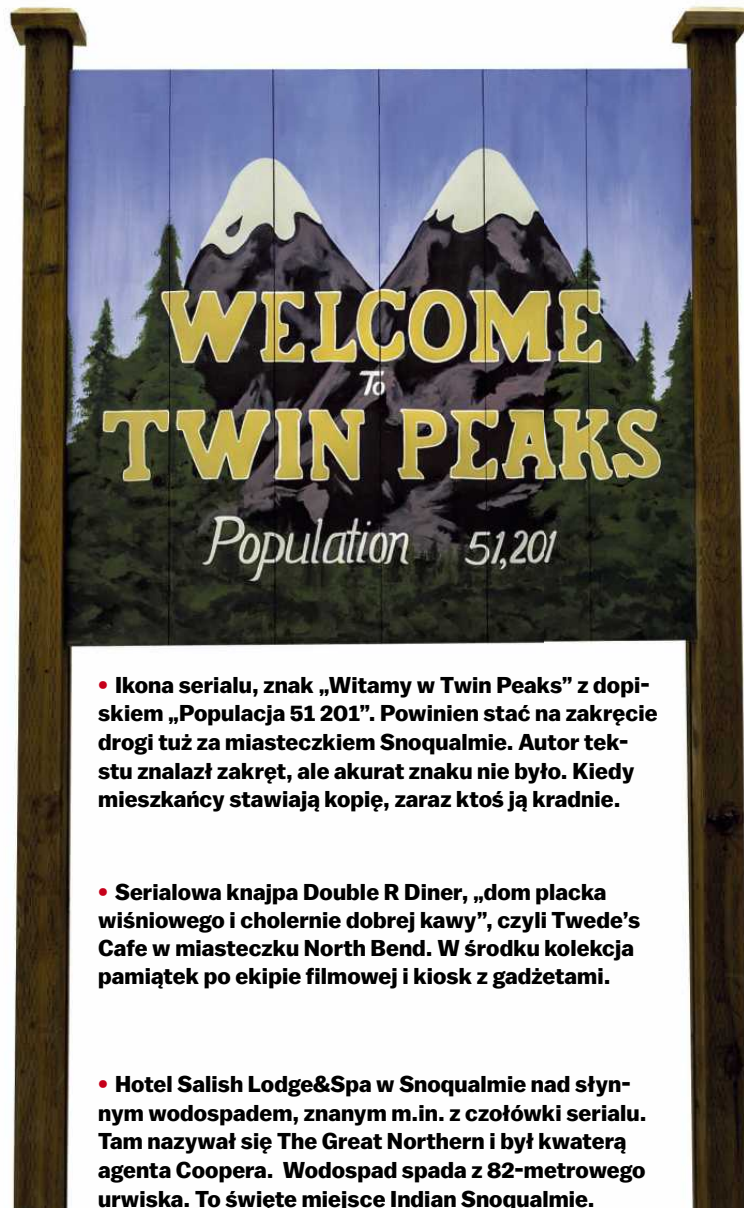
– Z przyjemnością to zrobiłem w „Henryku IV”! Zapraszam na spektakl, mam w nim dwie sceny.

Dla mnie to maraton, a nie sprint. Zagrać takiej malutkiej rólki uczy pokory, daje mi kontakt z bazą. Bo teatr jest miejscem, w którym się cały czas kształtuje jako aktor. Teatr jest domem aktora, prawdziwego aktora z krwi i kości, a takim chcę być.

Na razie jestem klasyfikowany jako wesoły, młody chłopaczek. Wkurza mnie to. ●

Ignacy Liss

• Rocznik. 1998 r. Pochodzi z Tczewa, absolwent Akademii Teatralnej w Warszawie, aktor warszawskiego Teatru Polskiego. Wystąpił m.in w filmach „Marzec 68” i” Zadra „(2022), „Fanfik „(2023) oraz w serialach „Teściowie” (główna rola) i „Sortownia”(2023). Popularność przyniosła mu rola hrabiego Czyńskiego w nowej wersji „Znachora” (2023, Netflix). Najnowsze filmy to „Światłoczuła” (w kinach) i „Idź pod prąd (Netflix).



• Ikona serialu, znak „Witamy w Twin Peaks” z dopiskiem „Populacja 51 201”. Powinien stać na zakręcie drogi tuż za miasteczkiem Snoqualmie. Autor tekstu znalazł zakręt, ale akurat znaku nie było. Kiedy mieszkańcy stawiają kopię, zaraz ktoś ją kradnie.

• Serialowa knajpa Double R Diner, „dom placka wiśniowego i cholernie dobrej kawy”, czyli Twede’s Cafe w miasteczku North Bend. W środku kolekcja pamiątek po ekipie filmowej i kiosk z gadżetami.

• Hotel Salish Lodge&Spa w Snoqualmie nad słynnym wodospadem, znanym m.in. z czółówki serialu. Tam nazywał się The Great Northern i był kwaterą agenta Coopera. Wodospad spada z 82-metrowego urwiska. To święte miejsce Indian Snoqualmie.

Jarek Szubrycht

„Diane, jest 11:30, 24 lutego. Wjeżdżam do miasteczka Twin Peaks”

Po raz pierwszy te słowa padły z ust agenta Dale’a Coopera 35 lat temu. Serial stacji ABC witano wtedy euforycznie, ale że z odcinka na odcinek był coraz bardziej ekscentryczny, publiczność zaczęła odpływać i produkcję skasowano po dwóch sezonach (w sumie powstało 30 odc.).

A jednak „Twin Peaks”, przełomowe dzieło Davida Lyncha i Marka Frosta, przetrwał. Nie tylko w pamięci wiernych fanów, ale przede wszystkim jako inspiracja dla kolejnych pokoleń artystów – nie tylko autorów produkcji telewizyjnych, również muzyków, pisarzy i twórców sztuk wizualnych.

Wielbicieli serialu obwieścili, że 24 lutego to Dzień Twin Peaks, więc chcąc nie chcąc agent Cooper wjeżdża do miasteczka co roku – w pamiątkowych publikacjach, memach, postach w mediach społecznościowych. W tym roku już niestety nie zastanie tam Davida Lyncha – reżyser zmarł 16 stycznia.

Cholernie dobra kawa

– Więcej kawy, skarbie? – pyta przemila kelnerka. To nie jest Shelly, nie ma co się oszukiwać. Mogłaby, co najwyżej, być jej córką. Jestem w Twede’s Cafe, czyli serialowym Double R Diner, „domu placka wiśniowego i cholernie dobrej kawy”, na rogu West North Band Way i Bendigo Boulevard w miasteczku North Bend.

To tutaj agent specjalny Dale Cooper rozkoszował się wspomnianymi specjami, Audrey Horne tańczyła zmysłowo przy sennej melodii z szafy grającej, mieszkańcy miasteczka spotykali się, plotkowali, romansowali.

W tym właśnie miejscu David Lynch i Mark Frost nakręcili wiele scen swojego wywrotowego serialu. Tu wrócili ćwierć wieku później, by dolożyć trzecią część – jeszcze bardziej enigmatyczną i szaloną.

PODWÓJNY AGENT COOPER



**Twin Peaks to dziwne miasteczko.
Zaskoczy cię już przy cholernie dobrej kawie.
Wcale nie tym, kto zabił Laurę Palmer.**

„Twin Peaks” stał się kultowy już po emisji pilota – w USA w kwietniu 1990 roku, u nas niespełna rok później. Niektórzy pisali wówczas o „być może najbardziej intrygującym oryginalnym projekcie w dziejach amerykańskiej telewizji” („Time”), inni nie wróżyli sukcesu, m.in. dlatego, że „w serialu nie ma nikogo, komu można by kibicować” (opinia analityka rynku dla „USA Today”).

Oglądał się znakomicie. O jego wpływie natelewizję napisano już wiele i to wszystko prawda, mniej lub bardziej wyraźne ślady

serialu można dziś odnaleźć w połowie oferty serwisów streamingowych.

Ale nie tylko telewizję odmienił. Dla mnie i wielu moich rówieśników był jednym z formacyjnych tekstów kultury. Być może w Polsce, która przechodziła wtedy gwałtowne przemiany polityczne, społeczne, ekonomiczne i kulturowe, siła jego oddziaływania była wyjątkowa ze względu na okoliczności – świat za oknem był równie nieprzewidywalny jak ten na ekranie.

„Twin Peaks” spotyka „Dziecko Rosemary”

Dzięki agentowi Cooperowi znamy dokładne położenie Twin Peaks: „pięć mil na południe od granicy z Kanadą, dwanaście mil na zachód od granicy stanu”. To właściwie już podnóże Gór Skalistych, mniej więcej lokalizacja miasteczka Metaline Falls, które z serialem nie ma nic wspólnego.

Żeby odnaleźć miejsca, w których powstawała produkcja i pooddychać tym samym powietrzem co Laura, agent Cooper i Bob, trzeba się udać na zachód stanu Waszyngton. Za dekorację Lynchowi posłużyło kilka miejsc w North Bend, w przylegającym do niego Snoqualmie i oddalonym od nich o kilka kilometrów Fall City.

To małe miasteczko, położone w pięknej okolicy, gdzie Góry Kaskadowe schodzą do Pacyfiku. Kiedy nie ma korków, można w pół godziny dojechać do centrum Seattle. Dlatego korki są coraz częściej – nieruchomości cieszą się w tej okolicy sporym wzięciem, ceny rosną z roku na rok, bo można żyć w sielankowej scenografii, właściwie nie rezygnując z zalet wielkiego miasta.

A teraz wróćmy do Twede’s, bo wędrówkę śladami Laury Palmer i agenta Coopera zacząłem właśnie tam.

Wchodzę do lokalu prosto z drogi, wieczorem, godzinę przed zamknięciem. Gości niewiele, ale dwie kelnerki mają pełne ręce roboty – przylepiają nietoperze do szyby, nad kontuarem instalują ducha fikającego na żyłce. „Twin Peaks” to jedno, ale Halloween ma swoje prawa.

Playlista też jest halloweenowa – siedzę więc w dekoracjach z „Twin Peaks” i słucham najbardziej przerażającego „la la la...” na świecie, czyli skomponowanej przez Krzysztofa Komedę kołysanki z „Dziecka Rosemary”. Czy można sobie wyobrazić bardziej fantastyczne zderzenie dwóch światów?

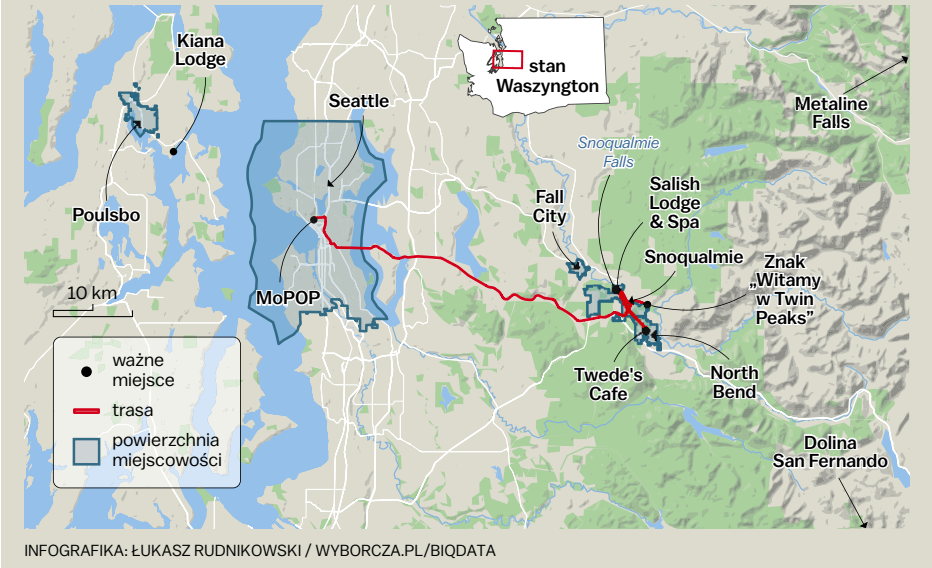
Cudo dwukotletowe

Twede’s korzysta z legendy Twin Peaks. Podczas pobytu w okolicy sam zająłem tu dwukrotnie, zjadłem, kupiłem pamiątki.

Gości z daleka jest więcej. Długowłosy pięćdziesięciolatek z siwą brodą interesuje się naklejkami z „Twin Peaks”. Żadnej co

Śladami „Twin Peaks”

Jarek Szubrycht na tropie symboli serialu



INFOGRAFIKA: ŁUKASZ RUDNIKOWSKI / WYBORCZA.PL/BIQDATA



prawda nie kupuje, ale objaśnia żonie znaczenie każdej.

Japońskie małżeństwo z dwójką dzieci: ona wydaje się obojętna, ale on robi zdjęcia każdemu kątowi. Trudno jednak stwierdzić, czy jest fanem serialu, czy po prostu podoba mu się typowo amerykański diner.

Trzydziestolatek w koszulce zespołu Slowdive – o, ten na pewno jest wtajemniczony. Czerwonowłosa dziewczyna z torebką we wzór imitujący posadzkę z Czarnej Chaty, z napisem „Ogniu krocze ze mną” na pasku – wiadomo.

Dwóch panów w średnim wieku, z akcentem wschodnioeuropejskim... Tych nie byłem pewien, ale wpadłem na nich kilka godzin później w Salish Lodge & Spa, fanom serialu znanym jako Great Northern Hotel. To nie może być przypadek, że spotykam ich na kolejnych punktach twinpeak-sowego szlaku.

„Ta knajpka i podawana w niej wyjątkowo dobra kawa oraz ciasto stały się dla mnie czymś w rodzaju obsesji” – mówił o Double R Diner agent specjalny Dale Cooper.

Ciasto było popisowym daniem Normy Jennings *, właścicielki przybytku. Jej autorski przepis znajdziecie w internecie oraz ... w ramce obok. W karcie Twede’s znaleźć można standardową ofertę przydrożnych amerykańskich jadłodajni – od omletów i naleśników przez kanapki na zimno i na ciepło po burgery. W tym takie cudo jak Twin Peaks Burger – dwa kotlety wołowe, dwa grube plastry sera, szynka, bekon.

Nie kocham serialu aż tak bardzo, żeby wziąć na siebie to brzemie. Ale cherry pie i kawę zamawiam, to zestaw obowiązkowy.

Ciasto wiśniowe z marketu

„Damn fine cup of coffee” kosztuje 2 dolary i 75 centów, „Twin Peaks cherry pie” (w komplecie z jabłkiem i polewą czekoladową, bananową lub kokosową) – 7.25. Jeśli ktoś liczy na domowe delicje, wykonane według sekretnego przepisu, przekazywanego z pokolenia na pokolenie mieszkańcom Północnego Zachodu, ten się przeliczy.

To kupne ciasto, z marketu, rozmrożone w mikrofali. Suche jak pięty pielgrzyma, posypane cukrem i wypełnione wiśniową fruzeliną – przypomina gofry na wakacjach

w nadbałtyckich kurortach, choć gofry lepsze. Stanowczo odmówiłem lodów i bitej śmietany jako dodatku do ciasta, choć pewnie przykryłyby jego bezbarwność.

Kawa za to pijalna. Bez szału, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę, że tuż obok jest Seattle, gdzie na punkcie kawy mają bzika, ale jak na przydrożnego sikacza: w sam raz.

Bardziej niż potrawy serwowane w Twede’s interesują mnie didaskalia. Przede wszystkim samo wnętrze, układ sali, umeblowanie, niewiele różniące się od tego, co znam z ekranu.

Do tego bogata kolekcja pamiątek związanych z „Twin Peaks”, którą można obejrzeć na ścianach korytarza prowadzącego do toalety – kadry z serialu, zdjęcia z planu, wycinki prasowe, ciekawostki. Kuszą gadzety: koszulki, magnesy, naklejki, komiksy, widokówki, kubki, breloki, przypinki, plakaty... Sporo tego. Kilka lat temu mieli tylko kubki i odbite na ksero mapki okolicy.

„Sto lat”, ale „idźcie już do domu”

W apartamencie, w którym zatrzymuję się na pierwszą noc, czeka na mnie gruby skoroszyt z pożytecznymi informacjami. Oprócz instrukcji obsługi pralki i telewizora, rekomendowanych restauracji, szlaków górskich i rowerowych wycieczek znajduję w nim rozkładówkę z miejscami, które powinien odwiedzić każdy fan „Twin Peaks”.

Każda z ośmiu notek składa się z wycinaka mapy Google’a, dokładnych współrzędnych do wpisania w nawigację i fotki, pozwalającej pamięci wrócić do odpowiedniej sceny serialu. Dowiaduję się np., że przez most, na którym znaleziono Ronette Pulaski, przebiega teraz ścieżka rowerowa, a w biurze szkoły nauki jazdy można poszukać śladów po posterunku policji.

Centrum małego Snoqualmie to parę jadłodajni, delikatesy, galerijki z dziełami lokalnych artystów i kilka sklepów.

Wchodzę do jednego z nich. Za ladą niewiele starsza ode mnie pani, która sprowadziła się tu z Chicago. Pyta, skąd przyjechałem i odpowiedź bardzo ją raduje, bo może mi zaśpiewać „Sto lat”, co niezwłocznie czyni. Na zakończenie niespodziewanie duka: „Idźcie już do domu”. Zapewnia jednak, już po angielsku, że wie, że to nie było miłe,

tymczasem ona bardzo się cieszy z tego, jak wielu ludzi z dalekich krajów przyjeżdża do Snoqualmie z powodu „Twin Peaks”.

Jej sklep z odzieżą turystyczną i sportową lokalnej produkcji, ma też twinpeak-sowy kącik, a w nim kilka książek o serialu, pluszowe sowę, szklanki i podstawki pod napoje. Są też koszulki i bluzy z serii „Prawdziwe Twin Peaks”, inspirowane serialem, ale osadzone w realiach okolicy. „Sowy nie są tym, czym się wydają” z pięknym, dumnym ptakiem – tej nie mogłem się oprzeć.

Cooperów jak psów

Najważniejszy punkt programu to nocleg w Salish Lodge & Spa, hotelu położonym nad wodospadem, znanym z czołówki serialu. Dzień przed pobytem maila pisze do mnie Cooper, przekazując użyteczne informacje o obiekcie.

Jestem zachwycony – nie dość, że nocuję w hotelu Great Northern, to jeszcze kontaktuje się ze mną ktoś o właśnie takim imieniu. Fantastyczny zbieg okoliczności?! Nazajutrz, odbierając klucze, dowiedziałem się, że Cooper to zbiorcze imię, na które reaguje cała obsługa, niezależnie od tego, jak się naprawdę zwa...

Liczyłem, że w środku hotel też będzie wyglądał znajomo, ale nic z tych rzeczy. Jest elegancko, przytulnie, ale zupełnie inaczej. Za wnętrza Great Northern robił bowiem inny przybytek, czyli Kiana Lodge. To ośrodek wypoczynkowy, który mieści się w Poulsbo, na północ od Seattle i można go wynająć na wesele lub inną prywatną uroczystość. Zwiedzać podobno nie pozwalają.

Nie narzekam jednak, bo pokój dostaje przestronny z widokiem na rzekę. Żeby zobaczyć wodospad, muszę wyjść z hotelu, przejść przez parking – i już, jestem na ścieżce nad urwiskiem (jest solidna balustrada, nawet osoby z lekkim wysokości powinny być zadowolone), prowadzącej do platformy widokowej. Można pójść dalej, na spacer przez las, do rozlewiska na dole.

Na platformę wracam kilka razy, starając się trafić na chwilę z jak najmniejszą liczbą innych gapiów, którzy śmiechem i rozmowami wyrwywają mnie z kontemplacyjnego nastroju. Ale tak całkiem samotnie też nie byłoby dobrze – miła pani, widząc moje wysiłki zmierzające do zrobienia sobie selfie z wodospadem, proponuje przejęcie mojego telefonu i cierpliwie strzela mi fotę za fotą.

Strzel sobie agenta lub dylemat

Kaskady wody spadające z wysokości na 82 metry skalistego urwiska hipnotyzują, koją basowym szumem, ale to nie tylko malownicze miejsce. Pod koniec XIX wieku inżynier Charles H. Baker zbudował tu elektrownię wodną, której większa część mieści się wewnątrz skalnego masywu.

Tylko rdzennych mieszkańców tych okolic, plemienia Snoqualmie, nikt nie zapytał o zgodę, a dla nich wodospad jest świętym miejscem. Tutaj Księżyc stworzył Pierwszego Mężczyznę i Pierwszą Kobiętę, a modlitwy trafiały do uszu Stwórcy niesione mgiełką kłębiącą się nad wodospadem.

W karcie hotelowej restauracji można znaleźć sporo nawiązań do serialu. Na spragnionych czekają koktajle: The Dale Cooper to dżin, cydr, goździki, kardamon i cytryna, z kolei Dylemat Shelly składa się z burbona, likieru rumowego, miodu, soku wiśniowego i bitej śmietany. Można też zjeść „Cholernie Dobry Placek z Wiśniami – inspirowany rolą, jaką Salish Lodge odegrało w Twin Peaks”. Odpuszczam, bo ostatnią rzeczą, na jaką mam ochotę tego wieczoru, jest kolejne ciasto. W Salish Lodge & Spa mieści się też sklepik z pamiątkami, a tam kolejny zestaw kuszących drobiazgów. Do zakupów kasjerka dodaje czterostronicową ulotkę. Na okładce: „Witamy w prawdziwym Twin Peaks”, a w środku – mapka z miejscami, których poszukują twinpeak-sowi pielgrzymi.

Który to zakręt?

Rano postanawiam skorzystać z tych rekomendacji. Jadę na zakręt tuż za miastem, bo to – obok wodospadu – drugie najbardziej ikoniczne miejsce. Pojawia się w czołówce, znamy je z okładki płyty ze ścieżką dźwiękową Angelo Badalamentiego, pamiętamy znak „Twin Peaks. Populacja: 51,201”. Swoją drogą, łatwo się zorientować, że serialowe miasteczko było znacznie mniej ludne. Podobno jakiś waśniak ze stacji ABC przesunął przecinek, bojąc się, że widzowie nie będą chcieli oglądać opowieści o zapadłej dziurze w środku niczego...

Kopia znaku została jakiś czas temu zainstalowana przez mieszkańców Snoqualmie w odpowiednim miejscu, ale ktoś ją natchmiast ukradł. Zakrętu jednak zabrać się nie da, więc jadę na pewniaka. Nawigacja mówi, że to już tu – i chyba rzeczywiście, choć pewności nie mam, bo góry spowija gęsta mgła, nie sposób porównać tego, co widzę, z obrazem, który noszę w pamięci (i w sercu). Coś być musi, do cholery, za zakrętem, ale co dokładnie? Może to ten łuk, może następny. Na wszelki wypadek fotografuję oba, wracam do samochodu i zostawiam prawdziwe Twin Peaks za sobą.

W Seattle kilka dni później wybiorę się do MoPOPu, czyli muzeum popkultury. Wielki znak przed wejściem informuje, że „Jesteśmy popkulturą” – i nie sposób się nie zgodzić. W tej świątyni oddaje się jednak cześć innym bogom: Nirvanie i grunge’owi, Hendrixowi, bo to chluby tego miasta. Sporo miejsca poświęca się grom wideo, k-popowi i bluesowi z Deltą.

W części filmowej oszalałamiący wybór relikwii z horrorów – od siekiery, którą w „Lśnieniu” wymachiwał Jack, po patyki z „Blair Witch Project”. A kino science fiction to m.in. oryginalny kostium Dartha Vadera, fotel kapitana USS Enterprise ze „Star Trek” i nawet smutny miś z „AI. Sztucznej Inteligencji”, który teraz drzemie w gablocie, ale wszystkich nas przeżyje.

O „Twin Peaks”, choć to serial nakręcony po sąsiedzku, a nadto dla telewizji niezwykle ważny, nie znalazłem ani słowa. Cóż, wielkość ze snu zapewne powiedziałaby, że tajemnice zrodzone w lesie powinny w nim pozostać, a sowa kiwnęłaby znacząco mądrą głową. ●

DAMN FINE CHERRY PIE!*

• **PRZEPIS NA PLACEK Normy Jennings , właścicielki Dauble R Diner w Twin Peaks i specjalność zakładu. Najlepszy jaki agent Cooper jadł w życiu, a przecież zwiedził mnóstwo barów w zapadłych dziurach stanu Waszyngton. Smak podkreśli „cholernie mocna i czarna jak bezkسیężycowa noc” kawą.**

• **KRUCHE CIASTO:** 300 g mąki pszennej, 50 g mielonych migdałów, 200 g posiekanego masła, 100 g cukru pudru, jajko i szczypta soli.



Wszystko szybko zagnieść na gładkie ciasto, chłodzić w lodówce przez godzinę. • **NADZIENIE:** 80 dag wiśni wydrylować, dodać 1 szklanki cukru, 3-4 łyżki bourbona

i 4 łyżki skrobi ziemniaczanej lub kukurydzianej. • Formę o średnicy 23-24 cm natłuścić, posypać mąką. Trochę więcej niż pół porcji ciasta rozwałkować, włożyć do formy. Piec 15 min w temp. 190 st. C. Podpieczony spód posypać 3 łyżkami bułki tartej, wyłożyć wiśnie, przykryć rozwałkowaną drugą częścią ciasta. Posmarować żółtkiem wymieszanym z łyżką mleka, ponakłuwać widelcem. Piec 40-45 min w 190 st. C.

„Odyseja”. Poemat w połowie drogi

ANTYBOHATER ODYS



Możemy się uciekać do niejasnych wyroczni. Ale z naszymi tragediami na co dzień jesteśmy sami.

Marek Węcowski*

„...rozpoczynałem tę pracę jeszcze przed pierwszą wojną światową, a oto już trzecia się nam uśmiecha swą atomowo-wodorową i lichą wie jaką jeszcze mordą, a ja wciąż siedzę i siedzę, i grzybieję nad tym samym tekstem. (...) Jeszcze nie jestem starcem, lecz dane mi było przeżyć kilka smakowitych epok i niejeden mnie już straszyl duch czasu”.

(Józef Wittlin, „Przedmowa tłumacza do trzeciego wydania” „Odysei” Homera)

Nasza cywilizacja zna to doskonale. Po wrót do klasyków jako intelektualne, estetyczne ćwiczenie, ucieczka od ponurej czy nużącej rzeczywistości, ale też próba stworzenia nowego świata i języka, a jednocześnie przechowania starych wartości na niepewną przyszłość.

Pierwsza wersja przekładu „Odysei” (Lwów 1924), rozpoczętego przez Józefa Wittlina (1896-1976) jeszcze w czasach gimnazjalnych, była radykalnie młodopolska, chłopomańska nawet, językowo nadmierna, archaizująca, pełna pomyslowych neologizmów, miejscami bardziej może obrażająca niż sam Homer. I spotkała się z ostrą krytyką filologów i literatów.

Wittlin w drugim wydaniu (Warszawa 1931) powściągnął swoją żywiołową poezję, a jeszcze bardziej w trzecim (Londyn 1957). Pod koniec życia marzył jednak o kolejnej wersji, w której wróci do młodzieńczego języka. Już w przedmowie do trzeciego wydania pisał o językowych kompromisach ze światem współczesnym, których nadal żałuje.

Nad „Odyseją” pracował całe życie, w czasach tak zmiennych jak życiowe doświadczenie naszego pokolenia. Od smętku końca stabilizacji sprzed wielkiego dziejowego przełomu, przez nagłą nadzieję niepodległości, złudną powszedniość międzywojnia,

po czas przeczcucia katastrofy. A ostatnia wersja jego tłumaczenia, choć ukazała się na emigracji o wiele później, zaczęła się rodzić na wiosnę 1944 r., jak pisał, w roku Monte Cassino, lądowania w Normandii i powstania warszawskiego, „z myślą o nowych naszych Odysach i Telemachach”.

Myślę, że wielu dzisiaj może się doskonale odnaleźć w tym doświadczeniu, a także przeczcuciu możliwego dalszego ciągu. Jak Wittlin potrzebujemy „Odysei”. A może właśnie „Odysei” Wittlina.

Klasyka czytana i wplatana w żywą kulturę przez wszystkie fazy życia artysty, od niepowściągliwej młodości, przez twórczą dojrzałość, aż po starość, która rozlicza się sama ze sobą. Przed Wittlinem przechodzili przez to Włosi, Francuzi, Niemcy - nie tylko poszczególni twórcy, ale też całe kultury narodowe, z których wyrasta nasza stara Europa. I właśnie dlatego, że zmienia się ona na naszych oczach dramatycznie, przepoczwarza w coś zupełnie nowego, czego jeszcze nie rozumiemy, doświadczenie to jest nam tym bardziej potrzebne, nawet - a może zwłaszcza - bez konserwatywnej mrzonki o zatrzymaniu czy zawróceniu biegu dziejów.

Jak wracający do domu Odys wiemy, że nic już nie będzie jak dawniej, nawet jeśli ostatecznie (na chwilę?) wygramy. „Odyseja”, poemat przetrwania, zbyt późnego powrotu, bolesnego, skromnego triumfu, walki i pojednania, pozwala nam przejść przez to wszystko świadomie. Albo tylko daje takie złudzenie. To i tak bardzo dużo.

•
Nie wiemy, skąd wziął się ten poemat. Zostawmy nawet w spokoju stawiane jeszcze w starożytności pytanie o jednego bądź dwóch autorów „Iliady” i „Odysei”. Mówiąc banalnie, prawie każde pokolenie badaczy, a więc i tłumaczy greckiej literatury ma swojego Homera „Odysei”. I nie ma co liczyć na żadną ogólniejszą zgodę uczonych: anonimowy, improwizujący od występu do występu bard ludowy czy pracowity kompilator odrębnych, krótkich ustnych pieśni epickich albo poeta czasu przełomu kulturowego dyktujący swoje wciąż ustne kompozycje piśmiennemu już uczniowi? A może uczony twórca epoki całkiem dojrzałej już literatury, piszący swoje monumentalne kompozycje z grubszą tak, jak pisze się książki, choć nadal poszczególne ich części trafiają do szerszej publiczności recytowane kawałkami podczas wielkich świąt religijnych?

Jak w swoim „Słowie tłumacza do Czytelnika” pierwszego wydania pisał Wittlin, „ciekawych tego, jaką była dusza Homera, odsyłam na tamten świat, gdzie poeci dawnych czasów udzielają informacji historykom literatury, osobiście”. Wiele jednak możemy się dowiedzieć już dzisiaj, nie czekając zaświatów, z samego poematu.

W pewnym miejscu „Odysei” król Alkinoos, którego okręty odwiozą wreszcie Odysa na Itakę po 20-letniej tułaczce, tak mu reklamuje usługi swojej floty (księga VII):

„W ciszy odwiożę cię flisy nawą, przez tonie umilkłe./ Jakoż do ziemi swych ojców wrócisz, do domu, i wszystko/ Będziesz miał, co ci lube, choćby to nawet leżało/ Daleko, hen - za Euboją (...)/ Lecz sam się przekonasz w swem sercu, jakie wyborne/ Są moje nawy i moje chłopcy, - jak tego wiosłują”.

Trudno powstrzymać się od skojarzenia z Szekspirem. W „Hamlecie” (akt 4, scena 3) duński król-lewicz ma zostać podstępnie wysłany na zatracenie nie gdzie indziej jak do dalekiej Anglii. Możemy sobie tylko wyobrażać reakcję zaskoczonych publiczności na ten literacki pomysł. Zwykle role i punkty widzenia zostają odwrócone, a widzowie Szekspira mogą spojrzeć na swoją nagle egzotyczną wyspę oczami dalekich mieszkańców legendarnego Elysionu.

Podobnego zabiegu możemy się domyślać w „Odysei”. Mityczni Feakowie z wyspy Scherii gdzieś za morzem na dalekim zachodzie myślą o Eubei jak o najdalszej możliwej granicy ryzykownej morskiej podróży na wschód.

Tymczasem w VIII w. p.n.e. wyspa Eubeja w środkowej Grecji była najbardziej dynamicznym regionem świata Hellenów, utrzymującym od co najmniej stulecia żywe kontakty handlowe ze Wschodem - z Cyprem, Syrią, Lewantem i dalej Mezopotamią, a zapewne też Egiptem (ta bajecznie bogata kraina fascynuje poetę „Odysei”, świadomego także niepewnych greckich interesów z Fenicjanami z dzisiejszego Libanu).

W tym samym VIII w. Eubejczycy zakładają swoje handlowe faktorie, a z czasem stałe osady w Italii, w Zatoce Neapolitańskiej, a także na Sycylii. Zachód to dla poety „Odysei” świat wprowadzić bańki, ale legendy o Scylli i Charybdzie, morskich potworach czyhających na żeglarzy, czy o ludożerczych Cyklopach mieszają się z bardzo przyziemnym obrazem dzikich ludów Sycylii, chętnie kupu-

jących dostarczanych im przez greckie statki niewolników. „Odyseja” to więc poemat eubejski albo powstały w czasach, gdy Eubeja i Eubejczycy stanowili centrum greckiego świata.

O dokładniejszych okolicznościach powstania utworu jedno wiemy na pewno. W „Odysei” widać oryginalny, niekiedy nawet żartobliwy dystans do wcześniejszej artystycznej tradycji. Ktokolwiek ją stworzył (napisał? podyktował?), bawił się i mierzyl z poezją poprzędników. Wspomina o nawie Argo, co „chwalebnie wszystkim wiadoma” (ks. XII), a więc o jakimś popularnym w jego czasach poemacie czy poematach o wyprawie Argonautów i Jazona po złote runo.

Być może czyni też aluzję do „Gigantomachii”, eposu o ostatecznej wojnie olimpijskich bogów przeciwko potwornym Gigantom (ks. XX). Ale przede wszystkim żartuje sobie z chwilowej mody na pieśń, „co nową jest i nieznanym czarem się mizdrzy do uszu” (ks. I).

„Odyseja” z pewnością pochodzi ze świata bogatej twórczości poetyckiej, artystycznej konkurencji, ciekawej nowinek publiczności, zabawy konwencją i literacką tradycją. Włożmy raz na zawsze między bajki romantyczną wizję utworów Homera jako prostej pieśni ludowej.

„Odyseja” to dla nas początek wielkiej literackiej i intelektualnej tradycji europejskiej w tym również sensie, że poeta bawi się swoją własną poezją. I wciąga w to odbiorców. Od początku poematu jesteśmy świadomi, że jego główna postać Odys to szczególnie typ antybohatera. Zamiast heroicznych uniesień i pychy młodzieńczego zwycięzcy (Achilles w „Iliadzie”) widzimy starzejącego się mężczyznę, który zniesie wszystko, każdą hańbę i przeciwność losu, żeby tylko przetrwać.

W przywdzianiu odpowiedniego do okoliczności kamuflażu pomaga mu czasem boska opiekunka Atena, ale on sam zdolny jest uciec się do każdego kłamstwa, manipulacji, podstępu, żeby tylko zachować nadzieję na dalszą drogę do domu. Żeby przetrwać, zrobi i powie wszystko.

Właściwy bohater na ciężkie czasy, kiedy proste życiowe decyzje i jasne wybory moralne już nie są nam dane, jak były kiedyś, w młodości, pod Troją, w otwartej walce z wrogiem. Odtąd w greckiej i europejskiej tradycji Odys funkcjonować będzie jako niemoralny kłamec i oportunista, ale przede wszystkim mistrz mimikry i przetrwania.

Ironia poety polega na tym, że to od krętacza Odysa usłyszymy o cudownych krainach, niezwykłych przygodach i potworach, z którymi musiał się mierzyć. Kiedy roztoczy swoje barwne opowieści, jeden ze słuchaczy, gospodarz ostatniego etapu jego wędrówki Alkinoos, przerwie mu, jak gdyby na moment dając wyraz wątpliwościom (ks. XI).

„Gdy tak na ciebie patrzymy, bynajmniej nam się nie wydawasZ/ Odysie, - lgarzem poślednim, czy darmochlubnym pyszałkiem,/ Jakowych siła i wszędy na czarnej chowa się ziemi!/ O nie! twe słowo rozbrzmiewa słodko, a duch twój szlachetny!/ I umiesz dzieje powiadać, bezmała kunszt-em aoidów”.

I chociaż moc literackiej fikcji nie dozna uszczerbku, wątpliwość pozostaje. Opowieści tego typu słyszy się zwykle od chciwych nagrody kłameców i pyszałków. Alkinoos wie, że na miejscu Odysa w najlepszym razie siedzi zazwyczaj baron Münchhausen. Kiedy już na Itace, przebrany za wędrownego żebraka, Odys po raz pierwszy spotyka nieświadomą Penelopę, „kłamliwe jej baśnie bredzi za prawdę podając” (ks. XIX).

Jego taktyka w zetknięciu z ludźmi jest stale taka sama: prawdy im nie wyzna, „lecz słowo powściągnie./ Ustawnie w sercu nastawion na chytromyślne fortele” (ks. XIII). Korzystając z dwuznaczności postaci swojego bohatera, przedstawi poeta swoją wizję świata i losu człowieka.

W rzeczywistości cudownych opowiadań Odysa możliwe są osobiste spotkania z bogami, romanse z boginiami, zwycięska (lub nie) walka z potworami, wyprawa na granice świata podziemnego, gdzie zmarli z Hadesu przepowiedzą dalsze losy bohatera, magia przemieniająca herosów w zwierzęta. Tymczasem „chytromyślne fortele” to również przybieranie kolejnych fikcyjnych tożsamości, czyli tzw. opowieści kłamliwe Odysa, których pełna jest „Odyseja”.

Zależnie od okoliczności i od każdorazowego rozmówcy przedstawi się on jako kondotier-nuworysz z Krety albo szeregowy weteran wojny trojańskiej, jako wędrowny żebrak, zubożały farmer albo królewski syn na wygnaniu. Może także okazać się

• **Odyseusz i Nauzykaa. (1688 r.)**
Obraz
Joachima von Sandrarta, niemieckiego malarza i grafika.
Obecnie w Rijksmuseum w Amsterdammie.
W mitologii greckiej Nauzykaa była królową Feaków.
Atena posłużyła się nią, żeby pomóc Odyseuszowi wrócić na Itakę, po tym, jak fale wyrzuciły go na wyspę Scheria

FOT. REPRODUKCJA
FRANS PEGT, ZE ZBIORÓW RIJKSMUSEUM
W AMSTERDAMIE*

stałym, jakieś dwa dni drogi pieszo od wybrzeża naprzeciw Itaki.

Publiczność „Odysei” wiedziała dobrze, że odpowiedź, którą tam można otrzymać, to odpowiednio zinterpretowany przez kapłanów znak od boga, pośredni i niejasny. Mówiąc więc najkrócej, „fałszywe opowiadania” w „Odysei” to nic innego jak odarcie na chwilę mitycznych przygód Odysa z wszelkiej cudowności, ich demitologizacja i uczłowieczenie, dostrojenie do codziennego doświadczenia słuchaczy Homera.

Jak napisał jeden z wielkich niemieckich filologów, w „Odysei” kłamstwo przypomina rzeczywistość, a prawda należy do świata fantazji. Artystyczny, prowokacyjny i może żartobliwy wymiar tego zabiegu poety jest oczywisty. Przelóżmy jednak te kłamstwa Odysa na świat wyobrażeń Homera i jego publiczności.

Za cenę ogromnego uproszczenia możemy powiedzieć, że osobiste spotkanie z bogami - jak ci, którzy płodzili swoje dzieci, półbogów, ze śmiertelniczkami - było, owszem, możliwe w dawnych, heroicznych czasach. Mityczne potwory, nadludzkie czyny, osobista więź z bóstwami - wszystko to teraz już należy do świata baśni, o którym słyszymy w głównym nurcie „Odysei”. Jest to rzeczywistość dawno minioną, zamknięta, przedmiot fascynujących opowieści, ale nie fakt z życia Hellenów.

W naszych, ludzkich czasach, w świecie Odysa „przebranego” za zwykłego człowieka, możemy starać się zrozumieć ukryte intencje dalekich bogów, a w ten sposób interpretować nasz los i nasze cierpienia. Możemy też uciekać się do niejasnych wyroczni. Ale z naszymi tragediami na co dzień jesteśmy sami.

Heroizm dostępny tu i teraz to sztuka przetrwania. Za wszelką cenę. Tego właśnie Greków uczyła „Odyseja” przez swoje „kłamstwa do prawdy podobne”, jak o poezji w ogóle pisał w tej samej epoce (przełom VIII i VII w. p.n.e.) w „Teogonii” poeta Hezjod z biednej

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Dr hab. Marek Węcowski

• – ur. w 1969 r., historyk starożytności, pracuje na Uniwersytecie Warszawskim. Ostatnio wydał: „Tu jest Grecja. Antyk na nasze czasy” (Iskry, książka nominowana do Nagrody „Nike”). Tytuł tekstu – „Wyborcza”.

dawnym, przypadkowym towarzyszem podróży albo wręcz towarzyszem broni samego Odysa.

W świecie tych „kłamliwych opowieści” rządzą zupełnie inne zasady niż gdzie indziej w „Odysei”. Wrogie potwory i gniew Posejdona zostają zastąpione przez niepomyślne wiatry, atak paniki na polu bitwy, piratów czy nieuczciwych współników w handlowych interesach. Heroiczne wojny o wielkie miasta albo potwornych Lajstrygonów ustąpią łupieżczym wyprawom na egipskich chłopów.

Zniknie mityczna „geografia” dalekiej tułaczki Odysa gdzieś na legendarnym Zachodzie, pomiędzy krainą Lotofagów, wyspą Syren, Scyllą i Charybdą, wyspą Cyklopów, Hadesem, wyspą Słońca a siedzibą boskiego władcy morskich wiatrów Eola. Zamiast niej od „fałszywego Odysa” usłyszymy o zupełnie ludzkich krainach, dobrze znanych ówczesnym Grekom - o Egipcie, Fenicji, Cyprze czy o wybrzeżach Morza Jońskiego, w pobliżu samej Itaki.

Najważniejsza różnica między światem „Odysei” a rzeczywistością „kłamliwych opowieści” dotyczy relacji ludzi z bogami. Chcąc poznać swoją przyszłość i najlepszy sposób powrotu na Itakę, Odys musi się udać na krańce świata, znaleźć bramę do Piekła, by tam specjalnym krwawym rytuałem przywołać zmarłych, od których dowie się prawdy.

Tymczasem w nieprawdziwej wersji, którą usłyszą od zamaskowanego wędrowca Penelopa i jego ukochany sługa Eumajos, nieobecny rzekomo Odys w tym samym celu właśnie pielgrzymuje do lokalnej wyroczni Zeusa w Epirze - do Dodony na lądzie

Tak jak Józef Wittlin potrzebujemy „Odysei”. A może właśnie „Odysei” Wittlina

Beocji w środkowej Grecji, gdzieś pomiędzy Eubeją a Itaką.

Dzięki subtelnej acz radykalnej, paradoksalnej grze z heroiczną materią epicką, z tradycyjnym obrazem bogów i bohaterów, Homer w „Odysei” dawał publiczności swoją interpretację kondycji człowieka w świecie, który w jego czasach zmieniał się dynamicznie, w świecie nowych horyzontów nie tylko geograficznych, ale też intelektualnych i artystycznych. Pamiętając o tym, zdamy sobie sprawę, że techniczna wręcz debata, w którą od początku uwikłana była „Odyseja” Wittlina, to w istocie spór o sprawę najważniejszą, a przy tym bardzo aktualną w naszych czasach.

Mimo najnowszych prób tłumaczenia „Odysei” (filolog Robert R. Chodkowski w 2020 r. i pisarz Antoni Libera w 2024) w polskiej literaturze długo jeszcze dominować będą dwaj giganci - Józef Wittlin i jego rówieśnik oraz dobry kolega Jan Parandowski (1895-1978).

Niedawno przypadło stulecie pierwszych edycji dwu książek ważnych dla dziejów polskiej kultury XX wieku – „Odysei” Wittlina oraz „Mitologii” Parandowskiego, z której pokolenia uczyły się o antycznych bogach i herosach. Obu połączyła trwająca dziesięciolecia dyskusja o tym, jak tłumaczyć Homera. Od dialogu w Polskim Radio w Warszawie (17 maja 1931) w roku publikacji drugiego wydania „Odysei” Wittlina aż do ogłoszenia własnego przekładu „Odysei” przez Parandowskiego w roku 1953, nieco przed ostatnią wersją Wittlina.

Mówiąc najkrócej, poetyckiemu, archaicznemu przekładowi Wittlina Parandowski radykalnie przeciwstawił Homera prozą, przetłumaczonego językiem prostym, niemal współczesnym, niestawiającym czytelnikowi żadnego oporu, a więc maksymalnie przybliżającym „Odyseję” odbiorcom.

Krytykując Parandowskiego, Wittlin pisał, że jego własny przekład spotyka się z czytelnikiem w pół drogi, pozostawiając mu (i jej) wysiłek przedarcia się przez styl poetycki, który przecież już dla współczesnych Homera był sztuczny, archaiczny, górnołotny, wręcz „liturgiczny”, bo „Iliadę” i „Odyseję” najczęściej słyszano przy okazji wielkich świąt religijnych, jak Panatenaje w Atenach. Normalna, „świecka”, realistyczna wręcz „Odyseja” Parandowskiego nie ma wiele wspólnego z doświadczeniem, jakie w słuchaczach chciał wywołać Homer.

W tym sporze Wittlin być może miał rację, choć problemem jest nie tyle styl Parandowskiego, choć surowy, to nadal przecież homerycki, co wybór prozatorskiej formy zamiast poetyckiej. Jednak jako pierwszą lekturę „Odysei” naszym czytelnikom A.D. 2025 zapewne wypadaloby polecić przekład Parandowskiego. Tak łatwiej poznają jej treść, a na smakowanie - najlepiej z greckim oryginałem na sąsiedniej stronie, jak w monumentalnie pięknym tomie wydawnictwa Austeria - przyjdzie czas przy kolejnych powrotach do poematu.

Pytanie jednak, czego chciałby dziś od nas Homer, sam, jak widzieliśmy, bawiący się swoją tradycją poetycką i swoją konwencją, konfrontujący ją z codziennym doświadczeniem żyjących publiczności, żeby przekazać jej treści najgłębsze. Konfrontujący, powtórzmy, świat antycznej legendy i nasz świat, ale nie przekładający jednego na drugi dla naszej wygody.

W czasach strategicznych gier komputerowych, gameingu RPG, wysokobudżetowego hollywoodzkiego kina czy netflixowych seriali musimy przecież znaleźć miejsce dla „Odysei”, by nie funkcjonowała jedynie w zakurzonej zamkniętej bańki tradycyjnych bibliofilów.

Nie widziałem jeszcze filmu „Powrót” („The Return”) Uberto Pasoliniego, najświeższej ekranizacji „Odysei” z Juliette Binoche i Ralphem Fiennesem (2024). Przypuszczam jednak, że będzie to kino rodem z Parandowskiego, odpowiednio krwawa, realistyczna proza. I dobrze. W każdym razie na początek.

Inna możliwość to kino solidaryzujące się z Wittlinem, np. magiczny realizm fantasy z własnym językiem literackim, „Odyseja” w stylu filmowych adaptacji Tolkiena. Być może coś takiego ma na myśli błyskotliwy reżyser Christopher Nolan, który niedawno zapowiedział własną adaptację „Odysei”. I też dobrze! Ale tylko na początek.

Czy da się znaleźć dzisiaj artystyczne medium, w którym te dwa plany można połączyć, grając ich wzajemną relacją? Na razie po prostu czytamy Homera, skoro wciąż nie wymyślono nic lepszego. ●

Waldemar Paś

18 lutego w wieku 98 lat zmarł Marian Turski, historyk, dziennikarz, przez 67 lat szef działu historycznego tygodnika „Polityka”, w czasie wojny więzień obozu Auschwitz-Birkenau.

Powstaje film dokumentalny o Marianie Turskim „XI.Thou Shalt not be Indifferent” (XI. Nie bądź obojętny). Jego premiera planowana jest na początek maja, w 80. rocznicę zakończenia II wojny światowej. Majka Elczewska, informatyczka i producentka, oraz Andrzej Krakowski, profesor na Miejskim Uniwersytecie w Nowym Jorku, są jego współproducentami. Reżyserem filmu jest Andrzej Wolf.

WALDEMAR PAŚ: Świat coraz mniej pamięta o tym, co ważne.

ANDRZEJ KRAKOWSKI: Staramy się słuchać mądrzejszych. Mieszkam w Stanach już 57 lat. Z naszej amerykańskiej perspektywy autorytetami moralnym w Polsce byli niewątpliwie np. prof. Tadeusz Kotarbiński, do niedawna prof. Władysław Bartoszewski. Dziś widzę dwa nazwiska: Mariana Turskiego i Hanki Machińskiej. Na nich zawsze mogę liczyć, w trudnych sytuacjach udzielą dobrej, solidnej rady.

Mariana Turskiego znam w zasadzie od urodzenia. Po przeżyciu Auschwitz, Buchenwaldu i Teresina był wycieńczony, na skraju śmierci.

MAJKA ELCZEWSKA: Uratowali go wtedy mój wujek, lekarz Arnold Mostowicz oraz moja mama Halinka Elczewska. Znali się z Marianem jeszcze z getta łódzkiego.

On zawsze był częścią naszego życia, a my jego.

Co jest myślą przewodnią filmu?

– To nasz trybut wobec Mariana i jego przesłania. Marian przywołuje słowa Marka Edelmana, że najważniejsze jest życie, dopiero potem wolność. Ale czasem trzeba oddać życie za wolność.

Bardzo chcielibyśmy, aby nasz film dotarł do młodych, wstrząsnął społeczeństwem. Obudźcie się, zobaczcie, dokąd idziecie.

Ten film jest ważny przed wyborami.

Dlaczego?

– Liczymy, że pomoże Polakom uchronić się przed popełnieniem błędu. Świat i tak zapłaci wysoką cenę za ślepotę i głupotę Amerykanów. Niestety, dla zbyt wielu białych Amerykanów obecny prezydent jest ostatnim bastionem supremacji białego człowieka.

Żyjemy w erze strachu, czujemy się zagubieni. To nie tylko Trump w Ameryce, Kaczyński w Polsce czy Orban na Węgrzech.

Mówicie o światowym zjeździe w kierunku faszyzmu?

– Po części winny jest temu gwałtowny rozwój najnowszych technologii, zmiany pędzą za szybko. Poziom edukacji jest coraz niższy. U młodych zanika ciekawość intelektualna, nie chce się im kwestionować tego, co słyszą i czytają. Skoro tak napisali w gazecie, powiedzieli w telewizji, podcaście, rolce czy ulubionym kanale na TikToku, to tak musi być. A jak zostało to powielone w niezliczonej liczbie postów i dostało dużo lajków, to kłamstwo jest niemal nie do odkręcenia.

Tradycyjne media zawsze były tendencyjne, ale teraz zanurkowaliśmy w głębię nieprawdy.

Pokusa, aby w tym bałaganie zarobić na strachu, jest zbyt duża.

Dlaczego parę dekad temu strach był mniejszy?

– Zaczęło się wraz z rozwojem internetu. Chęci i marzenia były dobre, ale nie przeanalizowaliśmy skutków ograniczania komunikowania się twarzą w twarz. Siedząc przy stole, tak jak teraz rozmawiamy, byłoby mi bardzo trudno powiedzieć coś negatywnego o panu, a panu o mnie.

Rozmowa twarzą w twarz to pewnego rodzaju negocjacje. Jeśli już muszę powiedzieć coś nieprzyjemnego, to staram się rozmówcy nie obrazić. Ludzie siedzący przed ekranem komputera czy telefonu tracą takie obiekcje.

Dziś ludzie mówią nienawistne rzeczy pod nazwiskiem. Zobaczyli, że takich jak oni jest bardzo dużo.

– Co to jest „bardzo dużo”? Żyję w kraju 340 milionów, Polska jest krajem prawie 40-milionowym, tak? Sto czy nawet parę setek hejtujących to nie jest znowu tak dużo. Tylko ich hejt czyta reszta świata i ocenia cały kraj.

Gdyby miał pan na chwilę czarodziejską różdżkę, to jak by pan to naprawił?

JEDENASTE PRZYKAZANIE *Mariana Turskiego*

**Chętnie przywoływał słowa Marka Edelmana,
że najważniejsze jest życie, dopiero potem wolność.
Ale czasem trzeba oddać życie za wolność.**

– Zniósłbym anonimowość w sieci oraz wprowadził filtry w social mediach zapobiegające rozpowszechnianiu kłamstw rodzących strach i nienawiść. Albo w ogóle wyłączyłbym social media.

Ludzie by posłuchali?

– Nie, ale musieliby znaleźć inną metodę skutecznego komunikowania się. A to zajęłoby trochę czasu.

Kiedys napisałem scenariusz filmu o Czyngis-chanie. To był niesłychanie mądry człowiek. Stworzył sprawny system przekazywania informacji. Na ogolonej głowie młodego chłopaka tatuowano wiado-

mość. Włosy szybko odrastały, generałowie musieli oddawać kurierowi swoje najlepsze konie, ale on nie znał informacji, którą przewoził.

Dziś stukamy w klawiaturę i denerwujemy się, gdy odpowiedzi nie dostaniemy w parę minut. Chciałbym, aby ludzie znów musieli się komunikować werbalnie. Bez tych wszystkich elektronicznych narzędzi, które tak naprawdę nas oszukują.

Brzmi luddystycznie.

– Może w pewnym sensie? Ale coraz więcej ludzi tak odczuwa, choć nie ma odwagi głośno o tym mówić.



Wątki luddystyczne przewijają się przy okazji rozmów o AI. Czy rozwój jest bogiem, któremu musimy służyć bez względu na cenę?
– Nie wiem. Bomba atomowa też była rozwojem?

Film „Oppenheimer” jest naszpikowany wątpliwościami, że może niekoniecznie.
– Dyskutowałem o tym ze znajomymi amerykańskimi intelektualistami. Mówią, że wtedy trzeba było użyć bomb, bo w przypadku inwazji na wyspy japońskie mogło zginąć nawet 400 tysięcy Amerykanów. Ich życie było ważniejsze niż życie wroga.

Jest też pogląd, że Japończycy bardziej niż bombą Amerykanów bali się inwazji Rosjan. W filmie widać, jaką cenę zapłacił główny bohater – wynalazł bombę wbrew rozterkom moralnym.
– Nie jesteśmy psychicznie przygotowani do tempa postępu.

W naszym filmie Marian Turski opowiada o pobycie w Wielkiej Brytanii, gdy obalono prawo kryminalizujące miłość osób tej samej płci. Przewodniczący Izby Lordów przestrzegł: Nie triumfujcie od razu, poczekajcie, ludzie muszą się przyzwyczaić do nowego. Chodzi nie tylko o wprowadzenie prawa, ale też o zmianę mentalności. Dziś mało kto mówi, że zmiany wymagają czasu. Zbyt szybkie rodzą zagubienie, niepewność, strach.

Jak sobie radzimy z kumulacją strachu?
– Choćby w ten sposób, że przestajemy analizować skutki swojego zachowania, a winę za porażki zrzucamy na innych. Czasem obserwuję to w skrajnej formie na City College of New York, gdzie wykładam.

Oskarżamy o zło Trumpa i trumpistów, a sami też źle postępujemy?
– O, tak. Wyspecjalizowaliśmy się w szukaniu ździebeł w oczach innych, belka w naszym oku nam nie przeszkadza.
Bardzo łatwo jest oskarżać innych. Tyle że z oskarżania innych nic się nie uczymy.
Student ma pretensje: jakim prawem magazyn jest zamknięty, skoro on potrzebuje pobrać sprzęt do zrobienia swojego filmu?

Korzysta ze swoich praw konsumenckich.
– Ale przyszedł 4 godziny po umówionym czasie. Nie umie się przyznać, że spóźnienie to jego wina,

oskarża urząd, instytucję, panią magazynierkę, kogo może, tylko nie siebie.

Czy jak załpi na pociąg, to zażąda zwrotu pieniędzy za bilet?
– Coś w tym jest. U młodych zanika umiejętność brania odpowiedzialności. Są zagubieni i się boją.

Młodzi chyba zawsze tacy byli.
– Tu chodzi nie o uniwersalne problemy związane z dorastaniem, lecz o spojrzenie na wspólnotę, o jakie wartości trzeba się bić w pierwszej kolejności, co jest najważniejsze.
Moi dziadkowie urodzili się przed I wojną. Gdy powstała Polska, wiedzieli, co tracą, gdy im tę Polskę zabiorą. Rodzice urodzili się w II RP, ale przyszedł '39 i też zrozumieli, co mogą stracić.
Za komunizmu moja generacja żyła w narracji wojny, zagłady, Holocaustu, rozbitych rodzin. Nasza rodzina liczyłaby dziś 50 osób, a jest nas tylko trójka. Nasze dzieci dźwigają to brzemię.
Dopiero nasze wnuki urodziły się w demokratycznej, wolnej Polsce. One jako pierwsza generacja od wielu pokoleń nie wiedzą, co mogą stracić – dla nich wolność, demokracja to oczywistość jak powietrze. Mają punkt orientacyjny inny od naszego. Dla nich bardziej liczy się ich „ja”.

Opowiadają państwo o specyficznym polskim doświadczeniu. To nie tłumaczy przyczyn strachu na całym świecie.
– W europejskiej kulturze wierzymy, że rolą jednostki jest bycie częścią społeczeństwa. Czasami przesadnie, szkoła uczy postawy: nie wychylaj się.
Konstytucja Stanów Zjednoczonych mówi, że społeczeństwo ma popierać jednostki w poszukiwaniu szczęścia. In pursuit of happiness. Jednostka najważniejsza, kraj indywidualistów.
W Stanach ludzie zasadniczo się boją. Ci, co mają, że tracą pieniądze i pozycję. A ci, co nie mają, że zbankrutują. Media ten strach podsycają. Strach się świetnie sprzedaje. Liberalowie straszą nadciągającym faszyzmem, a prawica komunizmem i socjalizmem, mimo że tak naprawdę ani jedni, ani drudzy nie wiedzą, co to znaczy. Ale przyciąga uwagę i podnosi adrenalinę.

Uczy nas tego też Hollywood, o którym pisze pan w swoich książkach. Schemat swój/wróg, dobry/niedobry – brak stanów pośrednich.
– Kiedyś zapytałem Freda Zinnemanna (reżysera m.in. „W samo południe”, „Stąd do wieczności” czy „Dnia szakala”), urodzonego tuż przed I wojną światową w Rzeszowie, dlaczego zabrał się do westernu, gatunku czysto amerykańskiego? Odpowiedział: Andrzej, a co to jest western? To żydowski pogrom przeniesiony na zachodnią półkulę. Żli Indianie to Kozacy, a my, biali, to Żydzi. Zauważ, że western zazwyczaj nie dzieje się w wielkim, zintegrowanym mieście, ale w małej wiosce, sztetlu. Zinnemann wyrósł w Europie Środkowo-Wschodniej, czerpał z doświadczenia z terenów I Rzeczypospolitej.

Choć to raczej Anglosasi podbijali Dzikie Zachód.
– Reguły wydają się uniwersalne. Poza tym podbijał każdy, kto mógł. Rodzina Trumpa podbijała tych, co podbijali. Dziadek obecnego prezydenta był znany z tego, że w czasie gorączki złota wysforowywał się jakieś 150 mil na zachód, szybko rozpuszczał wici, że tu jest złoto, a on w tym czasie budował bar, hotel, burdel i sprzedawał mapy. I tak dojechał aż do Kalifornii. Było to żerowanie na chciwości i potrzebach naiwnych, biednych poszukiwaczy złota, którzy zastawiali wszystko, aby znaleźć więcej.

A kto wygra wybory prezydenckie w Polsce?
– Jesteśmy zaniepokojeni sposobem prowadzenia kampanii przez Rafała Trzaskowskiego.
Niestety PiS bardziej niż demokraci bierze pod uwagę, jak zmęczone i zniecierpliwione jest społeczeństwo. Słyszymy to w taksówkach, tramwajach – minął rok, a ludziom się nie poprawiło, żarcie, benzyna, prąd, gaz drożej, inflacja wciąż wysoka, to już może było lepiej z PiS. Jak tak dalej pójdzie, to te populistyczne okrzyki PiS przeważą w najbliższych wyborach.

Może trafili państwo na wyborców PiS w tych taksówkach?

– Ale oni się boją, choć z innych powodów. Nawet w swoim środowisku, czyli filmowym i uniwersyteckim, słyszymy o zapaści, o tym, że telewizja zalega z pieniędzmi, do tego rozgrywki personalne.
Na całym świecie liberalowie i lewica się gubią, gdy to oni muszą zacząć działać i atrakcyjnie to komunikować, retorycznie odebrać argumenty przeciwnikom politycznym. Natomiast konserwatyści robią to znakomicie na całym świecie.

Kiedys było inaczej?
– Nigdy. Demokraci zwykle grają w dupaka, koniecznie w ładnych, eleganckich rękawiczkach.

W co grają?
– No tak. Pan jest młodszy od nas. To gra towarzyska z początku drugiej połowy poprzedniego wieku. Ktoś ma zawiązane oczy, pochyla się i dostaje klapsa w tylek. Musi zgadnąć, kto go uderzył. A jeżeli nie zgadnie, to kolejny klaps. Marek Piwowski świetnie to pokazał w „Rejsie”.
Demokraci byli zawsze reaktywni, konserwatywni, proaktywni. Demokraci, w ogóle liberalowie, czekają, aż druga strona z czymś nawali, prawda? I wtedy dopiero protestują, krytykują, podnoszą larum.
Tak jest w Ameryce i w Polsce. Również w obecnej kampanii prezydenckiej w Polsce. Konserwatyści już w grudniu zaczęli krytykować Trzaskowskiego za zdejmowanie krzyży, choć to przecież nieprawda. Jak się setki razy powtórzy, to ludzie w to uwierzą.

Jaka jest odpowiedź demokratów?
– My jej nie dostrzegamy. Weźmy dwóch najważniejszych kandydatów. Jeden to prezydent Warszawy, zna strukturę rządzenia wielkimi organizacjami, niuanse podatków, budżetowania. Drugi w niejasny sposób został dyrektorem upolitycznionej instytucji, a wokół niego jest coraz więcej wątpliwości. To jest porównywanie Księżyca z Marsem. Dlaczego nie podkreślamy, że Nawrocki został mianowany przez PiS, a Trzaskowski został wybrany?
Może sztab Trzaskowskiego uważa, że to nie jest ważne?
Dla wielu Nawrocki jako szef IPN jest wyrocznią w wielu sprawach historycznych, ze względu na teczkę, jakby zawierały tylko prawdę. Przecież tak nie jest. W mojej teczce stoi, że już w '68 miałem doktorat, co jest wierutną bzdurą.

Jak nie być demokratą nadstawiającym cztery litery do gry w dupaka?
– Mój ojciec dał mi znakomitą radę, jak wezwano mnie na szkolenie do wojska. „Idź do szefa bazy, powiedział, i proś o przydział do grupy, która czyści kible”. To była najlepsza rada.

Dlaczego?
– Bo tam jest spokój i, co najważniejsze, ów pulkownik nie miał już jak mnie ukarać, bo przecież czyszczenie kibli podobno sprawia mi przyjemność. Byliśmy bezkarni. To była moja proaktywność na prymitywnym poziomie.

Czy rozzarowani polscy demokraci nie pójdą do wyborów?
– Ludzie z zasady mają w nosie demokrację, bo nie rozumieją, szczególnie młodzi, co to znaczy ją stracić. Kraje dzisiejszej wspólnej Europy konstytucyjnie są demokracjami, różnią się natomiast poziomem życia i zamożnością. Większość młodego pokolenia jest już wielojęzyczna. Skoro więc mi niedobrze w kraju, w którym mieszkam, po co tracić życie i się narażać, skoro w każdej chwili mogę się przenieść do innego, gdzie będzie mi lepiej? A że tam nie będę miał głosu, to palicho.

Gdybyście spotkali liderów koalicji, a szczególnie premiera, to co byście im powiedzieli?
– To, co powiedział Bill Clinton, „Economy, stupid”. Niech zajmą się tym, co obchodzi przeciętnego Kowalskiego. Może już czas wyciszyć rozliczenia, które i tak są niemrawe? Premier, również prezydent Trzaskowski powinni się skupić na pokazywaniu w mediach: patrzcie za PiS było z tym a tym gorzej, a teraz jest lepiej, zwłaszcza ekonomicznie. Słowa się zapomina, obraz zostaje.

To nie należy rozliczać?
– Ależ należy, tylko to nie może przyćmić innych działań. Głównym daniem koalicji musi być portfel.

Co z prawami człowieka na granicy, prawem do aborcji? Prawa strona powtarza frazę o nachodzącach, infekuje umysły wyborców centrum.
– To straszne słowo.

Pojawia się argument, że trzeba wyciszyć dyskusję o łamaniu praw człowieka na granicy z Białorusią, aby demokraci wygrali wybory.

– Moja błogosławionej pamięci mama mawiała: „Należy tak głosować, aby opcja, za którą jesteś, wygrała”. Osobiście mam bardzo mieszane uczucia wobec tej strategii, ale możliwe, że tę drogę trzeba wybrać.

– A ja nie jestem pewien.

– Aborcja dotyczy kobiet od nastoletniego do średniego wieku. Panie powyżej pięćdziesiątki rzadko myślą o aborcji.

– Nigel Farage przed brexitem zastosował majstersztyk w manipulacji. Podzielił społeczeństwo na trzy grupy. Pierwsza to młodzi ludzie uzależnieni od internetu. Nie chcą stać godzinę w kolejce, bo mogą wszystko zdobyć szybciej na telefonie. Im propagandowa machina serwowała: będą kolejki, trzeba będzie stać w deszczu, może być zimno.

Dla starszych, którzy pamiętali imperium, przekaz brzmiał: wspomnijcie naszą wielkość, itd.

A średniemu pokoleniu serwowano: chcecie, żeby Bruksela nam cały czas coś dyktowała?

Ta komunikacja była świetnie przygotowana, z niemalże chirurgiczną precyzją, i to zagrało.

Może demokraci powinni z tego wyciągnąć wnioski – o zwycięstwie zdecydują niezdecydowani albo ci, którzy nie pójdą na wybory.

To kto wygra polskie wybory prezydenckie?

– Też bym chciała, aby wygrał Trzaskowski, ale na razie mam wątpliwości, czy tak się stanie.

Powiedziała pani, że Żydzi znów schodzą do piwnic. Tylko Żydzi, czy w ogóle Inni, przedstawiciele mniejszości, niepasujący, których łatwo zaatakować?

– Głównie Żydzi. Sympatia świata do Izraela skończyła się po paru godzinach po ataku Hamasu 7 października 2023 roku.

Jakie słowa Mariana Turskiego z filmu powinniśmy zapamiętać, szczególnie w tym roku?

– Marian Turski przeżył Holocaust i opowiada, jak postrzega świat, z niemalże chirurgiczną precyzją pokazuje, jak rodzi się zło, jak mu zapobiegać, jak cenna jest demokracja. Nie bądź obojętny. Reaguj na negatywne rzeczy, które widzisz, nie przechodź obok nich, nie reagując.

Marian jest wyjątkową postacią. W 1965 r. razem z Martinem Lutherem Kingiem szedł w marszach z Selmy do Montgomery w proteście przeciwko segregacji rasowej. W filmie opowiada, jak tam się znalazł, co go spotkało. Spalono im samochód, bo jako biały przyjechał z czarnym kolegą. Opowiada, jak spał na pryczy obok Kinga.

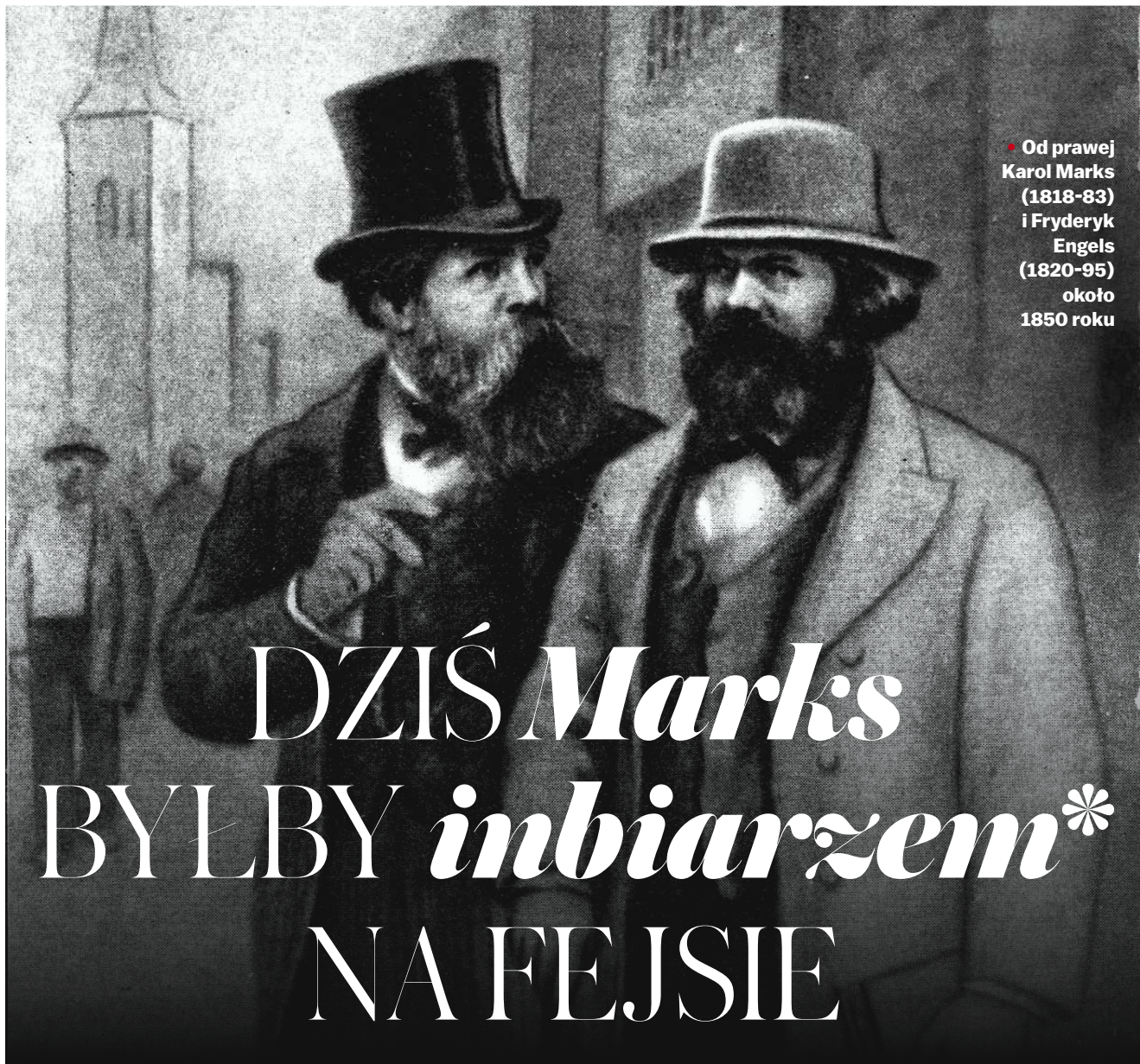
Marian już w getcie działał w organizacji komunistycznej, później w niemieckim obozie i w tej Nowej Polsce. Wielu młodym Żydom się zdawało, że komunizm to panaceum na antysemityzm. Tym bardziej że dzięki zbiorowemu, społecznemu wysiłkowi kraj tak szybko się odbudował, powstały szkoły, instytucje.

Obejrzałem niedawno pełną, 9,5 godziną wersję filmu „Shoah” Claude’a Lanzmanna. Zaskakuje aktualność tego filmu, jakby został nakręcony tu i teraz, choć przecież ukazał się niemal równo 40 lat temu. Może w szkołach średnich projekcja takich dokumentów i dyskusja o nich powinny być punktem obowiązkowym?

– Na 50-lecie Marca '68 w czteroosobowej grupie – my, Elżbietka Dym i Andrzej Titkow – poszliśmy parę razy do Liceum Batorego w Warszawie. Za pierwszym razem nauczyciele nakrzyczeli na młodzież, aby nas słuchała. Nie wiem, z jakim efektem. W ich świadomości '68 jest tak odległy jak bitwa pod Grunwaldem. Za drugim razem Andrzej wymyślił, że zrobimy małą inscenizację. Wyciągnął czterech uczniów i powiedział: „Ty jesteś dziewczynką, która wyjeżdża. To twój chłopak, nie ma nic wspólnego z Żydami, tak jak i koleżanka. Tobie rodzice nakazali, że masz nic nikomu nie mówić, bo będą reperkusje”.

I ni stąd, ni zowąd te dzieciaki zaczęły reagować. Bo nagle ich to dotknęło osobiście.

Chcemy otworzyć oczy następnym pokoleniom, uczulić młodych na otaczający świat, na zagrożenia powszechnie niezauważane. W latach 30. tylko niektórzy je dostrzegali. Gdy dojdzie do haniebnych czynów, będzie za późno. Czas krzyknąć: „Zobaczcie, dokąd doszliśmy!”. Pieniądze nie są najważniejsze. A Marian Turski o tym mówi. ●



• Od prawej
Karol Marks
(1818-83)
i Fryderyk
Engels
(1820-95)
około
1850 roku

DZIŚ Marks BYŁBY inbiarzem* NA FEJSIE

FOT. ROGER VOLLET / GETTY IMAGES

Jak każdy inteligentny człowiek Karol Marks potrafił być miły. Tylko że niezbyt często się starał.

Z **KRZYSZTOFEM ISZKOWSKIM**
ROZMAWIA **WOJCIECH SZOT**

WOJCIECH SZOT: Czy Karol Marks lubił dzieci?

KRZYSZTOF ISZKOWSKI: Podobno tak. W jego pierwszej biografii, którą wydano na początku XX wieku, jest dość długi fragment o tym, jak to, gdy mieszkał w londyńskim Soho – wtedy zatłoczonej, biednej dzielnicy – Marks był wprost oblegany przez dzieci, z którymi żartował, bawił się i dzielił miedziankami, a tych nie miał wtedy dużo.

Autor tej biografii – amerykański socjalista dość bezkrytycznie powtarzający to, co usłyszał od córki Marksa i jego współpracowników – zapewnia nas też, że miłość do dzieci Marks zachował do końca życia. A podczas jego długiej choroby obecność wnuczki była dla niego jedynym źródłem pocieszenia.

Niezależnie od tych cekiwości wszystko wskazuje na to, że z trzema córkami, które dożyły do dorosłości, miał zawsze dobre relacje. Z drugiej strony śmierć trojga niemowląt (w sumie jego żona rodziła siedem razy) nie przejęła go jakoś szczególnie, a z synem, którego miał ze służącą, nie utrzymywał kontaktu. Ale kiedy umarł jego najstarszy syn, pieczołotliwie nazywany Pułkownikiem, Marks był zdruzgotany.

Czyli był miłym człowiekiem?

– Tak samo jak Bierut i Wojtyła, po których zostały dziesiątki zdjęć z uśmiechniętymi dziećmi na rękach. A mówiąc serio – oczywiście, jak każdy inteligentny człowiek Marks potrafił być miły. Tylko że niezbyt często się starał.

Skąd ten wniosek?

– W jego spuściźnie zachowało się nieporównywalnie więcej ataków na rzeczywistych i domniemyanych wrogów niż tekstów, w których wyrażałby się o kimś z uznaniem. Całe książki i lata pracy poświęcił swoim adwersarzom. Bez sensu, bo o niejakiem Voigtcie nie pamiętałby dziś pies z kulawą nogą, a tak jego nazwisko

jest znane wszystkim, którzy interesują się Marksem. Polemiki i ataki personalne były tym, co go najbardziej ekscytowało. Potrafił być dowcipny, ale przeważnie wychodziła z niego okropna małostkowość.

Czyli dzisiaj Marks byłby inbiarzem na Fejsie?

– Na pewno odnalazłby się w tym. Gdyby narzędzia do wszczynania i prowadzenia awantur były w jego czasach równie przystępne jak dziś, to raczej nie byłoby marksizmu. Czas i energia, które włożył w krytykę ekonomii politycznej i w stworzenie nowego systemu filozoficznego, zostałyby zużyte na dowodzenie, że X jest ruskim szpiegiem, a Y śmiesznie się przejęczyca.

Skąd w nim ten zapal?

– Iskra boża, taki już miał charakter. A przy tym odpowiednie warunki stworzone przez oddanego przyjaciela, który utwierdzał go w przekonaniu, że to, co mówi, ma sens. Do tego mówił wszystkim, że Marks jest geniuszem. Często brał na siebie część jego pracy. No i wspierał finansowo. Istny skarb.

Czy Karol Marks istniałby bez Fryderyka Engelsa?

– Fizycznie, przez pierwsze 30 lat życia – oczywiście. Ale już niekoniecznie dożyłby roku 1883 jak w rzeczywistości, bo mógł umrzeć z wycieńczenia i zgryzoty jako nikomu niepotrzebny uchodźca polityczny. A duchowo czy intelektualnie, w tym sensie, w jakim Marks istnieje dzisiaj w naszej świadomości – na pewno nie.

Gdyby nie Engels, to o Marksie pamiętaliby tylko nieliczni historycy idei specjalizujący się w niemieckiej filozofii połowy XIX wieku. Być może też badacze radykalnych ruchów politycznych, choć i tu nie wiadomo, czy Marks zdołałby osiągnąć istotną pozycję bez wsparcia. Może skończyłby jako przypis do opisu ówczesnej debaty publicznej, bo ludzi biorących w niej udział było wielu, a to, co mieli do powiedzenia, nie ustępowało marksowskiemu refleksjom.

„Widmo krąży po Europie – widmo komunizmu”, napisali na przełomie 1847 i '48 roku w „Manifestie partii komunistycznej”.

– Ten tekst był ukoronowaniem znakomitego czasu, który spędzili razem w Brukseli. Żyli tam w czymś, co można określić mianem intelektualnej komuny: pisali do szuflady rzecz, którą bolszewicy wydali dopiero ponad 80 lat później jako „Ideologię niemiecką” i która oprócz błyskotliwych nowatorskich fragmentów zawiera też długie ciągi małostkowych, personalnych złośliwostek.

Co ciekawe, pierwsze spotkanie Marksa z Engelsem w 1842 roku w kolońskiej redakcji gazety, w której Marks pracował, a Engels chciał zamieścić swój tekst, było dosyć chłodne. Ale dwa lata później w Paryżu, gdzie Marks usiłował stworzyć czasopismo przybliżające niemiecką myśl Francuzom, a francuską Niemcom, łody pękły i zawiązała się relacja, która zmieniła świat.

Dlaczego Engels tak się zaangażował w Marksa?
– Są autorzy, którzy dopatrują się erotycznej fascynacji. Nie jestem przekonany do tej hipotezy, przeczuwam, że może być fantazją ludzi, którzy ją stawiają. Choć ostentacja, z jaką Engels obnosił się ze swoimi heteroseksualnymi przygodami, sugeruje, że coś jednak może być na rzeczy – jakby opinia rozwiązłego kobieciarza miała być zasłoną dla prawdy, którą uważał za wstydliwą. Sam Marks, zanim jeszcze uzależnił się finansowo i intelektualnie od Engelsa, z typową dla siebie złośliwością sugerował w liście do jednego ze znajomych, że świadczy on usługi seksualne mężczyznom. Wątpię jednak, by kiedykolwiek dało się to zbadać i rozstrzygnąć. Pozostaje nam więc klasyczne wytłumaczenie filozoficzno-ideowe, według którego Marks sprawnie werbalizował to, co Engels był w stanie zaledwie pomyśleć. Zapewne mu też imponował – miał doktorat z filozofii, podczas gdy młodszy o dwa lata Engels skończył zaledwie gimnazjum, a w wieku 18 lat został wysłany przez ojca na praktyczną naukę biznesu u zaprzyjaźnionego kupca.

„(...) Karol Marks jest jedną z osób symbolizujących komunizm, przez co nazwa ulicy Karola Marksa wypełnia normę ustawy o zakazie propagowania komunizmu (...)”, stwierdził IPN niemal dekadę temu. Marks wciąż budzi emocje.
– Tak, i te emocje – widoczne także w zalewie hejtu pod informacjami wydawnictwa o zbliżającej się premierze – potwierdzają, że warto było tę książkę napisać. Bo jakaś część rozemocjonowanych może się zaciekawi, czego i kogo nie lubi. Natomiast z tym, że Marks symbolizuje komunizm, nie ma co polemizować, tak samo jak z ustawowym zakazem propagowania komunizmu. Nie boleję nad tym, że nie jest patronem ulic, bo bardziej należałoby się to Darwinowi albo Keynesowi. Jedynie, co warto dodać w tym kontekście, to to, że komunizm jako ruch polityczny istniał przed Marksem, a jego działania doprowadziły raczej do jego osłabienia niż wzmocnienia.

Dlaczego?
– Ponieważ Marks oczyścił komunizm ze wszystkich chrześcijańskich uzasadnień i odniesień. On i jego kumple intelektualiści mogli sobie bez tego bagażu doskonale poradzić, ale dla prostych proletariuszy Biblia była często jedynym tekstem, do którego mogli odnieść kwestie polityczne czy moralne. Brutalne powiedzenie, że jest nic niewarta, musiało zrazić do komunizmu przynajmniej część z nich.

Co Marks zaproponował zamiast religii?
– Jak sam twierdził, naukę. Było to jednak nadużyciem, bo za spełniającą rygory naukowej metody uznawał logiczną dedukcję, którą sam prowadził. Uważał, że ma na to papiery, czyli doktorat – dziś byłoby to raczej magisterium – z filozofii.

To czym było pisanie Marksa?
– Wyrafinowaną publicystyką.

Jaka jest geneza „Kapitału”?
– Musimy ją zacząć od rewolucji francuskiej pod koniec XVIII wieku, która zmieniła życie wszystkich Europejczyków, a oświecone części społeczeństw traumatyzowała. Jak zwykle z traumami bywa, zaczęto obawiać się powtórki, tym bardziej, że warunki życia biedoty były koszmarnie. Tak jak w drugiej połowie XX wieku spodziewano się trzeciej wojny światowej, tak w czasach Marksa rosło przekonanie o nadciągającej kolejnej rewolucji. Opisanie, w jaki sposób do niej dojdzie, wydawało się doskonałym pomysłem dla kogoś, kto miał ambicje zostać intelektualnym celebrytą. Gdy w „Manifestie komunistycznym” pojawia się zdanie o tym, że „niewielka część klasy panującej zrywa z nią i przyłącza się do klasy rewolucyjnej”, ten zakład, to obstawienie proletariackiego konia przez dwóch młodych „burżuaz”, staje się w zasadzie jawne. Wiosna Ludów – europejskie wrzenie lat 1848-49 – przegrywa, ale czemu nie podnieść stawki? Pogłębić analizę, pokazać, że rewolucja jest nieunikniona, a wynika to z wewnętrznych sprzeczności dotychczasowego systemu.

Na takim pogłębianiu upłynie Markswi reszta życia – najpierw z zapalem i w nadziei, że ściga się z czasem, potem z coraz większym mozołem.

Musiało to być frustrujące.
– Największe rozczarowanie przyszło w roku 1857, kiedy kryzys gospodarczy po obydwu stronach Atlantyku okazał się na tyle duży, żeby pozbawić go źródeł dochodu z pisania do amerykańskiej prasy, ale za mały, żeby doprowadzić do komunistycznego przesilenia. A pod koniec życia, kiedy Marks zagłębiał się w szczegóły działania gospodarki, zaczynał dopuszczać możliwość, że w najbardziej rozwiniętych zachodnich krajach takich jak Wielka Brytania i Niemcy przejście do następnego etapu w dziejach dokona się metodą demokratyczną, a nie rewolucyjną.

Czyli „Kapitał” nie jest zamkniętą sumą poglądów Marksa?
– Zdecydowanie nie. Pisanie „Kapitału” było nieskończone długim procesem, podczas którego Marks ciągle się uczył – choć ciągle raczej szukał potwierdzeń dla swoich intuicji, niż próbował coś zbadać – robił notatki na marginesach, rozwijał niektóre poboczne wątki do rozmiaru rozdziałów. Pod względem redakcyjnym całość, co widać w pierwszym niemieckim wydaniu, była dość chaotyczna. Podczas przekładu na francuski, pierwszy tom „Kapitału” nieco uporządkowano, z czego Marks był bardzo zadowolony, a Engels – co pokazuje, że były jednak między nimi różnice – nie. „Kapitał” ma znaczenie bardziej jako symbol niż jako naukowy traktat. Członków międzynarodówki komunistycznej miał przekonać, że ich praktyczne działania polityczne mają solidną podstawę teoretyczną. Komunista powinien mieć „Kapitał”, tak samo jak ksiądz powinien mieć Biblię. Ale to, czy wszyscy komuniści czytali dokładnie „Kapitał”, jest równie wątpliwe jak to, czy wszyscy księża czytają Biblię.

Marks zawsze określał się jako Niemiec, koniec kropka. Ale w większości nekrologów – od Europy po Stany Zjednoczone – pisano, że zmarł wybitny przedstawiciel narodu żydowskiego

„(...) arkusz drugi nosi szczególnie wyraźnie odciśnięte ślady twoich czyraków”, pisze Engels do Marksa o rękopisie „Kapitału”. Jeden z rozdziałów książki tytułujesz: „Czyraki”.
– Marks miał prawdopodobnie autoimmunologiczną chorobę, która aktywowała się w stresujących momentach. A wydaje się, że stresowały go wszelkie oficjalne zobowiązania, na przykład wobec wydawcy, któremu musiał dostarczyć rękopis „Kapitału”. Pracę rozumiał jako celowe przekształcanie świata zgodnie z wewnętrznymi przekonaniami i jako kluczowy element kondycji ludzkiej. Nie jest to sposób, w jaki intuicyjnie zdefiniowaliby pracę inni ludzie, chociażby harujący w fabrykach robotnicy, których najsilniejszym wewnętrznym przekonaniem było, żeby nie umrzeć z głodu. Jednak pewność siebie Marksa i przekonanie, że doktorska introspekcja wypełnia wymogi metody naukowej, sprawiły, że własne motywacje uznał za powszechne. Był to błąd, który na poziomie teoretycznym zaowocował teorią alienacji pracy (umiarkowanie potrzebną, bo do zniesienia wyzysku można by nawoływać i bez niej), a w praktyce „realnego socjalizmu” sprawił, że był on systemem równej dystrybucji niedostatku.

Gdzie w tym czyraki?
– O ile przeciętny człowiek pracuje tym ciężiej, im mocniejsza zewnętrzna motywacja, a jak zewnętrzny nacisk słabnie, to chętnie się położy i odpocznie, to Marks miał na odwrót. Z wewnętrznej potrzeby pisał szybko i przejrzysto, choć często rozwlekle i z niezbędnymi docinkami. Ale wraz z umową wydawniczą pojawiały się męki twórcze, pisanie stawało się takim obciążeniem, że dostawał wrzodów na ciele, czyraków, bolała go wątroba. Autentycznie cierpiał. W rezultacie nawet jego najlepszy przyjaciel mówił mu, że w tekście widać wynikający z choroby brak uważności.

„Sepleniące gaduły niemieckiej ekonomii wulgarnej ganią styl i sposób wykładu mego dzieła”, pisze w 1873 roku w posłowniu do drugiego wydania „Kapitału”, po czym przytacza pozytywną dla siebie recenzję, w której ktoś stwierdza, że w przeciwieństwie do Marksa większość niemieckich uczonych pisze

„książki językiem tak ciemnym i oschłym, że zwykłego śmiertelnika aż w głowie lupie”. Komentarz Marksa? „Czytelników dzisiejszej niemiecko-narodowo-liberalnej literatury profesorskiej lupie jednak wcale nie w głowie, tylko zupełnie gdzie indziej”.
– No i właśnie – sztubacki żart raczej niegodny filozofa ani ekonomisty, bo przecież nerwobóle nie przesądzą o słuszności jakiegokolwiek wyводу. Ale rzeczywiście, zabolalo go, że nie wszyscy się zachwycili tym, co napisał, choć najczęstszą reakcją nie było krytyka formy, lecz milczenie. „Kapitał” przez długi czas nie miał recenzji. Do tego stopnia, że Engels, trochę jak babcia, która wysyła anonimowe walentynki wnuczkowi, namawiał znajomych, by pisali krytyczne recenzje w różnych niemieckich periodykach, a niektóre sam napisał, i to z różnych ekonomiczno-politycznych perspektyw. To był bardzo nowoczesny marketing. Zatem być może, że za niektórymi „sepleniącym gadulami” krył się sam Engels.

Po co nam dzisiaj biografia Marksa? Komentariat i tak będzie wiedział swoje.
– To był ciekawy człowiek o dużym wpływie na świat, również dzisiejszy, bo przecież co chwilę jakiś prawicowy polityk lub kościelny hierarcha straszy „marksizmem” – zwłaszcza „kulturowym” – w publicznej debacie. Więc byłoby dobrze, żeby publiczność mogła w przystępnej formie sprawdzić, o czym mowa.

W Polsce, inaczej niż na Zachodzie, ukazało się niewiele biografii Marksa. Większość z nich była pisana z ideologicznych pobudek. Najpierw – na początku XX wieku – ich autorami byli komunistyczni aktywiści, potem, w latach 50. XX wieku, partyjnicy. Po 1989 roku pojawiły się nieliczne tłumaczenia z angielskiego. Ja piszę dla polskiego czytelnika. Ta narodowa perspektywa nie jest bardzo ważna, ale pozwala osadzić pewne rzeczy w kontekście. Czasami wyjaśnić, co działo się poza ziemiami polskimi, a czasem odnieść się do wydarzeń, które miały miejsce między Odrą a Dniestrem.

Na marginesie dodam, że Marks i Engels kibicowali Polakom w oporze wobec caratu, ale nie był to dla nich priorytet.

Czy Marks odnalazłby się w tym, co dzisiaj jest nazywane „marksizmem kulturowym”?
– Nie wiem. Może... jeśli w pakiecie byłoby wiele dobrych słów o samym Marksie. A może by się nie odnalazł, gdyby miał gorszy dzień, nasilenie fobii czy choroby. Marks pisał przez ponad 40 lat – to zbyt długo, by zachować idealną spójność. Przykładowo: w „Manifestie komunistycznym” postuluje zniesienie pracy dzieci i powszechną publiczną edukację, ale gdy 27 lat później w jego ręce trafia program niemieckich socjaldemokratów, krytykuje go w sposób, który dziś kojarzymy z konserwatywno-liberalnym betonem. Mianowicie uważa, że gospodarka nie wytrzyma zupełnego zakazu zatrudniania dzieci, a powszechna edukacja może oznaczać równanie w dół. W pewien sposób ta ewolucja z młodego rewolucjonisty, który mówi „zaraz będzie inaczej”, w nestora ruchu, który dostrzega ograniczenia, jest dość naturalna. To już czasy Bismarcka, który komplementuje socjalistów – o ile nie trwają w swym idealizmie do starości...

Czy jest coś, czego biografowie Marksa jeszcze nie wiedzą?
– Zajmowało się nim już tak wiele osób, a wszystkie pozostawione zapiski zostały już tak dokładnie zbada- ne, że wątpię, by można było odkryć coś nowego. Jest jednak wątek, który moim zdaniem zasługuje na większą uwagę. Mianowicie wpływ antysemityzmu, którego Marks na pewno doświadczył, na jego życie. Rozmawiamy przecież o człowieku, który urodził się w małym miasteczku jako wnuk i bratanek rabina. Ojciec Marksa przyjął chrzest, żeby móc kontynuować pracę jako adwokat, ale się nie przeprowadził. Wśród 11 tysięcy mieszkańców Trewiru powszechną wiedzą było to, że Marksowie to rodzina jeszcze nie tak dawno żydowska.

W 1819, rok po narodzinach Marksa, przez Niemcy, od Augsburga po Królewiec, przetacza się fala pogromów „hep-hep”. W 1827 roku ukazuje się antysemicka powieść „Jud Süß” Wilhelma Hauffa, która 100 lat później stała się kanwą dla jednego z najbardziej zacieklých filmów nazistowskich. Trudno sobie wyobrazić, by w tych warunkach młody Marks nigdy nie był celem jakiegoś ataku, chociażby słownego. Jednak w jego pismach czy w poświęconych mu książkach nie ma o tym żadnej wzmianki. On sam zawsze określał się jako Niemiec, koniec kropka.

***inbiarz lub imbiarz**
– osoba czerpiąca przyjemność ze wszczynania internetowych awantur.

Krzysztof Iszkowski jest socjologiem i historykiem idei, ukazała się właśnie jego książka „Idol. Życie doczesne i pośmiertne Karola Marksa” (Wyd. Agora).

Ale w większości nekrologów Marksa – od Europy po Stany Zjednoczone – pisano, że zmarł wybitny przedstawiciel narodu żydowskiego.

Kiedy Marks stał się międzynarodowo znany?

– Dopiero w 1871 roku, kiedy wyszło na jaw, że to on pisał rezolucję I Międzynarodówki w sprawie Komuny Paryskiej. Niecały miesiąc po zdławieniu Komuny ukazał się wywiad z Marksem w „New York World”, a w listopadzie jego biografia była głównym tekstem paryskich „Ilustrowanych Wiadomości”. Określono go jako „szefa Międzynarodówki”. Artykuł przedrukowały gazety w kilku krajach.

A po śmierci? W którym momencie popkultura odkrywa Marksa?

– Można powiedzieć, że pierwszym popkulturowym zdarzeniem związanym z Marksem jest sposób, w jaki carska cenzura potraktowała pierwsze rosyjskie wydanie „Kapitału”. Otóż zezwolono na druk książki, słusznie zauważając, że jest to zagmatwany traktat ekonomiczny niemający odniesienia do rosyjskiej rzeczywistości, ale zabroniono umieszczać w niej fotografię autora, żeby nie stała się przedmiotem kultu.

Dopóki żył Engels, pamięć o Marksie była kultywowana w partiach zrzeszonych w II Międzynarodówce. Ale na początku XX wieku zaczęło to słabnąć – do czasu, aż bolszewicy przejęli władzę w Rosji i dosłownie umieścili Marksa na sztandarach. Zaczęli też publikować resztę jego spuścizny, teksty, których Engels z jakiegoś powodu nie wydał. To jednak było jak najbardziej serio, również na Zachodzie.

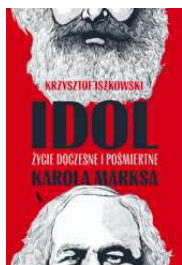
Dopiero od upadku Sowietów Marks wchodzi do kultury popularnej. Gdy skończyłem pisać książkę, dostałem od partnerki skarbonkę w kształcie jego popiersia. Marks ma dziurę w głowie, do której można wrzucać drobnaki i ciulać kapitał. Widziałem foremki na ciasteczka w kształcie Marksa. Oczywiście są plakaty, jakieś przypinki. Wlepki. W zasadzie nieźle jak na gościa, który nie żyje od prawie półtora wieku.

Co by Marks powiedział o Donaldzie Trumpie?

– Że burżuazja doszła do ściany, wszelkie pozory opadły i zaczęły się niczym nieograniczone rządy pieniądza w formie czystej. A po nich może być tylko rewolucja i komunizm. Ale 44 lata wcześniej, po zwycięstwie Reagana, też mówiłby o dojściu do ściany, może bez podkreślania, że rządzą pieniądze, a za to twierdząc, że wybór aktora pokazuje, że cała demokracja to ściema. Taką kategoryczną ocenę trudno jest jednak pogodzić z przekonaniem o historycznym determinizmie. Trump dostał przecież tylko 49,8 proc. bezpośrednich głosów, a poparło go zaledwie 77 milionów wyborców z 242 milionów uprawnionych, czyli mniej niż jedna trzecia. Prezydent Stanów Zjednoczonych ma wielką władzę i wielki wpływ na świat, a Trump przeraża, ale koniec końców polityka to tylko cienka warstwa pokrywająca złożone społeczne zjawiska.

Wprowadzenie Elona Muska do politycznego mainstreamu sprawiło, że nawet Donald Tusk musiał znaleźć „swojego” oligarchę. I tak Rafał Brzóska stał się bohaterem niezwykłego politycznego spektaklu.

– Tu Marks pewnie znowu zacytowałby Hegla: „Wszystkie wielkie historyczne fakty i postacie powtarzają się, rzec można, dwukrotnie. Za pierwszym razem jako tragedia, za drugim jako farsa”. ●



Idol. Życie doczesne i pośmiertne Karola Marksa

Krzysztof Iszkowski
Agora 2025



• **Król Ludwik II Bawarski (1845-86)** podczas nocnego kuligu ze swojego zamku w Neuschwanstein do pałacu Linderhof. Obraz Karla Gottleiba Weidnera z 1888 roku FOT. ALBUM / EAST NEWS

Z DROGI, ŚLEDZIE, *bo król jedzie!*

Podczas podróży na Krym na czele orszaku carycy Katarzyny jechało 14 karoc na płożach ogromnych jak wagony Orient Expressu. Za nimi sunęły 124 sanie skromniejszych rozmiarów i jeszcze 40 zapasowych. Na wszelki wypadek.



Książę Karol Stanisław Radziwiłł „Panie Kochanku” (1734-90), najbogatszy magnat Rzeczypospolitej, miał kaprys, by latem pojeździć na saniach, rozkazał więc wysypać dziedziniec pałacu w Nieświeżu cukrem i na nim urządzono kulig

nawiezionym śniegiem kongresowy kulig podziwiała tłumy wiedeńczyków.

PAŃSTWO SIĘ BAWI

Jednak arystokraci nie musieli szukać pretekstu do urządzania ulubionej zimowej rozrywki. Od XVI wieku powszechnym zwyczajem możnych było zapraszanie gości do swoich rezydencji na wieczorne kuligi.

W 1556 roku książę biskup Salzburga wręcz nakazał arystokratycznym dworzanom w strojach karnawałowych uczestniczyć w kuligu, który pędził nocą ulicami miasta przy świetle latarni i muzyce bębnow i piszczałek.

Od XVI wieku z organizacji niezrównanych przejażdżek na saniach słynął dwór w Dreźnie, który w razie czego zawsze mógł przywieźć śnieg z pobliskich Rudaw. W swoim „Dzienniku saksońskim” z 1669 roku francuski uczoney i pisarz Samuel Chappuzeau (1625-1701) relacjonował wydarzenia na dworze elektora Saksonii Jana Jerzego II: „Kiedy śnieg pokrywa krajobraz wokół Drezna, można zobaczyć sanie, które wraz z niewiarygodną liczbą dzwonków mocno obciążających konie muszą kosztować ponad 20 tys. koron. [...] Ze wszystkich stron lśnią złotem i błękitem nieba, a ponieważ zwykle podróżują w ciemności przy świetle pochodni, ta rozrywka jest naprawdę wspaniałym widowiskiem”.

W XVII i XVIII wieku na wiedeńskim dworze cesarskim panował zwyczaj organizowania między świętem Trzech Króli a Środą Popielcową paradnych przejażdżek saniami, w których często uczestniczyło od 40 do 50 pojazdów. W ciągu dnia ich trasa prowadziła do pałaców Schönbrunn i Laxenburg, co zabierało około dwóch godzin. Nocne przejażdżki trwały o połowę krócej, towarzystwo jeździło głównymi ulicami Wiednia, na dużych placach wykreślając na śniegu okręgi, serpentyny i inne figury zgodnie z ustaloną choreografią.

SZYBKI JAK BŁYSKAWICA

Radość z wyścigów sań odkryto we Francji pod koniec XVII wieku. W Wersalu podczas surowych zim rozległe aleje parku oferowały dworowi fantastyczne możliwości zabawy.

Ludwik XV słynął z powożenia saniami z szaleńczą prędkością, co budziło w ich pasażerach strach o życie. Odnotowano, że 3 stycznia 1739 roku Franciszka Maria de Bourbon, księżna Orleanu, wówczas 62-letnia, odrzuciła zaproszenie króla na przejażdżkę saniami, mówiąc, że jest na to za stara. Jako nieślubna córka Ludwika XIV mogła sobie pozwolić na odmowę, inne damy nie miały takiego szczęścia. Metresa Ludwika XV Madame de Mailly pojechała i bała się jak nigdy w życiu.

Wesoła ferajna startowała „po obiedzie”, około godz. 14, i pomykała ścieżkami ogrodowymi wokół zamrażniętego Wielkiego Kanału, zatrzymywała się w Menażerii na gorącą przekąskę i „galopowała w górę i w dół, kto mógł jechać szybciej”, wspo-

minał książę Emanuel de Croÿ, marszałek Francji. I tak do zachodu słońca, a nawet do północy.

Za to w Paryżu na Polach Elizejskich i promenadzie Cours la Reine organizowano wyścigi sań, którym kibicowały tysiące paryżan. „Piękno koni w pełnym galopie, bogactwo uprząży i strojów, dźwięk dzwonków, różnokolorowe sztandary unoszące się w powietrzu oraz wspaniałość gustomnie pomalowanych i złożonych sań, o przyjemnych i bardzo różnych kształtach [...], wszystko to w połączeniu z dźwiękiem orkiestry dętej stworzyło bardzo niezwykle efekt” – opisał „Mercure de France” w lutym 1739 roku.

POLACY NIE GĘSIE, LECZ SWE SANIE MAJĄ

Wspaniałą szlichtadę (od niemieckiego Schlitten – sanie) zorganizowaną w Warszawie 20 stycznia 1695 roku opisał Ludwik Clermont, sekretarz królowej Marysienki:

„O trzeciej z południa trębacze dali sygnał i cały orszak wyruszył, jak następuje: 24 Tatarów konno ze służby królewicza Jakuba. Dziesięcioro sań po czworo koni jeden przed drugim, czyli jak zowią – szydłem: na każdych sankach inna muzyka, to jest: Żydzi z cymbalami, Ukraińcy z teorbunami [instrumenty podobne do lutni], trębacze, fajfry [wojskowi muzycy grający na piszczałce], janczarowie zebrani z różnych dworów. Następowaly sanie okryte perskimi kobiercami albo lampartami, sobolami i różnymi drogimi futrami. [...] W każdych saniach państwo, po kilka osób płci obojej, a około sań młodzież dworska konno. Takich ekwipażów było 107, trudno było dać któremu z nich pierwszeństwo, bo wszystkie celowały doborem koni, kosztownością futer i liberii, osobiwie hajduków [lokajów w strojach węgierskich]. Na końcu były sanki w kształcie pegaza; siedziało w nich ośmiu młodzieńców, którzy rozrzucali wiersze ułożone przez [Jędrzeja] Ustrzyckiego i [Wojciecha] Chrościńskiego. Zamykał tę paradę udział drabantów [straży przybocznej]”.

JAKI PAN, TAKI KULIG

Początkowo kuligi nie były rozrywką gminu, ale stanowiły część dworskiego ceremoniału – pozwalały władcy demonstrować swoją potęgę i wyższość nad poddanymi. To on wybierał temat kuligu i określał ubiór jego uczestników, a kolejność pojazdów odzwierciedlała hierarchię dworu. Jeśli władca był akurat nieobecny, kulig otwierały niekiedy puste sanie.

Decydował też, kto może organizować parady sań na jego terenie. W 1712 roku książę Eberhard Ludwik Wirtemberski zezwolił jedynie członkom szlachty na jazdę saniami po Stuttgarcie. Trzy dekady później jego syn, książę Karol Eugeniusz, zakazał wszystkim poddanym jazdy saniami, dopóki takiej przejażdżki w danym sezonie nie zażył on sam. Kulig prowadzony bez zezwolenia od dworu lub urzędu marszałkowskiego był zatrzymywany i wypręgano z niego konie.

Joanna Banaś

Gdy włoski franciszkanin Jan Kapistran, płomienny kaznodzieja, w 1452 roku w Norymberdze nawoływał mieszkańców do bogobojnego życia, swoim zwyczajem spalil przedmioty zbytku przyniesione przez wiernych pragnących zerwać z grzechem. Obok najmodniejszych ciżem z przodami wywiniętymi do samego nieba, wykwintnych ubrań, biżuterii, kart i kości do gry na stosie wylądowały także 72 pary sań.

Kaznodzieja uważał je za dowód próżniaczego stylu życia, a ponieważ były ozdobione figurami pogańskich bogów, dodatkowo zbesztal ich właścicieli jako lubieżnych i grzesznych.

Najwyraźniej nie wszystkich Kapistran przekonał, bo od późnego średniowiecza wszelkie uroczystości organizowane zimą przez arystokrację: wesela, chrzciny czy traktaty pokojowe, nie mogły się odbyć bez kuligu.

Uroczysty przejazd na saniach był elementem świątecznego programu z okazji wizyty króla Węgier Macieja Korwina u cesarza Fryderyka III Habsburga w 1470 roku.

Z okazji sejmu Rzeszy w Augsburgu (1530) cesarz Karol V i jego siostra Maria, królowa Czech i Węgier, a także król Ferdynand i jego żona Anna podróżowali przez miasto wspaniałymi saniami.

W styczniu 1586 roku, dwa dni przed ślubem z księżniczką Anną z Wettinów, Jan Kazimierz z Saksonii-Koburga zorganizował w Dreźnie huczną imprezę sanceczkarską.

W paradzie sań towarzyszącej zaślubinom cesarza Leopolda I z Eleonorą Magdaleną z Palatynatu-Neuburga w Pasawie w grudniu 1676 roku jechało 51 pojazdów. Gdy w 1690 roku ich 11-letni syn Józef został wybrany na cesarza, przez Augsburg w uroczystym kuligu przejechał korowód 18 sań, którym towarzyszyło po czterech ludzi z pochodniami. O oprawę muzyczną dbali wojskowy kotlista i trębacz jadący na saniach ciągniętych przez sześć koni.

Podpisanie pokoju westfalskiego (24 października 1648 roku) kończącego wojnę 30-letnią świętowano w Norymberdze 4 stycznia 1649 roku szwedzkim kuligiem, w którym przebrani uczestnicy, z feldmarszałkiem Carlem Gustafem Wranglem jako Rzymianinem na czele, jeździli po mieście w 31 saniach do późnej nocy.

22 stycznia 1815 roku, podczas kongresu wiedeńskiego, przez miasto przejechał orszak 35 sań w ściśle ustalonej kolejności: w pierwszych siedział cesarz Austrii Franciszek I z carycą Elżbietą Romanową ubraną w suknię z zielonego jedwabiu, gronostajowe futro, kapelusz z piórkiem i dużo brylantów; w drugich saniach jechał car Aleksander I z wielkiej urody księżniczką Gabriellą Auersperg (jego żona jechała krytym powozem, bo strasznie wiało), a w trzecich król Prus Fryderyk Wilhelm III z faworytą, hrabiną Julie Zichy.

Około 40 pojazdów, w tym wielkie, sześciokonne sanie z orkiestrą, wyruszyło z Hofburga w centrum miasta do pałacu Schönbrunn. Na trasie częściowo pokrytej

O tym, że sanie były symbolem statusu, świadczy przypadek szwajcarskiego generała na służbie w Holandii Salomona Hirzela (1672-1755). Gdy tylko wojskowy wzbogacił się na tyle, by kupić zamek Wülflingen w pobliżu Winterthuru, zaczął organizować rodzinne kuligi wzorowane na uroczystościach na dworach książęcych za granicą.

NA SOLI I NA CUKRZE

O księciu Wirtembergii Karolu Eugeniuszu (1728-93), właścicielu rokokowego pałacu Solitude pod Stuttgartem, krążyła opowieść, że gdy wzięła go ochota na zorganizowanie kuligu latem, kazał na 13-kilometrowej drodze łączącej pałac z Ludwigsburgiem rozsypać warstwę soli. Historycy wątpią jednak, by księcia stać było na taką ekstrawagancję – sól była wówczas zbyt droga nawet dla niego.

Wojewoda lubelski Jan Aleksander Tarło (1615-81) w środku lata kazał wysypać drogę solą, by przewieźć swoją drugą, młodą żonę, księżniczkę Annę Czartoryską ze swojej głównej rezydencji w Podzamczu Piekoszowskim do pałacyku wybudowanego specjalnie dla niej. I było tak, jak sobie wymarzyła: pojechała saniami zaprzężonymi w cztery białe konie. Odtąd drogę do pałacyku nazywano Solament (od soli i lamentu).

Natomiast gdy książę Karol Stanisław Radziwiłł „Panie Kochanku” (1734-90), najbogatszy magnat Rzeczypospolitej, miał kaprys, by latem pojeździć na saniach, rozkazał wysypać dziedziniec pałacu w Nieświeżu cukrem i na nim urządzono kulig.

FANTAZJA NA PŁOZACH

Wzmianki o artystycznie zaprojektowanych saniach pojawiają się w krajach niemieckojęzycznych od XV wieku. Projektowali je nadworni artyści, a wykonywał cały sztab rzemieślników: stelmachów, stolarzy, snycerzy, malarzy, hafciarzy, rzeźbiarzy, pozłotników czy rymarzy.

Najparadniejsze sanie pochodzą z XVII i XVIII wieku. Złocene, malowane w jaskrawych kolorach, bogato rzeźbione były odpowiednikiem dzisiejszych limuzyn lub aut sportowych z podrasowanymi silnikami. Francuz Samuel Chappuzeau nie krył zachwytu na widok sań, które widział w Dreźnie. „Wykonane są z najróżniejszych materiałów i w najróżniejszych kształtach – rydwanów triumfalnych, muszli, syren, delfinów, orłów – a rzeźbienia są zawsze wspaniałe”.

Często przedstawiały stworzenia z barokowego imaginarium – delfiny, gryfy, pegazy, centaury, jednorożce, smoki, trytony [pół ludzie, pół ryby] czy hippokampy [pół konie, pół ryby]. W Rzeczypospolitej na saniach pojawiały się także rodzime zwierzęta: orły, łabędzie, niedźwiedzie, psy, koty, jelenie. Za czasów Jana III Sobieskiego drewno sań lakierowane było na jasne kolory, a burty zdobity typowe dla rokoka chińskie motywy: smoki, ptaki czy pagody.

Niekiedy sanie miały kształt heraldycznego zwierzęcia rodu ich właściciela, jak koziorożce, niedźwiedzie czy jelenie, nawet z doczepionym prawdziwym porożem. Jednym z ulubionych motywów był lew, często przedstawiany z pierścieniem w nosie. Niósł przekaz: „Jesteśmy potężni, bo oswoiiliśmy dziką bestię”.

W Szwajcarskim Muzeum Narodowym znajdują się sanie z początku XVIII wieku w kształcie damskiego bucika – erotycznego symbolu swoich czasów.

Często z przodu sań mocowane były figury antycznych herosów, Herkulesa czy Perseusza, a także bogów: Apolla, Neptuna, Hermesa, Junony czy Diany – niby powożące, zwane w Polsce osóbkami. Lubowano się też w figurach przedstawicieli innych ras.

Elektor Saksonii, książę Krystian I Wettyn, dostał od żony w 1590 roku prezent opisany w inwentarzu jako „Kopalnia” – były to sanie w kształcie grupy skał. W saksońskim spisie inwentarzowym z 1606 roku figurują też sanie jak „statek



• **Słynne pozłacane sanie Ludwika II Bawarskiego w Muzeum Powozów w Monachium**

FOT. MENIGAULT BERNARD / ALAMY STOCK PHOTO / BE&W

z czterema żaglami ze srebra i gontami” i sanie błazna z „żółtymi dzwoneczkami i krowimi dzwonekami”.

Polacy nie byli gorsi. Poeta Adam Naruszewicz (1733-96) we fraszce poświęconej saniom księżnej Izabeli Czartoryskiej zawarł wierszowany opis jej luksusowego pojazdu: pozłacanego, z figurą kupidyna na przodzie w asyście amorków, do tego inkrustowanego motywem róż i lilii. Natomiast w inwentarzu pałacu Radziwiłłów w Nieświeżu z 1765 roku figurowało 19 par sań, w tym „z łabędziem”, „z murzynkiem”, „ze żmiją”, „z czarnym orłem” (herbem rodowym), „ze żmiją pożerającą dziecię” (herb Sforzów), a nawet sanie „z dwiema osobami kochającymi się”.

CIĄGNĄ SANIE, CIESZĄ OCZY

Konie zaprzęgane do tak wykwintnych pojazdów nie mogły pędzić, jak je pan Bóg stworzył. W wersji deluxe zakładano im ozdobne kapy inkrustowane mosiężnymi dzwonekami. Około 1740 roku dla konia księcia elektora Karola Albrechta, późniejszego króla Bawarii Karola VII, powstała kapa z 426 pozłacanymi dzwonekami.

Przed kuligami farbowano koniom grzywę, na przykład na czerwono lub zielono, zaplatano warkoczyki, wpłatano w grzywę wstążki i kwiaty, doczepiano czuby.

W Rzeczypospolitej najbardziej imponujący był zaprzęg sześciokonnny zwany cugiem, szczególnie jeśli był maścisty, czyli konie dobrano gustownie pod względem maści, lub – najlepiej – sprzęgly (identyczne konie). Polscy magnaci kochali także kosztowne uprząże wysadzone drogimi kamieniami.

Uwagę niemieckiego pisarza Joachima Christopha Friedricha Schulza (1762-98) podczas jego podróży po Polsce w 1793 roku zwróciło dodatkowe wyposażenie sań: „Ozdobą, którą tu po raz pierwszy widziałem, były u obu dyszlowych koni dwie długie sztuki jedwabnej, kolorowej materii, gładkiej lub w pasy, przytwierdzone z boków i umocowane do sani. Broniły one jadących od ciskania śniegiem lub błotem, które podkowy końskie często chwytają, i wyglądały przy szybkiej jeździe jak rozpięte żagle. Ponieważ w samej jeździe wszystko obrachowane na efekt i pożyteczność, ma i to także swoją wartość”.

KULIG TO NIE TYLKO SANIE

Gdy saniami podróżował car Aleksy I (1629-76), dwóch bojarów stało na piętach jego sań, a dwóch stolników – u stóp władcy.

Im bogatszy pan, tym więcej jeźdźców i piechurów towarzyszyło poszczegól

niom w kuligu. Eskorta w barwach rodowych gospodarza kuligu nie tylko pięknie się prezentowała, ale też przydawała się, gdy na przykład zerwał się koń lub sanie zostały uszkodzone.

Kawalerzyści mieli specjalne bicze, którymi nie chłostali koni, ale starali się nimi jak najgłośniej trząsкаć.

Ważny był również kontyngent muzyków, których albo ustawiano na trasie przejazdu, albo którzy jechali w kuligu na „kielbasianych saniach” – nazwa pochodzi od kształtu ławki, która biegła wokół skrzyni lub była ułożona pośrodku jak skrzynia.

Najprostszy akompaniament tworzyli kotlista i trębacz. Jeśli muzyka była grana na: obojach, trąbkach, bębnach, kotłach, cymbałach i dzwonekach, określano ją jako „turecką”.

Leopold Mozart (1719-87), ojciec Wolfganga i wielbiciel karnawałowych rozrywek, skomponował nawet przeznaczony na kulig utwór na orkiestrę, pięć kompletów dzwoneków i dwa trzaskające bicze. Divertimento F-Dur po raz pierwszy wykonano w styczniu 1756 roku w Augsburgu.

Z POWYŁAMYWANYMI PŁOZAMI

Szybko poruszające się sanie wielokrotnie powodowały wypadki, musiano więc zadbać w miastach o bezpieczeństwo nie tylko ich pasażerów, ale i mieszkańców. Gdy imprezy odbywały się po zmroku, nie tylko wszystkie sanie musiały być oświetlone, ale też dodatkowo zapalano pochodnie na ulicach. Nierzadko nakazywano również mieszkańcom przyozdobienie okien na trasie kuligu „piramidami i innymi figurami ze światłami i pochodniami”.

Jeśli ktoś jechał saniami w ciemnościach lub później w nocy, niż było to dozwolone, albo spowodował wypadek, był karany surową grzywną.

Także dzwonki nie tylko wzbudzały radość, ale i zwiększały bezpieczeństwo. Ubity śnieg tłumił dudnienie końskich kopyt, więc dźwięk dzwoneków był sygnałem ostrzegawczym. Dlatego w wielu miejscach dzwonki sań stanowiły ich obowiązkowe wyposażenie.

Mimo tych zasad nie każdy kulig kończył się szczęśliwie. Georg von Löhneysen (1552-1622), nauczyciel jazdy konnej i fechtunku, który pracował na kilku arystokratycznych dworach, w swojej książce poświęconej jeździectwu pisał, że dużo pracy po kuligach mieli ci, którzy naprawiali połamane sanie, i ci, którzy składali połamanych uczestników.

ORSZAK CARYCY CIĄGNIE NA KRYM

W pierwszych dniach stycznia 1787 roku caryca Katarzyna Wielka (1729-96) wyruszyła w sześciomiesięczną podróż na nowo zdobyte południowe rubieże imperium, do Noworosji. Jej celem była nie tylko inspekcja kolonizowanych intensywnie terenów nad Morzem Czarnym, ale także zaimponowanie europejskim monarchom bogactwem i zastraszenie upokorzonej niedawno Turcji pokazem potęgi.

Pierwszą część podróży, zimową, caryca z dworem liczącym około 200 osób – dworzan, służby i przedstawicieli zagranicznych misji dyplomatycznych – odbywała w saniach. Na czele orszaku Katarzyny jechało 14 karoc, dużych i wygodnych niczym wagon Orient Expressu, umieszczonych na płozach i ciągniętych każda przez osiem koni.

Za nimi zaś sunęły 124 sanie skromniejszych rozmiarów, ślizgające się po śniegu niczym „floty lekkich statków”, i „pokonywały z niewiarygodną prędkością owe rozległe przestrzenie wyglądające jak ścięte lodem morze”. Na wszelki wypadek do orszaku dołączono 40 sań zapasowych.

O ile na ambasadorach Francji, Wielkiej Brytanii i Austrii duże wrażenie zrobił przepych, jakiego świadkami byli podczas

podróży taurydzkiej (Taurydą nazywano wówczas Krym), o tyle drugi cel wyprawy nie został osiągnięty – w sierpniu, miesiąc po powrocie Katarzyny II do Carskiego Sioła, Turcja wypowiedziała Rosji wojnę. Przegrała ją jednak i ostatecznie na mocy pokoju zawartego w 1792 roku Imperium Rosyjskie zachowało Krym.

SANIE NIE Z TEJ EPOKI

Nie wiadomo dokładnie, kiedy król Ludwik II Bawarski (1845-86), inwestor baśniowego zamku Neuschwanstein, zamówił swoje słynne złote sanie w stylu renesansowym. Być może zainspirowała go budowa wielkiego, galowego powozu, który zbudowano dla niego w listopadzie 1871 roku. Dyrektor teatru królewskiego Franz von Seitz dostarczył wstępny szkic sań w styczniu 1872 roku.

Król skrytykował go i poprawił. Wprowadził m.in. innowację, jakiej świat nie widział: sanie miały mieć oświetlenie elektryczne.

Wieloosobowa ekipa rzemieślników i artystów (ich nazwiska figurują na tabliczce umieszczonej na saniach) zaczęła pracę 1 kwietnia 1872 roku, ale zleceniodawca i projektant nadal przesyłali sobie kolejne wersje projektu. Poprawki motywów malarskich nanoszono aż do sierpnia, gdy prace trwały w najlepsze. Ostatecznie pojazd gotowy był 30 listopada.

Król się zirytował, gdy „Fränkischer Kurier” zdradził 10 grudnia, że „wspaniałe wykończone i mocno złożone sanie wykonane dla króla zostały wystawione w fabryce powozów Mayera przy Schönfeldstraße w Monachium. Mówi się, że ich wartość wynosi prawie 100 tys. florenów”.

Zelektryzowani tą informacją mieszkańcy stolicy Bawarii zaczęli się gromadzić pod fabryką, by podglądać królewskie cudo na płozach. „Te sanie to prawdziwe arcydzieło rzeźby, malarstwa i haftu, piękne i bogate nie do opisania. Do tego dochodzą uprząże końskie również wykonane przez Mayera dla tych sań, które przewyższają wszystko pod względem elegancji i bogactwa” – pisała „Landshuter Zeitung”.

„Berliner Börsenzeitung” oszacowała wartość sań dwukrotnie wyżej, na 200 tys.:

„[...] król Bawarii kazał teraz zbudować sanie, które pod względem przepychu przewyższają wszystkie sanie na świecie. Nawet dyszel jest pozłacany i wyłożony niebieskim aksamitem”.

Pojazd wysłany do zamku Hohenschwangau oddalonego od Monachium o ponad 100 kilometrów ucierpiał podczas transportu. „Korona i dwie z przymocowanych do niej figurek zostały odłamane. Sanie zostały już zwrócone do naprawy” – odnotowała „Amberger Volkszeitung” 30 grudnia.

Król miał się nimi cieszyć już na Gwiazdkę, ale musiał czekać, aż zostaną naprawione. Oficjalna prezentacja nowego pojazdu odbyła się pod koniec lutego 1873 roku, choć król wypróbował je już 13 lutego. Odnotował to wydarzenie w swoim dzienniku jako „dzień inauguracji sań”. Odtąd król Bawarii odbywał w nich nocne przejażdżki, co później diagnozujący go lekarze uznali za jeden z objawów choroby psychicznej (bo kto sam jeździ nocą saniami?). 13 lat później król został uznany za niepełnoletniego.

Dziś paradne sanie Ludwika I można przez cały rok podziwiać w monachijskim muzeum królewskich powozów w pałacu Nymphenburg. ●

Korzystałam m.in. z książek: Franka Matthiasa Kammela „Heiße Kufen. Schlittenfahren: Repräsentation, Vergnügen, Sport”, Magdaleny Witwickiej „Kuligiem przez trzy stulecia”; Zdzisława Żygulskiego jr. „Dzieje polskiego rzemiosła artystycznego”, oraz artykułów: Matthiasa Kolba „Porsche mit Kufen” (sued-deutsche.de), Alexandra Wiesnetha na blogu „Unser Schlösserblog”, Héléne Delalex „Courses de traîneaux avec Louis XV” (escarnets-deversailles.fr); Benedetty Craveri „Podróż na Krym” (zeszytyliterackie.pl).

Wczoraj, czyli dziś

Dobry fake news żyje wieki

Ramzes Wielki przegrał bitwę, ale świat trzy tysiące lat wierzył, że wygrał. Wincenty Kadłubek wymyślił bitwę, której nie było. A wrocławscy rajcy ogłosili, że aniołów mają po swojej stronie.

Maciejewska



Co zrobić, gdy w mieście wydarzy się katastrofa, która może podważyć autorytet władzy? Przekonać obywateli, że spotkało ich wielkie szczęście. W nocy 24 lutego 1529 roku nad Wrocławiem wichura zwała iglicowy helm wieży elżbietańskiej fary.

Miał 66 m wysokości i sprawiał, że wieża była jedną z najwyższych w Europie (131 m), więc taka strata mogła zabo-

leć. Ale problem był natury politycznej. Cztery lata wcześniej mistrz zakonu krzyżowców z czerwoną gwiazdą Erhard Scultetus rzekł się na rzecz rady miejskiej prawa patronatu nad kościołem św. Elżbiety. To oznaczało przejście świątyni przez zwolenników Marcina Lutra.

Było ich we Wrocławiu coraz więcej, powstała tzw. partia luterańska. Legenda mówi, że wpływowy rajca,

Heinrich Rybisch, namówił Erharda Scultetusa, mistrza krzyżowców z czerwoną gwiazdą, na grę w kości. Rybisch położył na stół długi, złoty łańcuch, a mistrz – tytuł własności do kościoła św. Elżbiety. Mistrz przegrał, a katolicy zaczęli szemrać, bo przegrać kościół to gruba sprawa. Gdy więc wichura zwała helm, poszedł hyr, że to kara za oddanie świątyni heretykom. I spodziewano się, że za chwilę na miasto spadną następne kłęski.

Protestanci, chcąc zażegnać wizerunkowy kryzys, zaczęli dowodzić, że to znak opieki Opatrzności, ponieważ nikt nie zginął. Pojawili się świadkowie, przysięgający, że widzieli anioły chwytające helm i składające go na przykościelnym cmentarzu. Opowieść obrastała w szczegóły, podobno zginął miał czarny kot, a to wysłannik złych mocy. Dowodów na to, że Bóg jest po stronie władz, przybywało.

Żeby jednak właściwa wersja się utrwaliła, wykonano trzy (sic!) tablice, które ją podają – dwie umieszczono w hali wieży, trzecią na elewacji. Teksty po łacinie i po niemiecku, wypisane ręką najlepszego kaligrafa w mieście, litery wyłożone i do tego obrazy.

Tablica zewnętrzna, z aniołami podtrzymującymi walącą się wieżę,

przypisywana jest wybitnemu rzeźbiarzowi Andreasowi Waltherowi i przykuwa uwagę pierwszym na Śląsku zastosowaniem perspektywy geometrycznej.

Teksty trochę się różnią, wszystkie jednak zgodnie ogłaszają, że miasto spotkało wielkie szczęście: „Upadła wieża Siloe, krwią przelaną zroszona. Przy upadku tej naszej piramidy nikt nie zginął. Albowiem z nakazu Pana podtrzymana, a z jego łaski ręce anielskie ciężar złożyły” (wersja łacińska, z tablicy w hali wieży).

Do dziś ta wersja jest najbardziej atrakcyjna, w Muzeum Miejskim Wrocławia można obejrzeć animację wykonaną z użyciem starych rycin, przedstawiającą interwencję eskadry anielskiej. Z istotną korektą: kot przeżył. Każdy opowiada swoją historię.

Radni nie pierwsi ani ostatni kłęskę przekuli w sukces. Mistrzowską akcję przeprowadził faraon Ramzes Wielki, który w 1274 r. p.n.e. poniósł strategiczną porażkę w bitwie z Hetytami pod Kadesz. W najlepszym dla niego razie pozostała nierozstrzygnięta, ale Ramzes przekonał Egipt o swoim bohaterstwie i zwycięskim przebiegu bitwy.

Na murach świątyni w Abydos, Leksorze i Karnaku pojawiły się szczegółowe relacje, poematy i płaskorzeź-

by opiewające wiktorię. Ta genialna manipulacja propagandowa okazała się odporna na upływ czasu, Ramzesa zdemaskował dopiero niemiecki archeolog Hugon Winckler, który w latach 1906-1912 prowadził wykopaliska w Hattusie, dawnej stolicy imperium hetyckiego (dziś Bo? azkale w Turcji) i odkrył archiwum tekstów hetyckich.

O bitwie na Psim Polu (dziś część Wrocławia), którą jakoby stoczył Bolesław Krzywousty z wojskami króla niemieckiego i przyszłego cesarza, wiadomo na pewno tyle, że wygrał ją biskup Wincenty Kadłubek. To on jest autorem tego politycznego fake newsa spreparowanego prawie sto lat po rzekomym starciu. Oscara za scenariusz miałby dziś na pewno.

„Na dowód tego istnieje jeszcze nazwa [owego] miejsca, zbiegła się tam [bowiem] niezmierna sfora psów, które pożerając tyle trupów, wpadły w jakąś szaloną dzikość, tak że nikt nie śmiał tamtędy przejść, i dlatego owo miejsce nazywa się Psim Polem” (przeł. Brygida Kürbis) – oznajmił Kadłubek i zawładnął wyobraźnią milio-

nów, a krwiożercze psy doczekały się nawet pomnika. ●

Beata Maciejewska – historyczka, dziennikarka i publicystka „Gazety Wyborczej”

Stare dobre czasy

Pieski, kotki i ludzie

Średniowieczne elity żyły w przekonaniu, że jedynie człowiek został stworzony na obraz i podobieństwo Boga, a zwierzęta wyłącznie dla jego pożytku.

Brzezińska



Nieustannie rozbrzmiewają lamenty, że pochopnie lokujemy emocje w zwierzętach, zastępujemy dzieci kotami i ciągnemy za sobą psy do kościoła. Podobno przynajmniej zwierzętom nowe miejsce w przestrzeni publicznej oraz w naszym życiu, co – w zależności od poglądów – ma dowodzić albo zepsucia obyczajów i nieuchronnego upadku naszej kultury, albo postępu i wrażliwości na dobro innych stworzeń.

Najzabawniejsze, że wszystko to już było, tyle że w mniejszej skali.

Średniowieczne europejskie elity żyły w przekonaniu, że jedynie człowiek został stworzony na obraz i podobieństwo Boga, a zwierzęta i rośliny powstały dla jego pożytku. Kościół starał się wytyczać jak najszczelniejszą granicę pomiędzy zwierzęciem a człowiekiem, podkreślając, że tylko potomkowie Adama i Ewy są obdarzeni

rozumem i duszą nieśmiertelną i tylko oni zmartwychwstaną. Ale ta różnica nie była zupełnie oczywista ani dla amatorów dawnych arcydzieł, w których antyczni bogowie z zaskakującą łatwością przeobrażali się w zwierzęta w pogoni za powabną śmiertelniczką, ani dla czytelników żywotów świętych, bo nawet św. Krzysztof potrafił kiwać w nich nieprzyjemnie psią głową, ani wreszcie dla skrybów lokujących na obrzeżach znanego świata i na marginesach manuskryptów przedziwne, na poły zwierzęce rasy.

Niezwykle literackie hybrydy zapładniały wyobraźnię elit, podczas gdy zupełnie zwyczajni ludzie dzielili obęścia ze zwierzętami i cenili je przede wszystkim za użyteczność. Lecz niektórym zwierzętom – koniom, psom i ptakom łowczym – przyznawano szczególny status ze względu na ich związek z rycerstwem, a z czasem także z elitarnymi zwyczajami łowieckimi. Najbardziej humanizowano psy, stałych mieszkańców rycerskich siedzib, lojalnych i niestrudzonych w pościgu na zwierzyznę oraz umieszczanych u stóp swoich panów na nagrobkach.

Bogaci dbali o swoje ogary, charty i wyżyły, obdarowywali je imionami z rycerskich romansów oraz kunsztownymi i kosztownymi obrazami. Na Boga, gdyby był psem, dostawałbym chleb i masło, i pożywną zupę o poranku! –

pomstował koń w poemacie francuskiego kronikarza Jeana Froissarta. Jeszcze lepiej powodziło się małym pieskom do towarzystwa, niezmiernie cenionym przez kobiety, dworzan i mnichów. Wprawdzie wiele reguł zabraniało trzymania zwierząt w klasztorach, ale zwykle poprzestawano na napominaniach, że należy ograniczyć ich liczbę i nie wpuszczać przed ołtarz ani na chór, by nie przeszkadzały w nabożeństwie.

Ulubione zwierzęta bezwstydnie rozpieszczano. Przeorysza z „Opowieści kantenberyjskich” Geoffreya Chaucera karmiła swoje pieski pieczytym, mlekiem oraz najdelikatniejszym białym chlebem, czyli pożywieniem luksusowym i z rzadka oglądanym na stołach współczesnych kmieci. Kaznodzieje załamywali ręce, że bogate matrony sadzają małeńkie pieski na podolkach, nosząc je, obcałowując i pozwalając im spać we własnych łóżkach.

Z kolei w późnośredniowiecznych podręcznikach dobrego zachowania przestrzegano, by nie wpuszczać zwierząt do jadalni, nie pozalać im kręcić się przy stole ani nie karmić z talerza. Lecz jeśli wierzyć miniaturom w średniowiecznych kodeksach, wszystko to czyniono.

Czworonożni ulubieńcy stanowili symbol luksusu oraz pozycji właściciela, więc było ich mniej niż dzisiaj. Nieliczni

mieli środki, czas i miejsce pod dachem, by przeznaczyć je dla stworzeń, które nie były niezbędne. Nie pracowały ani nie dawały oczywistego pożytku, więc moralisci traktowali je podejrzliwie.

Podkreślano, że nie mają rozumu, więc nie należy ich obdarzać miłością czy przyjaźnią, a okazywanie im nadmiernej czułości jest naganne.

Utyskiwano, że ukochane zwierzęta odciągają właścicieli od obowiązków i są przekarmiane kosztem biedaków, którzy z ich powodu nie dostają jałmużny. Już wówczas ukochane pieski i kotki czyniono symbolem moralnego zepsucia bogatych. Wyrzekano, że mniszki kochają je bardziej niż Boga, matki – bardziej niż dzieci, i cierpko przypomniano słowa Jezusa, by pozwolić wpięć nasycić się dzieciom, bo niedobrze jest zabierać chleb dzieciom, a rzucić szczeniętom.

Natomiast średniowieczni miłośnicy zwierząt podkreślali, że te są lojalne i wierne, a ich obecność przynosi radość i rozprasza melancholię. Argumenty obu stron brzmiały zupełnie jak dzisiaj. Oczywiście, jak i dzisiaj, nikt nikogo nie zdołał przekonać.

Lecz o dziwo minęło parę wieków i świat z powodu rozpieszczonych piesków i kotków nie upadł. ●

Anna Brzezińska – pisarka, gwiazda polskiej fantastyki, mediewistka



Moja kariera harcerska nie trwała zbyt długo. Zuchem byłem przykładnym, zdobywałem sprawności, nawet tak egzotyczne jak sprawność pingpongisty czy czołgisty, stawiałem się w harcówce na zbiórkach, niemal pojechałem na obóz organizowany przez nasz szczep, na który wybrało się kilku kolegów z mojej szóstki.

Ale w harcerstwie miejsca nie zagrałem. Kiedy mój serdeczny kolega popadł w konflikt z zastępowym, i w dość spektakularny sposób pożegnał się z harcerstwem, straciłem wolę i ja. Choć w sposób mnie spektakularny.

Ale nie zmienia to faktu, że harcerzy szanuję i miałem wśród nich znajomych bliższych i dalszych. Dlatego 22 lutego, kiedy brać harcerska i skautingowa celebrowała swoje święto, czyli Dzień Myśli Braterskiej, dzisiaj „Weekendówkę” oddajemy właśnie harcerstwu.

Idea ustanowienia World Thinking Day pojawiła się w roku 1926, podczas 4. Międzynarodowej Konferencji Skautek i Przewodniczek w Stanach Zjednoczonych. Początkowo też było to święto obchodzone tylko przez dziewczęta, dopiero potem do obchodów włączyli się skauci i harcerze.

Skąd data 22 lutego? Otóż tak się składa, że to dzień urodzin zarówno Roberta Baden-Powella jak i jego małżonki, Olave Baden-Powell.

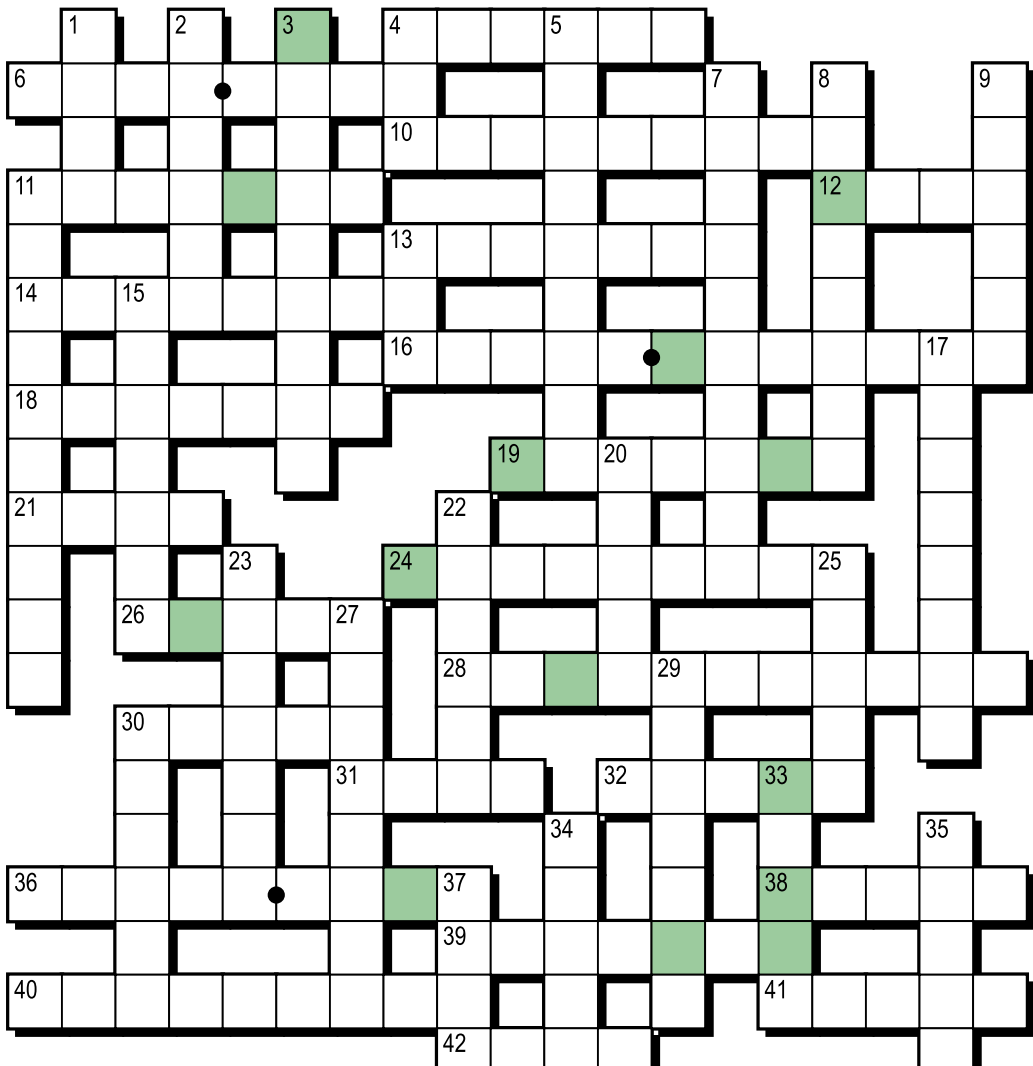
Baden-Powell, autor wydanego w 1908 roku podręcznika „Scouting dla chłopców”, uchodzi za twórcę skautingu i harcerstwa. Olave - młodsza od męża o 32 lata, co wówczas było szeroko komentowane - która wspierała idee i pomysły Roberta, otrzymała w 1930 roku tytuł Naczelnej Skautki Świata.

To Baden-Powell w lecie 1907 roku zorganizował pierwszy obóz dla skautów, na wyspie Brownsea na Kanale La Manche. Wówczas wzięło w nim udział 21 chłopców, głównie synów przyjaciół Baden-Powella. Niewiele ponad 30 lat później na całym świecie było 3,3 mln skautów.

Przez lata postać Roberta Baden-Powella uległa odbiorowi. Okazało się, że spotkał się z ministrem spraw zagranicznych III Rzeszy, Joachimem von Ribbentropem, zamierzał spotkać się z Adolfem Hitlerem i wychwalał niektóre idee wychowawcze zawarte w „Mein Kampf”. Był także oskarżony o zamordowanie jeńca wojennego, wodza Uwini, podczas rebelii miejscowych plemion w Zimbabwie.

Ale faktem jest, że był twórcą współczesnego skautingu. Więc dziś, z harcerskim pozdrowieniem, w naszą ręce „Weekendówkę” harcerską oddajemy!

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



HARCERZE

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 4)** pionierki, czyli traperki
- 6)** zespół, który nagrał piosenkę „Vademecum skauta”
- 10)** harcerze – przyrzeczenie, zuchy – ?
- 11)** krzyż lub lilijka harcerska
- 12)** „Niewidzialna ...”, akcja z wykonywaniem dobrych uczynków
- 13)** symbol harcerstwa
- 14)** stopień harcerza starszego (jedna krokiewka na pagonie)
- 16)** ich naczelnikami byli Florian Marciniak, Stanisław Broniewski i Leon Marszałek
- 18)** rozpalone – czas na gawędę
- 19)** „... Czarny”, żaglowiec szkoleniowy ZHP
- 21)** zamiysł, myśl przewodnia (np. ... skautingu)

24) stoi na czele hufca

- 26)** graficzny znak rozpoznawczy zastępu lub drużyny
- 28)** stopień harcerki starszej (dwie krokiewki na pagonie)
- 30)** Tolek z powieści Adama Bahdaja (okazało się, że był harcerzem)
- 31)** sprawność harcerska „Pomocna ...”
- 32)** „Czarne ...”, harcerska powieść Seweryny Szmągiewskiej
- 36)** „Gdzie losów wojny niesie wiatr, tam zza rogów stu stoi na straży ... i flaga biało-czerwona”
- 38)** ... funkcyjny, element umundurowania
- 39)** ... Tell, harcerz z przygód Pana Samochodzika
- 40)** książeczki z piosenkami „Płonie ognisko”, „Stokrotka”, „Szara lilijka”, „Zielony mundur”
- 41)** umówiona odpowiedź na hasło
- 42)** szkolenie na przewodnika, instruktora

Pionowo:

- 1)** impreza turystyczna, np. „Harcerskim Tropem”
- 2)** Jan (pseudonim „Rudy”) z powieści „Kamienie na szaniec”
- 3)** Andrzej, działacz nazywany twórcą polskiego skautingu, jeden z patronów Muzeum Harcerskiego w Zakopanem
- 4)** Sokole ..., harcerz z przygód Pana Samochodzika
- 5)** harcerz z przygód Pana Samochodzika
- 7)** zawsze mile widziany przy ognisku
- 8)** zastępowa albo drużynowa
- 9)** harcerze w Wielkiej Brytanii, USA
- 11)** rozlokowali się w namiotach na leśnej polanie
- 13)** „A ponad nami wiatr szumi, wieje i dębowy huczy ...”
- 15)** niejeden podczas Harcerskiego Festiwalu Kultury Młodzieży Szkolnej
- 17)** dwie – na naramienniku harcerza Rzeczypospolitej

Rozwiązanie

„Weekendówki” nr 142
z 15.02:

Poziomo:

- 1) wosk, 4) rozrusznik,
- 10) kardiologowie, 11) Song,
- 12) czereśnia, 13) łezka,
- 14) Wham, 15) serenady,
- 16) rolnik, 17) Grechuta,
- 20) bajpas, 24) Karol,
- 25) zalotnicy, 26) Nirvana,
- 28) dobroczyńca,
- 33) przebój, 35) rozum,
- 36) żonka, 37) Akte,
- 39) altana, 40) sanatorium.

Pionowo:

- 1) wakacje, 2) Serce serc,
- 3) Walenty, 4) reggae,
- 5) zawał, 6) uderzenia,
- 7) zastawka,
- 8) Kogel-mogel, 9) literatura,
- 16) reanimacja, 18) Romeo,
- 19) amory, 21) płyn,
- 22) skarb, 23) aria, 25) zło,
- 27) Niemien, 28) donzuan,
- 29) Bennet, 30) car,
- 31) Fredro, 32) czarusz,
- 33) panna, 34) Eros,
- 38) Kate.

HASŁO:

ROMANTYCZNIE

- 20)** imię Opęchowskiej (zm. 1955), działaczki społecznej, wieloletniej wiceprzewodniczącej ZHP
- 22)** harcerze i ..., pomagają podczas klęsk żywiołowych
- 23)** letnia baza harcerska
- 25)** wytłaczane szlaki
- 27)** szyte dla zuchów
- 29)** pomoc w potrzebie (przybyć na ...)
- 30)** miejsca, w których roztawiono namioty
- 33)** „Świat Młodych”, „Harcerstwo”, „Na Tropie” lub „Czuwaj”
- 34)** beretu – jednakowy dla danej drużyny
- 35)** w zestawie z menażką i niezbędnikiem
- 37)** stopień harcerza (dwie krokiewki na pagonie)

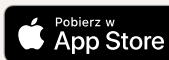
Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34354617

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Rozwiąż gdzie chcesz i kiedy chcesz



Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację

